

Robert Ervin Howard

Cień Bestii

Przekład Jan S. Zaus, Irena Ciechanowska–Sudymont

Wąż ze snu	The Dream Snake
Serce starego Garfielda	Old Garfield's Heart
Delenda est	Delenda est
Cień bestii	The Shadow of the Beast
Hiena	The Hyena
Zguba Dermoda	Dermod's Bane
Człowiek na ziemi	The Man on the Ground
Bestia z otchłani	The Beast from the Abyss
Próżna nadzieja	Hope Empty of Meaning
Umarły pamięta	The Dead Remember
Upiór pierścienia	The Haunter of the Ring
Beznosy horror	The Noseless Horror
Czarny kamień	The Black Stone
Horror z kurhanu	The Horror from the Mount

WAŻ ZE SNU

Noc była dziwnie cicha. Siedząc na szerokiej werandzie, patrzyliśmy na rozległe, ocienione trawniki, cisza tej godziny wkradła się do naszych dusz i przez długą chwilę nikt się nie odezwał.

Potem nad dalekimi, zamglonymi górami, obrzeżającymi wschodni nieboskłon, zaczęła błyszczeć słaba mgiełka i w tym momencie wzeszedł wielki złoty księżyc, upiornie rozjaśniając okolice i ostro obrysowując cienie rzucane przez drzewa. Lekki wietrzyk zaszemrał od wschodu, wysoka, nie skoszona trawa skłoniła się przed nim w długich, słabo widocznych w świetle księżyca, sinusoidalnych falach; wśród osób siedzących na werandzie dało się słyszeć zduszone westchnienie, szybkie wciągnięcie powietrza, co spowodowało, że wszyscy odwrócili się i spojrzeli w tym kierunku.

Faming pochylał się do przodu, zaciskając dłonie na poręczach fotela, jego twarz była dziwnie blada w tym widmowym świetle; z wargi, w którą wbił zęby, spływała cienka strużka krwi. Patrzyliśmy na niego ze zdumieniem i nagle wstrząsnął nim krótki, niepewny śmiech. — Nie musicie się tak na mnie gapić jak stado owiec! — rzucił ze złością i nagle przerwał. Siedzieliśmy zaskoczeni, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć i wtedy znowu wybuchnął: — Sądzę, że lepiej, jak wam wszystko opowiem, zanim odejdziecie myśląc, że jestem lunatykiem. I niech mi nikt nie przerywa! Chcę wreszcie to wszystko wyrzucić z siebie. Wszyscy wiecie, że nie posiadam zbyt bujnej wyobraźni; ale jest coś, co jest wytworem czystej fantazji i co prześladowa mnie od dzieciństwa. Jest to pewien sen! — Wyraźnie skurczył się w fotelu, mrużąc: — Sen! Boże, co to za sen! Pierwszy raz... nie, nie pamiętam, kiedy miałem go po raz pierwszy... śniłem tę piekielną rzecz od niepamiętnych czasów. A oto ten sen: jakiś bungalow stoi na wzgórzu, na rozległej łące — ale niepodobnej do tej, na której znajduje się ta posiadłość — ta scena odbywa się w Afryce. I mieszkam w nim z kimś w rodzaju służącego, Hindusem. Dlaczego tam jestem, tego po przebudzeniu nigdy nie wiem, chociaż we śnie jestem całkowicie pewien, że wiem. Jako człowiek istniejący w tym śnie, pamiętam dobrze moje poprzednie życie (które absolutnie nie zgadza się z moim życiem na jawie), ale na jawie moja podświadomość nie transmituje tych wrażeń. Niemniej wydaje mi się, że wymknąłem się z rąk sprawiedliwości i że ten Hindus również jest uciekinierem. Skąd ten bungalow tam się wziął, tego nigdy nie pamiętam, nie wiem też, w jakiej znajduje się części Afryki, chociaż moje śniące „ja” o wszystkim wie doskonale. Ten bungalow jest mały, ma tylko kilka pokojów i, tak jak powiedziałem, stoi na samym szczycie wzgórza. Wokół nie ma innych wzgórz i łąki rozpościerają się dookoła aż po horyzont; trawa sięga kolan, a niekiedy nawet pasa.

Sen zawsze zaczyna się tym, że wchodzę na szczyt wzgórza w chwili, gdy zaczyna zachodzić słońce. Mam ze sobą złamaną strzelbę, właśnie wracam z polowania. Śniąc — wyraźnie to pamiętam. Ale nigdy po obudzeniu się. Tak jakby uniosła się kurtyna i zaczęło

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

przedstawienie; albo tak, jakbym nagle został przeniesiony do ciała innego człowieka, w inne życie, pamiętając minione lata tamtego życia i nie mając żadnego pojęcia o innej egzystencji. I na tym polega ta przerażająca część tego wszystkiego! Jak wiecie, większość z nas miewa sny, śnimy o czymś, co dzieje się gdzieś w naszej podświadomości, ale jednocześnie, bez względu na to, o jak strasznych rzeczach śnimy, zawsze wiemy, że to był tylko sen. I w ten sposób omija nas szaleństwo lub możliwość utraty życia. Jednak w tym moim, szczególnym śnie, nie mam takiej świadomości. Mówię wam, to jest tak realne, tak kompletne w każdym detalu, że czasem zastanawiam się, czy właśnie przypadkiem nie jest to moja prawdziwa egzystencja, a ta, w której teraz żyję, jest właśnie snem! Ale nie — ponieważ gdyby tak było, już od wielu lat musiałbym nie żyć.

Jak już powiedziałem, wchodzę na wzgórze i pierwsza rzecz, jaka mnie uderza, nie jest czymś normalnym, jest to ślad wiodący nieregularnie w górę, widać go na zgniecionej trawie tak, jakby wlokło się po niej coś ciężkiego. Jednak nie zwracam na to specjalnej uwagi, ponieważ trochę poirytowany myślę, że trzymam w ręku złamaną strzelbę, jedyną broń, jaką posiadam i że teraz będę musiał przestać polować do chwili, gdy postaram się o inną.

Jak widzicie, pamiętam dobrze myśli i wrażenia, jakie odczuwam we śnie, a także wszystko, co się w nim zdarza. A zatem wchodzę na wzgórze, a potem do bungalowu. Drzwi są otwarte, Hindusa nie ma. Ale w głównym pokoju panuje bałagan; krzesła połamane, stół przewrócony. Na podłodze leży sztylet Hindusa, ale nigdzie nie widzę krwi.

Pragnę zwrócić uwagę, że w tym moim śnie nigdy nie pamiętam poprzednich snów, jak to czasem ma miejsce u innych. Zawsze to jest mój pierwszy sen, zawsze to jest pierwszy raz. Zawsze doznając tych samych sensacji, z takim samym natężeniem, mam wrażenie, że śnię to wszystko po raz pierwszy. Nie mogę tego zrozumieć. Hindusa nie ma, ale (zastanawiam się, stojąc pośrodku zdemolowanego pokoju) co się z nim stało? Gdyby to była banda napastników murzyńskich, okradliby bungalow i prawdopodobnie spalili. Gdyby to był lew, wszystko byłoby spryskane krwią. Teraz nagle przypominam sobie ślad, jaki widziałem wspinając się na wzgórze i czuję dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa, natychmiast wszystko staje się jasne — to coś, co wyszło z trawiastych równin, co spowodowało ten bałagan, nie mogło być niczym innym jak tylko jakimś gigantycznym wężem. I kiedy myślę o wielkości śladu, jaki zostawiło to zwierzę, zimny pot występuje mi na czoło i ręka trzymająca złamaną strzelbę zaczyna drżeć.

Biegnę do drzwi w dzikim przerażeniu i myślę tylko o tym, aby jak najszybciej dotrzeć do wybrzeża. Ale słońce już zachodzi i nad trawiastą równiną zapadają ciemności. Gdzieś, w wysokiej trawie, czai się ten potwór — ten przerażający stwór. Boże! — Z jego ust wyrwał się tak przejmujący okrzyk, że wszyscy podskoczyliśmy, nawet nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy tym przejęci. Po chwili milczenia kontynuował:

— W tej sytuacji zamykam drzwi i okna, zapalam lampę i staję na środku pokoju. I stoję tam nieruchomy jak posąg, czekając i słuchając. Potem, gdy wschodzi księżyc, przez okna wpada upiorne światło. Stoję więc tak bez ruchu na środku pokoju; noc jest cicha — tak cicha jak dzisiejsza noc; wśród traw szepcze wietrzyk, a ja za każdym razem wzdrygam się i zaciskam palce wbijając paznokcie w ciało tak, że krew kapie na przeguby — stojąc słucham, ale to „coś” tej nocy nie nadchodzi! — To zdanie rzucił tak gwałtownie, że podświadomie wydaliliśmy z siebie westchnienie; napięcie minęło.

— Podejmuję decyzję. Jeżeli przeżyję tę noc, jutro wcześniej rano ruszę na wybrzeże i ucieknę temu potworowi kryjącemu się gdzieś na trawiastej równinie. Ale, gdy nadchodzi poranek, brak mi odwagi. Nie wiem, w jakim kierunku skierowało się to monstrum, nie uzbrojony nie mam odwagi podjąć ryzyka spotkania go na otwartym terenie. W takim pomieszczeniu zostaję w bungalowie, wpatrując się bez przerwy w słońce, które powoli, bezlitośnie chyli się ku zachodowi. O Boże! Gdybym tylko mógł zatrzymać to słońce na niebie!

Opowiadający znajdował się jakby w kleszczach jakiegoś potwornego horroru, wypowiedane przez niego słowa niemal strzelały w nas.

— Potem słońce ześlizguje się z nieboskłonu i poprzez łąki zaczynają podchodzić cienie drzew. Oszołomiony przerażeniem znowu zamykam drzwi i okna, zapalam lampę na długo, zanim zgaśnie ostatni promień słońca i zapadnie zmierzch. Światło padające z okien może przyciągnąć monstrum, ale nie mam odwagi przebywać w ciemności. I znowu staję na środku pokoju i czekam.

Potem zadrżał i przerwał. Po chwili zwilżając usta mówił dalej niemal szeptem:

— Nie mam pojęcia, jak długo tam stoję; wydaje się, że czas zatrzymał się, każda minuta jest wiekiem, każda sekunda wiecznością rozciągającą się w nieskończoność. A potem... Boże! Co to jest? — Pochylił się do przodu, światło księżyca padło na jego twarz, ukazując

wyraz napiętego nasłuchiwania, wszyscy zadrżeliśmy, rzucając szybkie spojrzenia przez ramię.

— Tym razem to nie nocny podmuch wiatru — wyszeptał. — Coś szeleści w trawach — coś, co jest duże, długie, wijące się wśród trawy. Szumi ponad bungalowem, a potem zatrzymuje się — przed drzwiami, zawiasy zaczynają trzeszczeć i drzwi wyrzuszają się do środka... wpieryw nieznacznie... potem coraz więcej! — Opowiadający wyciągnął przed siebie ręce jakby próbując coś odepchnąć od siebie, ciężko dyszał. — Wiem, że powinienem zaprzeć drzwi, walczyć, żeby się nie otworzyły, ale nie mogę się ruszyć. Stoję bez ruchu jak owca czekająca na rzeź — ale drzwi wytrzymują! — I znowu to westchnienie tłumionych w sobie przeżyć.

Drżącą dłonią przetarł czoło.

— Przez całą noc stoję na środku pokoju bez ruchu, jak jakiś wizerunek na obrazie, odwracając się tylko powoli na odgłos szmerów, którymi trawa daje znać, że ten stwór krąży gdzieś wokół domu. Bez przerwy kieruję wzrok w stronę dochodzących łagodnych, przerażających dźwięków. Czasami na chwilę cichną, wtedy stoję powstrzymując oddech i spodziewając się, że wąż jakimś sposobem wśliznie się do bungalowu, przerażony zaczynam się odwracać raz w prawo, raz w lewo i nie wiedząc dlaczego, czuję, że to coś strasznego znajduje się za moimi plecami. Potem znowu słyszę ten dźwięk i zamieram bez ruchu. Teraz następuje jedyna chwila, gdy przez kurtynę snu przebija się świadomość prowadząca mnie na jawie. Tkwię w tym śnie w żaden sposób nie zdając sobie sprawy, że to sen, ale w jakiś oderwany sposób mój drugi umysł rozpoznaje pewne fakty i przekazuje dalej do snu — chyba powinienem powiedzieć do mojego „ego”? Chcę przez to powiedzieć, że moja osobowość przez krótką chwilę jest rozdzielona, jak lewe i prawe ramię, które są przecież częścią tego samego ciała. Mój śniący umysł nie ma żadnego kontaktu z umysłem wyższym, świadomym; w tym momencie ten mój drugi umysł jest całkowicie podporządkowany, a podświadomość kontrolowana do tego stopnia, że nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia tego drugiego umysłu. Jednak ten świadomy umysł zdaje sobie sprawę z istnienia słabych fal płynących z umysłu śniącego. Wiem, że nie wytłumaczyłem wam tego zupełnie jasno, ale faktem jest, że ten mój umysł świadomy i podświadomy bliskie są załamania. I kiedy tak stoję w moim śnie, moja obsesja strachu polega na tym, że boję się, iż wąż może się unieść i spojrzeć na mnie przez okno. We śnie wiem, że jeśli tak się zdarzy, wtedy oszaleję. To wrażenie przenikające do mojej świadomości jest tak wyraźne dla śpiącego umysłu, że fale myślowe poruszają ponure morza snu i w jakiś sposób czuję, że moja psychika balansuje w ten sam sposób jak zdrowie psychiczne we śnie. To na mnie działa, chwiejąc mną tam i z powrotem do tego stopnia, że ja sam, w moim śnie, również chwieję się z jednej pozycji w drugą. Nie zawsze odczuwam to samo, ale mogę was zapewnić, że jeśli kiedykolwiek to coś przerażającego ukaże swój straszliwy kształt i zakpi sobie ze mnie, jeśli kiedykolwiek zobaczę we śnie tą przerażającą rzecz, wtedy z pewnością oszaleję.

Poruszyliśmy się niespokojnie.

— Boże! Jaka straszna perspektywa! — wyszeptał. — Oszaleć i co noc śnić ten sam sen! Ale ciągle w nim stoję, przez okna zaczyna sączyć się mdłe światło, słabe, węzowe szmery zamierają gdzieś w oddali i na wschodzie pojawia się czerwone, zmęczone słońce. Odwracam się wtedy, spoglądam w lustro i widzę, że moje włosy są całkiem siwe. Zataczam się do drzwi i otwieram je szeroko. Nic, tylko szeroki ślad wiodący w dół wzgórza i ginący wśród traw równiny — biegnący w przeciwnym kierunku aniżeli moja droga do wybrzeża. Z szalonym śmiechem zbiegam ze wzgórza i pędzę przez łąki. Biegnę aż wreszcie padam z wyczerpania i tak długo leżę, aż w końcu mogę się podnieść, zatoczyć i iść dalej.

Przez cały dzień czynię nadludzkie wysiłki, popędzany ostrogami goniącego mnie horroru. Wlokąc się na osłabłych nogach, upadając, leżąc i wstając, rozpaczliwie dysząc, cały czas niespokojnie obserwuję słońce. Jakże szybko przesuwa się po niebie, gdy człowiek biegnie ratując życie! To przegrany wyścig, wiem o tym patrząc, jak słońce zatapia się na horyzoncie, a wzgórze, które jeszcze muszą pokonać do zachodu, wydają się tak dalekie... jak zawsze. Jego głos przycichł i instynktownie pochyliiliśmy się ku niemu: zaciskał dłonie na poręczach, krew ciągle spływała z jego przegryzionej wargi.

— Potem słońce zachodzi, nadchodzą cienie, chwieję się, padam, wstaję, znów padam. I śmieję się, śmieję, śmieję! Przystaję wraz ze wschodem księżyca zalewającego upiorną, srebrną poświatą otaczającą mnie łąki. Po całej okolicy rozlewa się białe światło, chociaż księżyc wygląda jakby był skąpany we krwi. Patrząc do tyłu, tam skąd przyszedłem i ... tam, gdzieś daleko... — wszyscy pochyliiliśmy się bliżej, jego głos zmienił się w upiorny szept: — ...daleko w tyle... widzę... falującą trawę. Powietrze stoi, nie porusza go nawet najłżejszy wietrzyk, trawa rozdziela się, chwieje w świetle księżyca wąską, sinusoidalną linią... jest

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

jeszcze gdzieś daleko, ale coraz bardziej zbliża się ku mnie. — Jego szept zamarł.

Ktoś przerwał ciszę:

— A potem?...

— Potem się budzę. Jeszcze nigdy nie widziałem tego przerażającego potwora. Ale ten sen prześladowuje mnie, w dzieciństwie budziłem się z krzykiem, a teraz budzę się zły zimnym potem. Ten sen śnię w nieregularnych odstępach czasu, a ostatnio za każdym razem... — zawahał się, a potem dokończył: — ...za każdym razem ten potwór podchodzi ku mnie coraz bliżej i bliżej... trawa faluje, zaznaczając jego zbliżanie się i z każdym snem jest bliżej mnie. A kiedy mnie dosięgnie, wtedy...

Przerwał nagle, potem wstał bez słowa i wszedł do domu. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem poszliśmy za nim, gdyż było już późno.

Nie wiem, jak długo spałem, ale obudziłem się z uczuciem, że gdzieś w domu ktoś śmieje się głośno i długo, jakimś potwornym, histerycznym śmiechem. Ze strachu nie byłem pewien, czy nie był to sen, ale wybiegłem z pokoju w chwili, gdy po domu rozszedł się echem przeraźliwy wrzask. Teraz wszędzie pełno było obudzonych ludzi, wszyscy popędziliśmy do pokoju Faminga, skąd, jak się wydawało, dochodziły te dźwięki.

Faming leżał martwy na podłodze, zdawało się, że upadł tam tocząc zażartą walkę. Nie miał żadnych śladów na ciele, ale jego twarz była potwornie zniekształcona, jak twarz człowieka zmiażdżonego przez jakąś nadludzką siłę — podobną do gigantycznego węża.

SERCE STAREGO GARFIELDA

Siedziałem na werandzie, gdy przyczłapał mój dziadek, opadł na swój ulubiony miękki fotel i zaczął nabijać fajkę z kaczana kukurydzy.

— Myślałem, że poszedłeś na tańce — powiedział.

— Czekam na doktora Blaine'a — odparłem — żeby pójść z nim do starego Garfielda.

Dziadek przez chwilę ssał fajkę, po czym dodał:

— Żle jest ze starym Jimem, prawda?

— Doktor nie daje mu szans.

— Kto się nim opiekuje?

— Joe Braxton... chociaż Garfield nie życzy sobie tego. Ale przecież ktoś musi być przy nim.

Dziadek, ssąc fajkę i obserwując bezgłośnie błyskawice na wzgórzach, powiedział:

— Pewnie myślisz, że stary Jim jest największym łgarzem w okolicy, co?

— Rzeczywiście, opowiada dość dziwne bajki — przyznałem. — Pewne zdarzenia, o których mówi, musiały mieć miejsce przed jego urodzeniem.

— Ja przyjechałem z Tennessee do Teksasu w 1870 roku — rzucił nagle dziadek. —

Widziałem, jak miasto Lost Knob powstawało z niczego. Kiedyś nie było tu nawet sklepu w szopie zbudowanej z pni. Ale stary Jim Garfield był tu stale, mieszkając w tym samym miejscu, w którym teraz mieszka, tylko, że kiedyś była to chata z drewnianych pni. Teraz nie wygląda nawet o jeden dzień starzej aniżeli wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy.

— Nigdy — mi o tym nie mówiłeś — zdziwiłem się.

— Wiedziałem, że przyjmiesz to jak bredzenie starego — odparł. — Stary Jim był pierwszym białym osadnikiem w tej okolicy. Zbudował swoją chatę dobre pięćdziesiąt mil na zachód od granicy. Bogowie tylko wiedzą, jak on to zrobił, ponieważ otaczające wzgórza roily się wtedy od Komanczów. Pamiętam, jak zobaczyłem go pierwszy raz. Już wtedy wszyscy nazywali go starym Jimem. Pamiętam, że opowiadał to samo, co tobie, jak w młodości walczył pod San Jacinto i jak jeździł z Ewenem Cameronem i Jackiem Hayesem. Tylko że ja mu wierzyłem, a ty nie wierzysz.

— To było tak dawno... — zaprotestowałem.

— Ostatni napad Indian w tej okolicy miał miejsce w 1874 roku — rzekł dziadek, pogrążony we wspomnieniach. — Walczyłem wtedy razem ze starym Jimem. Widziałem, jak zrzucił Żółtego Ogona z mustanga, strzelając do niego z odległości około siedmiuset jardów ze strzelby na bawoły. Ale przedtem jeszcze walczyłem razem z nim u źródeł Locust Creek. Razem z Mesquitami, rabując i paląc, nadeszła banda Komanczów i pędząc przez wzgórza wracała w stronę Locust Creek, a nasz zwiad deptał im po piętach. Kiedy dopędziliśmy ich, reszta naszych przedzierała się pieszo przez zarośla. Jednak trzech z naszych padło a Jim Garfield otrzymał cios włócznią w piersi. To była straszna rana. Leżał jak nieżywy i wydawało się, że takiej rany nikt nie może przeżyć. Wtedy z zarośli wyszedł stary Indianin i gdy wymierzaliśmy w niego, uczynił znak pokoju i zaczął mówić po hiszpańsku. Nie wiem, dlaczego chłopcy nie strzelili do niego, gdy do nas podchodził, byliśmy wtedy rozpaleni

walką i zabijaniem, ale było w nim coś takiego, że nie wystrzeliliśmy. Powiedział, że nie należy do Komanczów, jest starym przyjacielem Garfielda i chce mu pomóc. Poprosił, żebyśmy zanieśli Jima w kępę zarośli i pozostawili go razem z nim. Do dziś nie wiem dlaczego posłuchaliśmy go. To było straszne. Ranny wrzeszczał, błagał o wodę, wokół leżały trupy z wytrzeszczonymi oczami, nadchodziła noc a, my nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, czy po zapadnięciu ciemności Indianie wrócą.

Rozbiliśmy obóz na miejscu, ponieważ konie' były wykończone; przez całą noc czuwaliśmy, ale Komańcze nie wrócili. Nie wiem, co działo się w tych zaroślach, gdzie leżał Jim Garfield, już nigdy później nie widziałem tego dziwnego Indianina. W nocy słyszałem jakieś jęki, jednak nie były to jęki umierającego, a od północy do świtu rozlegało się też pohukiwanie sowy.

A o świcie Jim Garfield wyszedł z zarośli, był blady i osłabiony, jednak rana na piersi zaczynała się zamykać i goić. Od tego czasu nigdy nie mówił o ranie, ani o walce, nie wspominał też tego dziwnego Indianina, który tak tajemniczo zjawił się i odszedł. I nawet ani trochę się nie postarzał — teraz wygląda dokładnie tak samo jak wtedy — jakby miał pięćdziesiąt lat.

Ciszę, jaka nastąpiła, przerwał warkot silnika samochodowego i zmrok przecięły dwa snopy światła reflektorów.

— To doktor Blaine — powiedziałem. — Po powrocie powiem ci, jak się czuje Garfield. W czasie trzy milowej jazdy przez wzgórza dzielące Lost Knob od farmy Garfielda, doktor Blaine chętnie rzucał różnymi przepowiedniami.

— Będę zaskoczony, jeśli znajdziemy go jeszcze żywym — mówił. — Człowiek w jego wieku powinien mieć więcej rozsądku i nie próbować ujeżdżać młodego konia.

— On nie wygląda na takiego starego — zauważyłem.

— Wkrótce kończę pięćdziesiąt lat — odparł doktor Blaine. — Znam go od niepamiętnych czasów i kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, musiał mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat. Jego wygląd jest mylący.

Miejsce, w którym mieszkał Garfield, przypominało czasy minione. Ściany niskiego, przysadzistego domu nigdy nie widziały farby. Ogródenie sadu i korrali wykonane było z szyn kolejowych.

Stary Jim leżał na prostym łóżku pod opieką szorstkiego, lecz skutecznie działającego człowieka, którego doktor Blaine zatrudnił, nie zważając na protesty starego. Kiedy spojrzałem na Garfielda, znowu uderzyła mnie jego żywotność. Ciało miał skurczone, ale nie zwiędłe, członki zaokrąglone i widać było sprężyste mięśnie. Silny, masywny kark i twarz — chociaż teraz wykrzywiona z bólu — wyraźnie nosiły cechy męskiej siły. Jego oczy, choć zamglone bólem, płonęły tą samą niepokonaną żywotnością.

— Majaczył — rzekł poważnie Joe Braxton.

— Pierwszy biały w tych stronach — mruzczał stary Jim niewyraźnie. — Wzgórza, na których nigdy przedtem nie stanęła stopa białego człowieka. Jestem już za stary. Muszę się ustakować. Już dłużej nie mogę tak się włóczyć. Chyba osiedlę się tutaj. To była dobra kraina, zanim wypełnili ją hodowcy krów i inni osiedleńcy. Mogłem ją lepiej obejrzeć z Ewenem Cameronem. Ale zabili go Meksykanie. Niech będą przeklęci!

Doktor Blaine potrząsnął głową.

— Jest w środku kompletnie porzbijany. Nie dożyje rana.

Garfield niespodzianie uniósł głowę i spojrzał na nas całkiem przytomnym wzrokiem.

— Pomyłka, doktorze — wyrzucił głosem ochrypłym z bólu. — Będę żył. Co znaczą połamane kości i powykręcane bebechy? Nic! Liczy się tylko serce. Tak długo, jak serce pompuje, człowiek nie umiera. Moje serce jest zdrowe. Proszę posłuchać! Czuje pan? Z wysiłkiem sięgnął po rękę doktora, przyciągnął ją do piersi i trzymał wpatrując się intensywnie w jego twarz.

— Rytmicznie pracujące dynamo, prawda? — wykrztusił. — Silniejsze od motoru na benzynę.

Blaine skinął na mnie.

— Przyłóż tu rękę — powiedział i chwyciwszy moją rękę położył ją na nagiej piersi starego. — To serce bije niezwykle silnie.

W świetle lampy naftowej dostrzegłem dużą bliznę, jaką mogła zrobić włócznia o krzewiennym ostrzu. Położyłem dłoń dokładnie na bliznie i z ust wyrwał mi się okrzyk.

Czułem, jak pulsowało serce starego Jima Garfielda, ale uderzenia nie przypominały akcji zwykłego serca, jakie kiedykolwiek mogłem zbadać. Biło zdumiewająco silnie; pod rytmicznymi uderzeniami żebra aż wibrowały. Miałem wrażenie, że bardziej przypomina to pracę maszyny aniżeli ludzkiego organu. Mogłem wyczuć płynącą z piersi zdumiewającą

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

żywołność, która oddziałując na moją dłoń wpływała w rękę i przepływając przez ramię zdawała się w odpowiedzi przyspieszać bicie mego własnego serca.

— Nie mogę umrzeć — wykrztusił stary Jim. — Tak długo nie umrę, jak długo mam to serce w piersi. Może mnie zabić tylko kula, gdyby dosięgła mózgu. Ale nawet wtedy naprawdę nie umrę, dopóki serce bije w mojej piersi. Tak naprawdę to nawet nie jest moje serce. Należy do Widmowego Człowieka, wodza Lipanów. To było serce boga, którego Lipanowie czcili, zanim Komańcze wyrzucili ich z rodzinnych wzgórz. Widmowego Człowieka poznałem nad Rio Grande, gdy byłem z Ewenem Cameronem. Kiedyś uratowałem mu życie broniąc przed Meksykanami. Przeciągnął od siebie do mnie sznurek z nanizanymi nań paciorkami z muszelek — ale był to taki niewidzialny sznurek, którego żaden człowiek poza nami nie mógł widzieć lub czuć. Podczas bitwy u źródeł Locust Creek przybył do mnie, wiedząc, że go potrzebuję, kiedy zostałem zraniony włócznią.

Byłem tak martwy, jak tylko może być martwa ludzka istota. Serce miałem rozplątane na pół, jak serce zaszlachtowanego bukata. Przez całą noc Widmowy Człowiek czynił nade mną swoje czary, przywołując mojego ducha, aby wrócił z krainy cieni. Trochę pamiętam ten lot. Było mroczno, żeglowałem w powietrzu przez szarą mgłę, słysząc zawodzenie umarłych. Jednak Widmowy Człowiek sprowadził mnie z powrotem do ciała.

Wyjął to, co zostało z mojego śmiertelnego serca i wsadził w pierś serce boga. Jednak to serce jest jego i przyjdzie po nie, kiedy przestanie go używać. Utrzymało mnie przy życiu, dało siłę jakby na drugie życie, i starość nie może przyjść do mnie.

Co mam robić, jeśli ci otaczający mnie głupcy nazywają mnie starym łgarzem? Co wiem, to wiem. Ale posłuchajcie tylko!

Jego palce zakrzywiły się jak szpony, zaciskając się na przegubie ręki doktora Blaine'a. Jego oczy, stare, jednak dziwnie młode, płonęły pod krzaczastymi brwiami dziko, niczym oczy orła.

— Gdybym teraz lub później umarł na skutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, musicie mi coś obiecać! Rozetnijcie moją pierś i wyjmijcie serce Widmowego Człowieka, które dał mi tak dawno temu! Ono jest jego. Jak długo bije w mej piersi, tak długo duch pozostanie w ciebie, nawet gdybym miał zmiażdżoną głowę jak jajko pod stopą. Byłaby to żyjąca rzecz w gnijącym ciebie! Przrzeknijcie!

— W porządku, przrzekam — zapewnił doktor Blaine, żeby go pocieszyć i stary Jim Garfield opadł na łóżko ze świszczącym westchnieniem ulgi.

Tej nocy nie umarł, ani następnej, ani jeszcze następnej. Ten następny dzień dobrze pamiętam, ponieważ był to dzień, w którym walczyłem z Jackiem Kirbym.

Ludzie wolą potulnie znosić brutalne postępowanie bandyty niż zdecydować się na przelewanie krwi. Nikt nie miał zamiaru kłopotać się zabijaniem go i Kirby był przekonany, że wszyscy w całej okolicy trzęsą przed nim portkami.

Kupił od mojego ojca młodego byczka, a gdy ojciec poszedł po pieniądze, powiedział, że zapłacił już mnie, co było oczywistym kłamstwem. Postanowiłem więc odszukać Kirby'ego i znalazłem go w nielegalnej speluncie, przechwalającego się swoją siłą; opowiadał przed całym tłumem, że zbije mnie i zmusi, abym przyznał, że wzięłem od niego pieniądze i wetknąłem je do kieszeni. Kiedy usłyszałem o tym, oczy przesłoniła mi mgła wściekłości. Podbiegłem do niego z nożem, jakiego używają hodowcy bydła i ciąłem przez twarz, szyję, w bok i przez pierś do brzucha. Uszedł z życiem tylko dlatego, że odciągnięto mnie do tyłu.

Potem odbyło się wstępne śledztwo, zostałem oskarżony o napaść i ustalono termin rozprawy w sądzie. Kirby był tak twardy, jak powinien być twardy bandzior zamieszkujący tę okolicę pokrytą wiekowymi dębami i wyzdrowiał przysięgając zemstę. Był próżny na punkcie swego wyglądu, chociaż Bóg wie dlaczego, a ja kompletnie i na całe życie pozbawiłem go urody.

W czasie, gdy Jack Kirby przychodził do siebie — ku zdumieniu wszystkich, a szczególnie doktora Blaine'a — również przychodził do zdrowia stary Garfield.

Pamiętam dobrze noc, gdy doktor Blaine znowu zabrał mnie na farmę Garfielda. Byłem wtedy w dość nędznym barze, próbując wypić pomyje, które dumnie tu zwano piwem, aby poczuć, że w ogóle coś piję, kiedy przyszedł doktor Blaine i przekonał mnie, żebym z nim poszedł.

Jadąc rozklekotanym samochodem doktora, wijącą się starą drogą, zapytałem:

— Dlaczego upierasz się, abym właśnie dziś w nocy pojechał do niego? Przecież to nie jest zwykła wizyta lekarska?

— Nie — odparł. — Nie mógłbyś, go zabić nawet dębowym kołkiem. On już kompletnie wyzdrowiał z ran, które mogłyby zabić nawet wołu. Mówiąc prawdę zabrałem cię dlatego, że w Lost Knob jest Jack Kirby i przysięgał, że zabije cię, gdy tylko cię zobaczy.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— O, na litość boską! — wykrzyknąłem z wściekłością. — Teraz wszyscy pomyślą, że uciekłem przed nim z miasta. Do diabła, zawróć doktorze i zawieź mnie z powrotem.
— Bądź rozsądny — odparł doktor. — Wszyscy wiedzą, że nie boisz się Kirby'ego. Teraz nikt się go nie boi. On już nic tu nie znaczy, przepadła jego legenda i dlatego wścieka się i chce cię dopaść. Jednak teraz nie możesz mieć z nim więcej kłopotów, pamiętaj, że zbliża się termin rozprawy.

Zaśmiałem się i odrzekłem:

— Jeżeli naprawdę będzie chciał mnie znaleźć, tak samo może znaleźć mnie u Garfielda, ponieważ Shifty Corlan słyszał, co mówiłeś, gdy wychodziliśmy z baru. A Shifty nienawidzi mnie, od kiedy zdarłem z niego skórę podczas wymiany koni ubiegłej niedzieli. Powie Kirby'emu dokąd pojechałem.

— Nie pomyślałem o tym — zmartwił się doktor Blaine.

— Do diabła, nie myślmy o tym — zapewniłem doktora. — Kirby nie odważy się. On się tylko zgrywa.

Ale myliłem się. Jeżeli uderzysz w próżność bandziora, dotkniesz jego najczulszego miejsca.

Stary Jim jeszcze się nie położył, gdy przybyliśmy na miejsce. Siedział w pokoju, którego okna wychodziły na zapadłą werandę. Był to pokój pełniący zarazem funkcję salonu i sypialni. Siedział paląc starą fajkę z kukurydzianej kolby i próbował czytać gazetę przy świetle lampy naftowej. Wszystkie drzwi i okna były szeroko otwarte dla ochłody, ale muszki i inne owady, gromadzące się wokół lampy, wydawały się go nie martwić.

Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać o pogodzie, co nie było rozmową tak beznadziejnie idiotyczną, jak to można by sobie wyobrazić, bowiem w kraju, gdzie ludzkie życie zależy od słońca i deszczu, jest się na łasce wiatru i suszy. Rozmowa zboczyła na inne tory i po chwili doktor Blaine zaczął mówić na temat, który leżał mu na sercu.

— Jim — powiedział — tej nocy, kiedy myślałem, że jesteś umierający, zacząłeś coś bełkotać o twoim sercu i o Indianinie, który ci je pożyczył. Ile z tego było wytworem chorej wyobraźni?

— Nic, doktorze — odparł Garfield pykając fajkę. — To była prawda jak w ewangelii. Widmowy Człowiek, lipański kapłan Boga Nocy, zamienił moje nieżyjące, rozplątane serce na to coś, co należało do kogoś, kogo czcił. Nie jestem pewien, co to właściwie było. Mówił, że to jest bardzo daleko i pochodzi z bardzo dawnych czasów. Ale to coś, będąc bogiem, może przez jakiś czas pozostać pozbawione serca. Jednak kiedy umrę — jeśli kiedyś zostanie zmiażdżona moja głowa i zniszczona świadomość — wówczas serce musi wrócić do Widmowego Człowieka.

— Ty naprawdę twierdzisz, że twoje serce zostało wyjęte z piersi? — spytał z naciskiem doktor Blaine.

— Tak być musiało — odparł stary Garfield. — Żyjąca rzecz w martwym ciele jest sprzeczna z naturą. Tak powiedział Widmowy Człowiek.

— A kim, u diabła, był ten Widmowy Człowiek?

— Już panu mówiłem. Czarownik Lipanów, którzy zamieszkiwali ten kraj, zanim zostali przepędzeni przez Komanczów, którzy przyszli tu z Bezkresnych Równin, wędrując na południe przez Rio Grandę. Byłem ich przyjacielem. Myślę, że Widmowy Człowiek jest jedynym pozostałym przy życiu Lipanem.

— Przy życiu?... Teraz?

— Nie wiem — wyznał stary Jim. — Nie wiem, czy teraz żyje. Nawet nie wiem, czy żył wtedy, gdy przyszedł do mnie po bitwie nad Locust Creek. I nie wiem też, czy żył wtedy, gdy znałem go na południu. To znaczy, czy był tak żywy, jak my rozumiemy życie.

— Co nam tu opowiadasz za brednie? — doktor Blaine drgnął niespokojnie, a ja poczułem, jak jeżą mi się włosy na głowie. Na zewnątrz panował spokój, na niebie błyszcząły gwiazdy, wśród dębów kładły się głębokie cienie. Lampa rzucała na ścianę groteskowy cień starego Garfielda, a jego słowa brzmiały tak dziwnie, jak słowa słyszane w sennym koszmarze.

— Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz, doktorze — powiedział stary Jim. — Sam tego nie mogę pojąć i brak mi słów, aby to wytłumaczyć, czuję to i wiem, nie rozumiem. Lipanowie byli spokrewnieni z Apaczami, a Apacze nauczyli się ciekawych rzeczy od Pueblos. Widmowy Człowiek był — to wszystko, co mogę powiedzieć — żywy lub martwy, tego nie wiem, jednak po prostu był. Co więcej, on jest.

— Jak myślisz, który z nas dwóch zwariował? — zapytał doktor Blaine.

— No — odparł stary Jim — mogę powiedzieć tylko tyle, że... Widmowy Człowiek znał Coronado.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— Jesteś głupi jak but! — zamruczał doktor Blaine. Potem uniósł głowę. — Co to?

— Od drogi dochodzi tętent skręcającego w tę stronę konia — powiedziałem. — Wydaje się, że zatrzymał się.

Głupio podeszedłem do drzwi i stałem na tle światła padającego z pokoju. Dostrzegłem zarys ciemnego kształtu człowieka na koniu; wtedy doktor Blaine krzyknął:

— Uważaj! — i rzucił się w moim kierunku, przewracając mnie na podłogę. W tym momencie usłyszałem huk wystrzału i stary Garfield zacharczał ciężko padając.

— To Jack Kirby! — krzyknął doktor Blaine. — Zabił Jima!

Pozbierałem się z podłogi i usłyszałem oddalający się galop konia. Zerwałem ze ściany strzelbę starego Jima, wybiegłem bez zastanowienia na werandę i wystrzeliłem z obu luf za słabo widocznym w świetle gwiazd uciekającym cieniem. Ładunek był za słaby, aby na tę odległość zabić, ale śrut trafił konia, doprowadzając go do szału; skręcił, skoczył na płot z szyn i pognał przez sad. Gałąź brzoskwini uderzyła jeźdźca, zrzucając go z siodła. Upadł i leżał bez ruchu. Podbiegłem i spojrzałem na niego. To był oczywiście Jack Kirby. Jego kark był złamany jak sucha gałąź.

Zostawiłem go i wróciłem do domu. Doktor Blaine rozłożył starego Garfielda na ławce przyciągniętej z werandy. Twarz doktora była kredowobiała. Stary Jim przedstawiał przerażający widok. Został trafiony pociskiem ze starej strzelby 45–70 i z tej odległości kula dosłownie odstrzeliła górną część czaszki. Cała twarz zalana była krwią pomieszaną z móżgiew. Biedny staruszek stał tuż za mną i dostał pociskiem przeznaczonym dla mnie. Doktor Blaine trząsał się cały, chociaż zapewne przyzwyczajony był do tego rodzaju widoków.

— Mógłbyś stwierdzić, że nie żyje? — zapytał.

— To ty musisz to orzec, ale nawet głupiec może stwierdzić, że nie żyje — odparłem.

— On jest martwy — powiedział doktor Blaine zduszonym, nienaturalnym głosem. — Już zaczyna się rigor mortis, ale czuję bicie jego serca!

Dotknąłem piersi i krzyknąłem. Ciało zaczynało już stygnąć i wiotczeć, ale wewnątrz to tajemnicze serce ciągle biło, pracowało jak dynamo w opuszczonym domu. Krew nie krążyła już w żyłach, jednak serce biło, biło, biło, jak puls Wieczności.

— Żyjący organ w martwym ciele — powtórzył doktor Blaine z twarzą pokrytą zimnym potem. — To przeciwne naturze. Dotrzymam danej mu obietnicy. Przyjmę na siebie całą odpowiedzialność. To zbyt potworne, abym mógł to zignorować.

Naszymi narzędziami był nóż kuchenny i piłka do metalu. Na zewnątrz ciche, spokojne gwiazdy spoglądały na cienie lasu i martwego człowieka leżącego w sadzie. W pokoju migotała stara lampa, wywołując dziwaczne ruchome cienie, kurczące i drżące po kątach, połyskujące na powierzchni plam krwi na podłodze i zakrwawionym ciele leżącym na ławce. Jedyнным dźwiękiem, jaki słychać było w pokoju, był chrzęst piłki tnącej kości; na zewnątrz zaczęła upiornie pohukiwać sowa.

Doktor Blaine włożył zakrwawioną rękę do otwartej rany i wyciągnął z niej czerwony, pulsujący przedmiot, na który padło światło lampy. Odskoczył ze zduszonym okrzykiem, ten przedmiot wysliznęła mu się z palców i upadł na stół. Ja też mimo woli krzyknąłem. To, co wysliznęło się z palców doktora, nie pacnęło miękko na blat stołu, tak jak powinien upaść kawałek ciała, ale twardo uderzyło w stół.

Pochylny jakąś przemożną siłą pochyliłem się i ostrożnie podniosłem serce starego Garfielda. Trzymałem w palcach coś twardego, nie uginającego się, jakby było kamieniem lub czymś wykonanym ze stali, ale bardziej gładkie i delikatniejsze. Wielkością i kształtem odpowiadało ludzkiemu sercu, ale na jego purpurowej powierzchni światło lampy odbijało się jak na kamieniu szlachetnym bardziej błyszczącym od rubina. Trzymając to, czułem jak silnie drży, przesyłając wzdłuż mego ramienia wibracje promieniującej energii, a moje serce zdawało się w odpowiedzi pęcznieć i bić gwałtowniej. Była to jakaś kosmiczna, niepojęta siła, skoncentrowana w przedmiocie podobnym do ludzkiego serca.

Pomyślałem, że trzymam w ręce siłę tworzącą życie, najbliższy krok do nieśmiertelności nędznego, zniszczalnego ciała ludzkiego, materializację tajemnicy kosmosu, coś cudowniejszego niż bajeczne fontanny, których poszukiwał Ponce de Leon. Moja dusza pogrążyła się w niezemskiej jasności i nagle gorąco zapragnąłem, aby to serce zaczęło bić w mojej własnej piersi, zamiast tego mego żalowanego serca z tkanki i mięśnia.

Doktor Blaine krzyknął coś niezrozumiale. Odwróciłem się szybko.

Dźwięk, z którym nadszedłem, nie był głośniejszy od szeptu nocnego wietrzyka wśród łanów zbóż. Teraz stał w drzwiach, wysoki, ciemny, nieprzenikniony — indiański wojownik w wojennym pióropuszu, opasce na biodrach i w mokasynach o bardzo starym wzorze. Jego czarne oczy płonęły jak ognie w głębinie bezdennej, czarnego jeziora. W milczeniu wyciągnął rękę i położył na jego dłoni serce starego Garfielda. Potem bez słowa odwrócił

się i dostojnie odszedł w ciemność nocy. Ale kiedy wybiegłem z doktorem Blainem na podwórze, nie dostrzegłem już żadnej ludzkiej istoty. Rozpłynął się jak nocny duch i tylko coś, co przypominało sowę, przeleciało znikając w oddali, w świetle wschodzącego księżyca.

DELEND A EST

To żadne cesarstwo, mówię wam! To zwykłe oszustwo. Cesarstwo? Ba! Jesteśmy tylko zwykłymi piratami! — Był to, oczywiście, jak zawsze ulegający nastrojom i ponurym myślom Hunegais, ze swoimi zaplecionymi w warkocze czarnymi lokami i opuszczonymi w dół wąsami, które ukazywały, że płynie w nim sławońska krew. Ciężko dyszał, a falerniańskie wino przelewało się brzegiem jego jaspisowego puchara, który trzymał w zaciśniętych muskularnych dłoniach, by purpurą zaplamić obszytą złotem tunikę. Pił hałaśliwie jak koń i ciągle z upodobaniem powracał do ulubionego narzekania.

— I czego dokonaliśmy w Afryce? Zniszczyliśmy posiadaczy ziemskich i kapłanów, a sami obwołaliśmy się panami tej ziemi. A kto pracuje na roli? Wandale? Nie, absolutnie nie. Pracują ci sami, którzy pracowali dla Rzymian. Po prostu zastąpiliśmy Rzymian. Gnębimy ich podatkami, różnymi opłatami i do tego zmuszeni jesteśmy bronić tych ziem przed napadami przekłętých Berberów. Nasza słabość kryje się w naszej liczebności. Nie możemy się wymieszać z innymi, żeby się zasymilować. Nie możemy uczynić z nich ani sojuszników, ani poddanych. Możemy tylko zachować coś w rodzaju militarnego prestiżu — stanowimy małe, wyobcowane grupki, kryjące się w warownych zamkach i teraz jedynie narzucające nasze prawa wielu rdzennym mieszkańcom tych ziem, którzy, co jest znaną prawdą, nienawidzą nas bardziej aniżeli nienawidzili Rzymian, ale...

— Można trochę złagodzić tę nienawiść — przerwał Athaulf. Był młodszy od Hunegaisa, schludnie ubrany i niebrydki; zachowywał się mniej prymitywnie. Pochodził z Suewi, młodość spędził jako zakładnik na dworze w jednej z wschodnich prowincji rzymskich. — Oni są ortodoksyjni. Gdybyśmy mogli wyrzec się arianizmu...

— Nie! — Hunegais zacisnął masywne szczęki z taką siłą, że skruszyłyby zęby, gdyby nie były tak mocne. Jego ciemne oczy zabłysły płomieniem fanatyzmu, tak charakterystycznego dla wszystkich Teutonów. — Nigdy! Jesteśmy panami! To ich sprawa ulec — nie nasza. To my znamy prawdę o Arianie, a jeśli ci nędzni Afrykańczycy nie potrafią zdać sobie sprawy z tego, że błądzą, musimy ich, aby ujrzeli prawdę — ogniem lub mieczem, a nawet męczarniami, jeśli to się okaże konieczne! — Potem jego oczy znów zmętniały i z głębokim westchnieniem sięgnął po dzban z winem.

— Za sto lat królestwo Wandalów będzie tylko wspomnieniem — prorokował. — Teraz trzyma je tylko silna wola Genseric. — Wymawiał to jak „Geiserik”.

Nazwany w ten sposób zaśmiał się, odchylił do tyłu na mahoniowym fotelu i wyciągnął przed siebie muskularne nogi. Były to nogi jeźdźca, których właściciel zamienił siodło na pokład wojennej galery. W ciągu pokolenia zmienił plemię jeźdźców na plemię morskich włóczęgów i rozbójników. Był królem plemienia, które stało się synonimem zniszczenia i był najwspanialszym umysłem w znanym wówczas świecie.

Urodzony nad brzegami Dunaju, wyrósł na długim szlaku wiodącym na zachód. W czasie, gdy na rzymskich palisadach ginęły całe narody, doszedł do korony wykutej dla niego w Hiszpanii i całej dzikiej wiedzy, jaką wówczas mógł nabyć podczas święta mieczy i niszczenia innych plemion. Jego dzicy jeźdźcy zmiotli włócznie rzymskich władców w Hiszpanii i skazali ich na zapomnienie. Kiedy Wizygoci połączyli się z Rzymianami i zaczęli spoglądać na południe, Genseric swoimi intrygami ściągnął zgromadzonych na zachodzie przerażonych Hunów Attyli, wbijając się niezliczonymi lancami w płonące horyzonty. Teraz Attyla już nie żył, nikt nie wiedział, gdzie są ukryte jego skarby strzeżone przez duchy pięciuset zabitych niewolników. Ale imię jego rozbrzmiewało po całym ówczesnym świecie, choć za swoich dni był tylko pionkiem bezwolnie poruszonym ręką króla Wandalów. I kiedy po Chalons hordy Gotów przeszły Pireneję, Genseric nie czekał, aby zostać zmieciony przez przeważające siły. Ludzie ciągle przeklinali Bonifacego, który wezwał Genseric na pomoc do walki ze swym rywalem, Aetiusem, otwierając tym sposobem Wandalom drogę do Afryki. Zbyt późno pogodził się z Rzymem; był tak próżny jak odważny, ale nie mógł już zapobiec temu, co zrobił. Bonifacy zginął przebity włócznią Wandalów i na południu powstało nowe królestwo. Nie żył również Aetius i teraz potężna wojenna galera Wandalów, wspinając się z fali na falę, płynęła na północ, pchana długimi, błyszczącymi w świetle gwiazd wiosłami.

W kabinie wiodącej galery Genseric słuchał rozmowy kapitanów, uśmiechając się łaskawie i przeczesując muskularnymi palcami zwichrzoną, żółtą brodę. W jego żyłach nie płynęła

nawet kropla krwi Scytów, która odróżniała jego plemię od innych Teutonów od czasów, gdy posuwający się na zachód, uciekając przed napierającymi Sarmatami, rozproszeni jeźdźcy stepowi przybyli do ludów zamieszkujących tereny nad Łabą. Genserik był czystej krwi Germaninem, średniego wzrostu, o szerokich barkach i piersi i masywnym, umięśnionym karku. Cała jego postać sugerowała taką żywotność, jak duże, niebieskie oczy odzwierciedlały mądrość.

Był najsilniejszym człowiekiem w znanym wówczas świecie — był też piratem, pierwszym z teutońskich rozbójników morskich, których później nazwano wikingami; jednak terenem jego podbojów nie był Bałtyk, ani też Morze Północne, ale słońcem roziskrzona brzegi Morza Śródziemnego.

— A wołą Genserica jest — roześmiał się na ostatnią uwagę Hunegaisa — teraz pić i bawić się nie dbając o jutro.

— Rzekłeś! — parsknął Hunegais ze swobodą, jaka ciągle jeszcze panowała wśród barbarzyńców. — A od kiedy to ty nie martwisz się o jutro? Knujesz i knujesz nie tylko na jutro, ale na następne tysiąc jut, jakie mają nadejść! Nie musisz się przed nami maskować. Nie jesteśmy Rzymianami, których możesz ogłupiać, aby byli przekonani, że jesteś idiotą — takim jak Bonifacy!

— Ale Aetius nie był głupi — zamruczał Thrasamund.

— Jednak on nie żyje, a my płyniemy na Rzym — odparł Hunegais z pierwszym słabym objawem satysfakcji, jaką mógł jeszcze z siebie wykrzesać. — Alaric nie zrabował wszystkiego, dzięki Bogu! Cieszę się, że Attyla załamał się w ostatniej chwili — dzięki temu będziemy mieli więcej do splądrowania.

— Attyla pamiętał Chalons — odparł przeciągle Athaulf. — W Rzymie jest coś żywotnego i to jest naprawdę dziwne. Nawet wtedy, gdy wydaje się, że cesarstwo jest już kompletnie rozbite, rozdarte, zniszczone, potrzaskane, nawet wtedy jakaś część nagle ożywa i rośnie. Stilicho, Teodozjusz, Aetius — kto wie? W tej chwili może być w Rzymie ktoś, kto śpi, ale może nas wszystkich zniszczyć.

Hunegais prychnął i załomotał w poplamiony winem blat stołu.

— Rzym jest tak martwy, jak moja biała kobyła, na której zdobywałem Kartaginę. Musimy tylko wyciągnąć ręce i zacząć łupić!

— Był kiedyś pewien dowódca, który też tak myślał — odezwał się sennie Thrasamund.

— Kartagińczyk. Na Boga, zapomniałem, jak się nazywał. Tłukł Rzymian na każdym polu. Ciał, walił, taka była jego taktyka!

— No — zauważył Hunegais — ale wreszcie musiał albo przegrać, albo zniszczyć Rzymian.

— Otóż to! — wykrzyknął Thrasamund.

— Nie jesteśmy Kartagińczykami — zaśmiał się Genserik. — I w ogóle kto tu śmie mówić o łupieniu Rzymu? Czy nie płyniemy tylko po to, aby pomóc temu cesarskiemu miastu w odpowiedzi na wezwanie cesarzowej otoczonej zawistnymi wrogami? A teraz wynoście się wszyscy. Chce mi się spać.

Drzwi kabiny trzasnęły, tłumiąc ponure proroctwa Hunegaisa, bystre odpowiedzi Athaulfa i pomruki innych. Genserik wstał, podszedł do stołu, aby nalać sobie ostatni puchar wina. Szedł kulejąc, to wiele lat temu ugodziła go w nogę frankońska włócznia.

Podniósł do ust zdobiony klejnotami puchar i odwrócił się klnąc w zdumieniu. Nie słyszał, aby drzwi kabiny otwierały się, ale po przeciwległej stronie stołu stał jakiś mężczyzna.

— Na Odyna! — Arianizm Genserica był zaledwie tak głęboki jak jego naskórek. — Co robisz w mojej kabynie?

Gdy minął moment zaskoczenia, głos Genserica stał się opanowany i spokojny. Król był zbyt przebiegły, aby ukazywać prawdziwe emocje. Niewidocznie zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Było to nagłe i niespodziewane wtargnięcie...

Jednak przybyły nie uczynił żadnego nieprzyjaznego ruchu. Był dla Genserica kimś zupełnie obcym, i Wandal wiedział, że nie jest ani Teutonem, ani Rzymianinem. Był wysoki, ciemny, z wspaniale ukształtowaną głową i falującymi włosami przytrzymanymi ciemnoczerwoną opaską. Na piersi spływała kręcona, patriarchalna broda. W umyśle Wandala zaczynało coś mętnie świtać.

— Nie przybyłem, żeby cię skrzywdzić! — Miał głęboki, silny i dźwięczny głos. Genserik nie mógł wiele powiedzieć o jego ubraniu, ponieważ zakryte było obszernym, ciemnym płaszczem. Wandal zastanawiał się, czy nie trzyma pod nim jakiejś broni.

— Kim jesteś i w jaki sposób dostałeś się do mojej kabiny? — natarł.

— Nieważne, kim jestem — odparł przybyły. — Jestem na pokładzie od chwili, gdy wypłynęliście z Kartaginy. Wszedłem na pokład w nocy.

- Nigdy nie widziałem cię w Kartaginie — mruknął Genserik. — A wyróżniałbyś się w tłumie.
- Mieszkam w Kartaginie — odrzekł obcy. — Mieszkam tam od wielu lat. Urodziłem się w Kartaginie, a przede mną moi przodkowie. Kartagina jest moim życiem! — Ostatnie zdanie wypowiedział z taką mocą, że Genserik bezwiednie cofnął się i zmrużył oczy.
- Mieszkańcy tego miasta mają powody, żeby nas nienawidzić — rzekł. — Ale łupienie i niszczenie nie odbywało się z mego rozkazu. Miałem nawet zamiar uczynić Kartaginę moją stolicą. Jeżeli w jakiś sposób ucierpiełeś, to...
- Nie z rąk twoich wilków — ponuro odparł obcy. — Ja widziałem już takie plądrowania, że nawet ty, barbarzyńco, nawet ty o nich nie śniłeś! Zwą was barbarzyńcami. A ja widziałem, co potrafią wyczyniać ci cywilizowani Rzymianie.
- Jeśli dobrze pamiętam, Rzymianie nie splądrowali Kartaginy — zamruczał Genserik, krzywiąc się z zakłopotaniem.
- Poetycka sprawiedliwość! — wykrzyknął obcy, wysunął rękę spod płaszcza i uderzył pięścią w stół. Genserik zauważył, że była to ręka muskularna, lecz biała ręka arystokraty. — Kartaginę zniszczyła rzymska chciwość i zdradzieckość, ale pod inną postacią odbudował ją handel. A teraz ty, barbarzyńco, opuściłeś jej porty, żeby upokorzyć jej zdobywców! Czy można dziwić się, że dawne sny osrebrzą ją liny twych statków i wciskają w najskrytsze zakamarki, a zapomniane upiory wstają z zapadłych grobów, aby ukradkiem skradać się na waszych pokładach?
- Kto tu mówi o upokarzaniu Rzymu? — spytał z niepokojem Genserik. — Płynę tam jako arbiter w sporze o dziedzictwo...
- Bzdura! — Pięść znowu wyrznęła z hukiem w stół. — Gdybyś wiedział to, co ja, zmiotłbyś to miasto z powierzchni ziemi, a potem zwrócił dzioby statków z powrotem na południe. Nawet teraz ci, do których płyniesz z pomocą, spiskują, aby cię zniszczyć... a na pokładzie twego statku płynie zdrajca!
- Co przez to masz na myśli? — jednak głos Wandala nadal był spokojny, nie ujawniał żadnych emocji.
- Przypuśćmy, że udowodnię ci, że twój najbardziej zaufany towarzysz i wasal spiskuje przeciwko tobie razem z tymi, do których płyniesz?
- W takim razie udowodnij to! — rzucił ponuro Genserik.
- Weź to jako świadectwo prawdy! — Rzucił na stół monetę i chwycił jedwabną przepaskę, która rzucił niedbale Genserik. — Chodź ze mną do kabiny twego doradcy i pisarza, najprzystojniejszego mężczyzny wśród barbarzyńców...
- Athaulf? — Genserik mimo woli zadrżał. — Jemu najbardziej ufam.
- Nie jesteś taki mądry, za jakiego cię uważałem — stwierdził ponuro obcy. — Bardziej należy bać się zdrajcy kryjącego się wewnątrz aniżeli wroga czyhającego na zewnątrz. Nie pokonały mnie legiony rzymskie — pokonali mnie zdrajcy kryjący się za bramami miasta. Rzym walczył nie tylko mieczami i statkami na morzu, ale także przy pomocy ludzkich dusz. Przybyłem z dalekiego kraju, aby uratować twoje cesarstwo i twoje życie. W zamian proszę cię tylko o jedno: utop Rzym we krwi!
- Obcy natychmiast jakby się przemienił, stał wyniosły, z ramieniem uniesionym, pięść zaciśnięta, w ciemnych oczach błyskające ognie. Emanowała z niego jakaś potężna, przerażająca siła, zdumiewając nawet dzikiego Wandala. Potem zarzucił królewskim gestem purpurowy płaszcz, podszedł do drzwi i mimo okrzyku i usiłowań Genserica, aby go zatrzymać, wyszedł z dumą z kabiny.
- Król w oszołomieniu pokuśtykał do drzwi, otworzył je i wyrztał na pokład. Na rufie paliła się latarnia, poczuł woń spoconych ciał ludzi z trudem poruszających wiosła. Rytmiczny plusk mieszał się z zanikającym chórem wiosel innych galer, płynących za nimi w długiej, niknącej w dali linii. W falach odbijał się srebrny księżyc błyszcząc biało na pokładzie. Przed drzwiami kabiny Genserica stał na straży wojownik, na jego złożonym hełmie i rzymskim pancerzu połyskiwało światło księżyca. Salutując uniósł dżiryt.
- Dokąd on poszedł? — rzucił król.
- Kto, mój panie? — zapytał głupio wojownik.
- Ten wysoki człowiek, kretynie — wykrzyknął niecierpliwie Genserik. — Człowiek w purpurowym płaszczu, który wyszedł z mojej kabiny.
- Nikt z niej nie wyszedł od czasu, gdy opuścili ją pan Hunegais i inni, mój panie — odparł zdumiony Wandal.
- Łżesz! — Wyciągnięty z pochwy miecz Genserica załśnił jak falujące srebro. Wojownik zbladł i cofnął się.
- Bóg mi świadkiem, królu — przysięgał — że tej nocy nie widziałem takiego człowieka.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Genseric wpatrywał się w niego badawczo; król Wandalów był dobrym obserwatorem i znał się na ludziach, wiedział, że ten wojownik nie kłamie. Poczł dziwny dreszcz i odwrócił się bez słowa. Szybko pokuśtykał do kabiny Athaulfa. Tam zawahał się, a potem szeroko rozwarł drzwi.

Athaulf leżał na stole w takiej pozycji, że nie trzeba było się przyglądać, aby ją ocenić. Twarz miał purpurową, rozszerzone oczy szkliste, z ust wystawał czarny język. Wokół jego szyi, zawiązana na marynarski supeł, owinięta była jedwabna przepaska Genseric. Blisko jednej ręki leżało pióro, a przy drugiej stał atrament i leżał skrawek pergaminu. Genseric chwycił go i przeczytał z trudem:

„Do Jej Wysokości, Cesarzowej Rzymu:

Ja, Wasz wierny sługa, grobie to, co Wasza Wysokość sobie życzy i wyperswaduję barbarzyńcy, któremu służę, aby poniechał uderzenia na wasze cesarskie miasto do czasu nadejścia spodziewanej z Bizancjum pomocy. Potem zawiodę go do wspomnianej zatoki, gdzie będzie go można ująć jak w kleszcze i zniszczyć wraz z całą flotą i...”

Pismo kończyło się rozmazanymi gryzmołami. Genseric spojrział w dół i znów poczuł, jak unoszą mu się włosy na głowie. Nigdzie nie było śladu obcego i Wandal wiedział, że już nigdy go nie ujrzy.

— Rzym za to zapłaci — zamruczał. Zrzucił publicznie noszoną maskę; twarz Wandala stała się twarzą zgłodniałego wilka. Nie trzeba było mędrca, aby dostrzec w jego płonących oczach i zaciśniętej pięści zgubę Rzymu. Przypomniał sobie, że ciągle jeszcze zaciska w dłoni monetę, którą obcy rzucił na stół. Spojrział na nią i ciężko dysząc rozpoznał stare pismo zapomnianego języka i zarys twarzy, jaką często widział wyrzeźbioną w marmurach starej Kartaginy, których nie dosięgła nienawiść Rzymian.

— Hannibal! — zamruczał Genseric.

CIEŃ BESTII

Jak długo wstają złowrózbné gwiazdy,
Wschód rozjaśniąją księżycą Iśnienia,
Tak długo w Niebie jest Bóg,
chroniąc nas Od Bestii cienia!

Szaleństwo zaczęło się wraz z wystrzałem z pistoletu. Człowiek upadł z kulą w piersi, a ten, kto wystrzelił, odwrócił się i uciekając warknął krótko do pobladłej dziewczyny, która, sparaliżowana ze zgrozy, stała tuż obok. Potem zniknął wśród drzew na skraju obozu, biegnąc ze zgarbionymi plecami, pochylony jak małpa.

Przez godzinę ludzie o ponurych twarzach z bronią w ręku przeczesywali las, potem okrutne polowanie trwało jeszcze całą noc, a ofiara zbiega leżała walcząc o życie.

— Teraz uspokoił się; mówią, że przeżyje — powiedziała Joan wychodząc z pokoju, w którym leżał jej brat. Potem załamała się i wybuchnęła płaczem.

Usiadłem przy niej i próbowałem ją uspokoić, jak uspokaja się dziecko. Kochałem ją, a ona dała mi odczuć, że odwzajemnia moją miłość. To miłość do niej ściągnęła mnie z teksańskiego ranczo do obozów drwali w cienistych lasach, gdzie jej brat pilnował interesów towarzystwa. Dotarłem do celu zaledwie godzinę po strzale.

— Opowiedz mi szczegółowo o wszystkim — powiedziałem. — Nie zdążyłem zorientować się o co chodzi.

— Nie ma wiele do opowiadania — odparła roztrzęsiona. — Ten człowiek nazywa się Joe Cagle. To zły człowiek... pod każdym względem. Dwa razy zauważyłam, jak wpatruje się w moje okno, a dziś rano wyskoczył spoza stosu drewna i chwycił mnie za ramię. Krzyknęłam, Harry podbiegł i uderzył go kijem. Wtedy Cagle strzelił do niego i... przed ucieczką przysiągł, że zemści się też na mnie. On jest jak dzika bestia!

— Czym ci groził? — zapytałem, bezwiednie zaciskając pięści.

— Powiedział, że wróci i siłą weźmie mnie w nocy, gdy w lesie będzie ciemno — odpowiedziała zmęczona i dodała z jakimś fatalizmem, który zdumiał mnie i zaniepokoił: — On to zrobi. Kiedy taki człowiek jak on uprze się, aby zdobyć jakąś dziewczynę, może go powstrzymać tylko śmierć.

— A więc śmierć go powstrzyma — rzuciłem ostro i wstałem. — Idę przyłączyć się do oblawy. Dzisiaj nie wychodź z domu. Jutro rano Joe Cagle nie zagrozi już żadnej

dziewczynie.

Po wyjściu z domu spotkałem jednego z poszukujących zbiega. W ciemności skrzęcił kostkę na korzeniu i wracał do obozu na pożyczonym koniu.

— Ni cholery jeszcze nie znaleźliśmy — odparł na moje pytanie. — Przerzyliśmy całą okolicę i teraz chłopcy rozwinęli

poszukiwania w kierunku grzędawisk. Ale nie wygląda na to, że w tak krótkim czasie mógł dobiec aż tak daleko. Przecież byliśmy tuż za nim i to na koniach. Ale ten Joe Cagle to bardziej zwierzę niż człowiek... i wygląda nawet jak goryl. Pewnie schowa się w tych grzędawiskach, jeżeli w ogóle tam dotrze, a wtedy nie wyciągniemy go stamtąd przez całą tygodnie. Nigdzie w pobliżu go nie ma — jak już mówiłem — przeszukaliśmy wszystkie okoliczne lasy — z wyjątkiem Opuszczonego Domu, oczywiście.

— Dlaczego więc tam nie szukacie? Gdzie jest ten dom?

— Stoi przy starej drodze, będzie ze cztery mile stąd. Nie ma takiego frajera w okolicy, który by podszedł do niego blisko, nawet gdyby chodziło o ratowanie życia. Kiedyś przesieką gonili faceta, który kilka lat temu zabił nadzorcę. I kiedy zorientował się, że musiałby biec tuż obok Opuszczonego Domu, zawrócił i poddał się. Nie, panie... Joe Cagle nigdy nie zbliżył się do tego domu, o to mogę się założyć!

— Dlaczego ten dom cieszy się tak złą sławą? — zapytałem.

— Nikt tam nie mieszka od dwudziestu lat. Ostatni właściciel rozbijając okno wypadł z piętra i zginął na miejscu. Potem zatrzymał się w nim pewien włóczący się młodzian. Założył się, że spędzi w nim noc, ale rano znaleziono go... cały był porozbijany, tak jakby spadł z dużej wysokości. Przechodzący tamtędy pewien człowiek z lasu przysięgał potem, że słyszał przeraźliwe wrzaski i widział, jak ten włóczęga wylatuje z okna na drugim piętrze. Nie czekał, co będzie dalej! Ale jednak najgorsze w tym Opuszczonym Domu jest to, że tam... Nie miałem nastroju, aby dłużej słuchać tej przewlekłej historii o upiorach, czy cokolwiek tam jeszcze miał zamiar mi opowiedzieć. Prawie każda dziura na Południu ma swoją historię u nawiedzonym domu i takich opowieści jest mnóstwo. Przerwałem mu, żeby spytać, gdzie mogę znaleźć najbardziej zagłębionych w las członków grupy pościgowej i po otrzymaniu informacji poprosiłem, aby do mego powrotu uważał na Joan. Wsiadłem na konia i odjechałem.

— Niech pan nie zabłądzi! — krzyknął za mną. — Te lasy są dla obcego bardzo niebezpieczne. Uważaj pan na pochodnie szukających. Unikaj tej starej, bocznej drogi! Szybkim kłusem dotarłem do szerokiej drogi wiodącej w las, którą chciałem jechać, i tam zatrzymałem się: Pod prostym kątem odchodziła od niej inna, ledwo widoczna droga. Była to ta stara droga, biegnąca obok Opuszczonego Domu. Zawahałem się. W przeciwieństwie do innych nie wierzyłem, że Joe Cagle będzie unikał tego miejsca. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej, czułem, że jest więcej niż prawdopodobne, że uciekinier właśnie tam się ukryje. Ze wszystkich usłyszanych opowieści wywnioskowałem, że był dziki i niezupełnie normalny, tak bestialski i o tak niskim współczynniku inteligencji, że mógł nie przejmować się miejscowymi przesądami. Dlaczego więc w swym zwierzęcym sprycie nie mógłby pomyśleć, że najlepiej ukryć się w takim miejscu, gdzie nikt go nie będzie chciał szukać? I czy ta sama zwierzęca natura nie nakazała mu zakpić sobie ze strachu ludzi obdarzonych większą wyobraźnią?

Podjąłem decyzję i skierowałem konia na starą drogę.

Nie ma na świecie takiej ciemności, jak kompletna ciemność borów sosnowych. Wokół mnie, niczym bazaltowe ściany, wznosiły się ciche drzewa, całkowicie przesłaniając gwiazdy. Poza przebiegającymi wśród gałęzi dziwnymi westchnieniami wiatru, lub odległym pohukiwaniem polującej sowy i poza tą ciemnością, panowała absolutna cisza. Ta cisza przygniatała mnie. Zdawało się, że wokół krąży jakiś duch nieprzebytych grzędawisk, prymitywny wróg ludzkości, którego bezgraniczna dzikość ciągle wyzywa wychwalaną cywilizację. W tego rodzaju otoczeniu wszystko wydaje się możliwe. Zatem nie dziwiły mnie te wszystkie opowieści o czarnej magii i rytuałach voodoo, które, jak sądzono, miały miejsce w tych ciemnych borach. Może nawet nie zdziwiłoby mnie wibrujące dudnienie tam-tamów, wywołujących nagie postacie, podskakujące i tańczące na uczcie przy ogniskach... Wzruszyłem ramionami, aby pozbyć się tego rodzaju myśli. Jeżeli czciciele voodoo naprawdę odprawiają w tych lasach swe misteria, to chyba nie teraz, gdy wszędzie pełno ścigających.

Tak jak mój wychowany w tych lasach wierzchowiec o kocim instynkcie, który bez mojej pomocy wyszukiwał drogę, wyteżałem wszystkie zmysły, aby wyłowić jakikolwiek dźwięk, który mógłby wydać człowiek. Jednak nie usłyszałem żadnych skradających się w moim kierunku kroków, ani też podejrzanych szmerów w niezbyt gęstym poszyciu. Wiedziałem, że

Joe Cagle był uzbrojony i zdesperowany. Mógł się na mnie zacząć — wyskoczyć w każdej chwili — a jednak nie czułem szczególnego strachu. Nie mógł w tych ciemnościach widzieć lepiej ode mnie i miałbym taką samą jak on szansę podczas ślepej wymiany strzałów. Jeśli chodzi o starcie wręcz... no, ważyłem dwieście pięć funtów, na które przede wszystkim składały się mięśnie i kości, a życie na teksańskim rancho przystosowało mnie do każdej walki na śmierć i życie. Prawdę mówiąc pogroźki Cagle'a dotyczące Joan tak mnie rozwścieczyły, że zaniechałem całej ostrożności — nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mogłbym być słabszym przeciwnikiem dla desperata, uciekiniera podobnego do małpy. Gdybym tylko dostał go w ręce, rozwalilibym na kawałki!

Teraz z pewnością byłem już blisko Opuszczonego Domu. Nie miałem pojęcia, która była godzina, ale gdzieś daleko na wschodzie przez czerń lasu zaczęła przebijać słaba jasność. To wschodził księżyc. W tym momencie gdzieś przede mną zagrzecotała seria wystrzałów — potem znów zapadła cisza, jak ciężka, gęsta mgła. Natychmiast zatrzymałem się i zawałem na moment. Strzały brzmiały tak jakby strzelała tylko jedna broń, nie było strzałów odpowiadających. Co się działo w tej ponurej ciemności? Czy te wystrzały wysylabizowały zgon Joego Cagle'a? A może oznaczały, że to on znowu do kogoś strzelał? I czy w ogóle dotyczyły Cagle'a? Mogłem tylko w jeden sposób odpowiedzieć sobie na te pytania. Przcisnąłem kolana do boków mego wierzchowca i ruszyłem truchtem do przodu.

W chwilę później wyjechałem na szerszy prześwit i przede mną na tle gwiazd ukazała się wysmukła bryła ciemnego budynku. Nareszcie Opuszczony Dom!

Księżyc, błyszcząc upiornie przez drzewa, podkreślał czarne cienie i rzucał zwodnicze, czarodziejskie światła na otaczającą mnie okolicę. W tym słabym świetle przekonałem się, że stojący przede mną dom kiedyś był dworem w starym, kolonialnym stylu. Gdy siedziałem przez moment bez ruchu w siodle, przemknęła mi przez głowę wizja straconej chwały, wizja rozległych plantacji, pułkowników arystokratycznego Południa, wizja ukazująca bale, tańce, romanse...

Teraz wszystko już przeminęło... zostało wymazane wojną secesyjną. Tam, gdzie kiedyś były kwitnące plantacje, teraz rosły sosny, elegancyści młodzieńcy i ich damy dawno już umarli zapomniani, a dwór gnijąc popadał w ruinę...

Ale cóż takiego groźnego czaiło się w tych ciemnych, zakurzonych pokojach, w których biegały myszy i gnieździły się sowy?

Zeskoczyłem z wierzchowca — i kiedy to robiłem, mój koń nagle parsknął i dziko uniósł się na tylnych nogach, wrywając mi lejce z ręki. Sięgnąłem po nie, ale koń odwrócił się i pogalopował znikając w ciemnościach jak cień. Stałem oniemiały, słuchając oddalającego się tętentu kopyt — czułem, jak wzdłuż mego kręgosłupa przesuwają się jakiś lodowaty palec. Nie jest to zbyt miłe znaleźć się w tak przerażającym otoczeniu, gdy ma się gwałtownie odciętą możliwość odwrotu.

Niemniej nie przybyłem tu, aby uciekać przed niebezpieczeństwem. Wszedłem zatem śmiało na obszerną werandę, z ciężkim pistoletem w jednej ręce, a w drugiej trzymając latarkę. Nade mną wznosiły się masywne słupy, drzwi wisały na naderwanych zawiasach. Zapaliłem latarkę i przesunąłem promieniem światła po szerokim hallu, ale ujrzałem tylko zakurzone, zrujnowane wnętrza.

Zgasilem latarkę i ostrożnie wszedłem do środka.

Stojąc w hallu i próbując przyzwyczaić wzrok do panujących ciemności, zdałem sobie sprawę, że postępuję najbardziej idiotycznie jak tylko można. Jeżeli Joe Cagle krył się gdzieś w tym domu, wystarczyło, żeby zaczekał, aż zgaszę światło — aby potem władować we mnie cały magazynek.

Jednocześnie pomyślałem o jego groźbach pod adresem Joan, która teraz niewątpliwie trzęsąc się ze strachu czekała na jego przyjście. Byłem całkowicie zdecydowany nie cofnąć się. Jeżeli Joe znajduje się w tym domu — musi umrzeć.

Zacząłem wspinać się po schodach, czując instynktownie, że jeśli uciekinier jest w pobliżu, to prawdopodobnie ukrywa się gdzieś na drugim piętrze. Wyczuwałem drogę w ciemności i wyszedłem na podest oświetlony światłem księżyca, które strumieniem wpadało przez okno. Na podłodze leżała gruba warstwa nie naruszonego kurzu, słyszałem łopot skrzydeł nietoperzy i bieganie myszy. W kurzu nie było żadnych odcisków stóp zdradzających obecność człowieka, czułem jednak, że z pewnością w tym domu są jeszcze inne schody. Cagle mógł wejść do środka przez okno.

Poszedłem wzdłuż hallu stanowiącego przeraźliwy labirynt złowieszczych cieni i kwadratów światła księżycowego przedostającego się przez okna. Panowała niczym nie zmacona cisza, przerywana jedynie cichym szmerem moich kroków tłumionych warstwą kurzu. Mijałem pokój za pokojem, ale moja latarka oświetlała tylko spleśniałe ściany,

zapadające się sufity i potrzaskane sprzęty. Wreszcie na końcu korytarza stanąłem przed pokojem, którego drzwi były zamknięte. Zatrzymałem się, aby opanować rozedrgane nerwy. Serce biło mi szybko. Czułem, że po drugiej stronie drzwi kryje się coś tajemniczego — coś groźnego...

Ostrożnie zapaliłem latarkę. Przed drzwiami kurz był naruszony, wymieciony na powierzchni w kształcie łuku szerokości drzwi. Krótco przed moim przybyciem drzwi zostały otwarte i zamknięte. Chwyciłem ostrożnie gałkę i skrzywiłem się słysząc skrzywienie nie naoliwionego mechanizmu. Spodziewałem się, że w każdej chwili otów przebiję drzwi trafiając we mnie. Panowała jednak cisza. Otworzyłem drzwi i szybko uskokczyłem w bok. Nikt nie strzelił, żadnego dźwięku.

Pochylony, z odbezpieczonym pistoletem, spojrzałem do środka. W nozdrza uderzył mnie lekko kwaśny zapach — to był wyraźnie zapach spalonego prochu. Czy to z tego pokoju padły te strzały, które słyszałem?

Światło księżyca padało na zapadły parapet, dając złudzenie, jakby promieniował. Wtedy dojrzałem leżący prawie na środku pokoju jakiś masywny kształt przypominający człowieka. Przekroczyłem próg, pochyliłem się i rzuciłem snop światła wprost na odwróconą ku górze twarz.

Joan już nigdy nie będzie musiała bać się pogroźek Joego Cagle'a, gdyż to, co leżało na podłodze, było Joem Caglem... i on był martwy.

Blisko jego wyciągniętej ręki leżał rewolwer. Podniosłem go i zobaczyłem, że wszystkie komory wypełnione są pustymi łuskami. Jednak leżący człowiek nie miał żadnej rany. Do kogo strzelał — i co go zabiło?

Następne spojrzenie na jego wykrzywioną twarz dało mi odpowiedź. Widziałem już kiedyś taki wyraz twarzy u człowieka, który bał się ukąszenia grzechotnika — twarz człowieka, który umarł ze strachu przed śmiertelną trucizną gada. Cagle miał otwarte usta, a jego wytrzeszczone oczy wyrażały przerażenie. On umarł ze strachu. Ale co spowodowało to śmiertelne przerażenie?...

Na tę myśl poczułem, że na czoło występuje mi zimny pot i unoszą się włosy na głowie. Nagle uświadomiłem sobie otaczającą mnie absolutną ciszę i odosobnienie tego miejsca, a ponadto zbliżała się północ...

Gdzieś wewnątrz domu zapiszczał szczur. Podskoczyłem przerażony. Spojrzałem w górę i zamarłem bez ruchu. Na przeciwległą ścianę padało światło księżyca — i nagle bez szmeru padł na nią jakiś cień.

Poderwałem się i odwróciłem do drzwi. W drzwiach nie było nikogo. Skoczyłem przez pokój, przebiegłem przez drzwi i zatrzasnąłem je za sobą...

Potem, drżąc na całym ciele, zatrzymałem się. Żaden dźwięk nie przerywał panującej ciszy. Co mogło przez moment znaleźć się w drzwiach wiodących do hallu i rzucać cień do pokoju, w którym stałem? Przez cały czas czułem dreszcze jakiegoś nieuzasadnionego strachu. Zamiany jakiegoś desperata mogły być groźne, ale ten cień podzielał na mnie inaczej, był bardziej przerażający niż wszystko inne — to było coś nieludzkiego!

Pokój, w którym teraz stałem, też łączył się z halliem. Podeszedłem do drzwi — zawahałem się na myśl o konfrontacji z tym czymś, co mogło czaić się w ciemności. Wówczas drzwi zaczęły się otwierać...

Niczego nie widziałem, stałem jak sparaliżowany, patrząc na jakiś przerażający cień sunący po podłodze i zbliżający się ku mnie. Wyraźnie zarysowany światłem księżyca na podłodze, przypominał jakąś straszliwą postać stojącą w drzwiach i rzucającą wydłużony, krzywy cień poprzez podłogę do moich stóp. A jednak w drzwiach nie było nikogo!

Pobiegłem do następnego pokoju. Ciągle znajdowałem się w pobliżu hallu, wydawało się, że wszystkie pokoje mają wyjście do hallu. Zatrzymałem się — rewolwer trzymałem w silnie zaciśniętej dłoni i lufa drżała jak liść. W panującej ciszy moje serce biło tak głośno, że zdawało się grzmieć. Co, na litość boską, było tym czymś przerażającym, co ścigało mnie przez te ciemne pokoje? W jaki sposób powstał cień czegoś, co było niewidzialne? Cisza leżała wokół jak ciemna mgła; na podłodze kładła się upiorna poświata księżyca. Dwa pokoje dalej leżał trup człowieka, który zobaczył tę rzecz tak przerażającą, że nie można jej było nazwać i tak straszną, że dostał pomieszania zmysłów i targnął się na swoje życie. A teraz i ja znalazłem się w tym miejscu sam z nieznanym monstrum...

Co to było? Znowu trzeszczenie starych zawiasów! Przyłgnałem do ściany, krew ścięła mi się w żyłach. Drzwi, przez które właśnie wszedłem, zaczęły się powoli otwierać! Wpadł gwałtowny powiew wiatru. Drzwi otworzyły się szerzej...

Ale — zbierając całą odwagę i napinając maksymalnie nerwy, aby stanąć oko w oko z tym czymś przerażającym — nic nie zobaczyłem!

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Światło księżycyca, tak jak we wszystkich pokojach po tej stronie hallu, wpadało przez drzwi prowadzące do hallu i rozjaśniało przeciwległą ścianę. Jeżeli jakaś niewidzialna rzecz zbliżała się z przyległego pokoju, nie była jeszcze oświetlona światłem księżycyca od tyłu. Jednak krzywy cień padł na rozjaśnioną światłem księżycyca ścianę i rósł jakby rzucało go jakieś stworzenie poruszające się ku mnie!

Chociaż kąś, pod jakim padał cień, deformował, jednak widziałem go wyraźnie — szeroka, pochylona, rozlana postać, z głową zwróconą do przodu, z długimi, zwisającymi, jakby męskimi ramionami — dziwnie ludzka, a jednocześnie przerażająco nieludzka. To wszystko rozpoznałem w zbliżającym się cieniu, ale nie widziałem żadnego ciała stałego, które mogłoby rzucać tego rodzaju cień.

Wtedy uległem panice i zacząłem strzelać w wyraźnie puste przejście, wypełniając opuszczony dom tysiącem ech i zapachem spalonego prochu, i w desperacji posłałem ostatnią kulę prosto w poruszający się cień. Tak samo z pewnością postąpił Joe Cagle, w tym strasliwym momencie poprzedzającym jego śmierć. Iglica głucho stuknęła w wystrzeloną łuskę i z wściekłością rzuciłem opróżnionym rewolwerem w niewidzialne zagrożenie. Ani na sekundę to coś nie zatrzymało się i teraz cień był już blisko mnie.

Zatoczyłem się do tyłu, macając rękoma trafiłem na drzwi i chwyciłem gałkę. Ale drzwi nie otwierały się, były zamknięte! Teraz, na ścianie tuż przy mnie, cień pochylił się, czarny, przerażający. Uniosły się gigantyczne ramiona...

Z krzykiem napałem całym ciężarem na drzwi. Podały się z trzaskiem i wpadłem do sąsiedniego pokoju.

Cała reszta była jednym, wielkim koszmarem. Wstałem i nie oglądając się popędziłem do hallu. Na drugim końcu ujrzałem jak przez mgłę podest i pobiegłem ku niemu. Hall był długi — zdawał się rozciągać w nieskończoność. Czarny cień dotrzymywał mi kroku, biegnąc za mną po oświetlonych księżycem ścianach, na moment znikając w ciemności, a potem znów pojawiając się przez sekundę w jakimś rozjaśnionym światłem kwadracie.

Gdy biegłem wzdłuż hallu, cały czas trzymał się przy mnie, padając na ścianę po lewej stronie, dając znać, że to, co rzuca ten cień, jest stale za mną. Od dawna twierdzono, że upiór może rzucać cień w świetle księżycyca, chociaż on sam jest niewidzialny — ale chyba nigdy nie żył taki człowiek, którego upiór mógłby rzucić taki cień, jak ten bestialski, nieludzki, przed którym uciekałem w objęciach paraliżującego, niezrozumiałego strachu!

Teraz byłem już prawie na schodach — i wtedy cień nagle pojawił się tuż za mną! To coś siedziało mi niemal na plecach, próbując pochwycić niewidzialnymi rękoma. Jeden rzut oka przez ramię spowodował, że doznałem szoku: na grubej warstwie kurzu, tuż obok moich śladów, tworzyły się inne ślady, były olbrzymie, bezkształtne, pozostawiały wyraźne ślady szponów! Z przeraźliwym krzykiem rzuciłem się w prawo i bez namysłu skoczyłem do okna — jak tonący chwytą się rzuconej liny...

Uderzyłem ramieniem w ramę okna; poczułem pustkę pod spadającym ciałem, uchwyciłem wzrokiem chaotycznie wirujący blask księżycyca i gwiazd, zbliżającą się ku mnie czerń sosen — a potem ogarnęła mnie ciemność.

* * *

Pierwszym odczuciem mojej powracającej świadomości był miękki dotyk rąk podnoszących głowę i pieszczących twarz. Leżałem spokojnie z zamkniętymi oczami, próbując się zorientować, co się dzieje, — nie pamiętałem, gdzie jestem i co się stało. Potem nagle wszystko wróciło do mnie. Szeroko otworzyłem oczy i spróbowałem się unieść. — Steve... Och, Steve! Jesteś ranny!

Tak, byłem z pewnością nieprzytomny, to przecież głos Joan! Jednak... nie! Moja głowa spoczywała na jej kolanach; wpatrujące się we mnie duże, ciemne oczy były pełne łez. — Joan! Na Boga, co ty tu robisz?

Usiadłem, obejmując ją ramionami. Głowę rozsadzał mi tętniący ból, czułem, że mnie mdli, cały byłem obolały i posiniaczony. Ponad nami wznosiły się nagie ściany Opuszczonego Domu i mogłem widzieć ciemne okno, przez które wyskoczyłem prosto w cierniste krzaki. Musiałem tu leżeć przez dłuższy czas, ponieważ teraz czerwony jak krew księżyc wisiał nad zachodnim horyzontem.

— Twój koń wrócił sam. Nie mogłam siedzieć bezczynnie i czekać — wymknęłam się z domu i przyjechałam tutaj. Mówiono mi, że pojechałeś za pościgiem, ale koń wrócił starą drogą. Nikt nie chciał jechać, więc wymknęłam się i sama tu przyjechałam.

— Joan! — rozczuliłem się widząc ją klęczącą, a przy tym tak delikatną i opuszczoną w ciemnościach, tak słabą a jednak pełną miłości. Jeszcze raz przytuliłem ją i pocałowałem bez

słowa.

— Steve... — powiedziała cicho przerażona. — Co ci się stało? Kiedy przyjechałam, leżałaś w tych krzakach nieprzytomny...

— Teraz widzę... że tylko czysty przypadek uratował mnie przed śmiercią, taką jaką spotkała tamtych dwóch, którzy wypadli z tych okien! Joan... powiedz mi, co się stało w tym domu przed dwudziestu laty, kto rzucił na niego tak straszne przekleństwo?

Joan zadrżała.

— Nie wiem. Ludzie, do których należał przed wojną, musieli go sprzedać, a ci, co go kupili, doprowadzili do ruiny. Ale tuż przed śmiercią ostatniego właściciela zdarzyło się tu coś bardzo dziwnego: z wędrownego cyrku uciekła wielka małpa i ukryła się w tym domu. To biedne zwierzę bardzo cierpiało z powodu złego traktowania, a gdy jej właściciele próbowali ją złapać, tak dziko walczyła, że w końcu musieli ją zabić. I to miało miejsce około dwudziestu lat temu. Wkrótce potem właściciel wyleciał z okna na piętrze i zginął na miejscu. Przypuszczano, że popełnił samobójstwo, albo wypadł z okna w śnie lunatycznym, ale...

— Nie! — Nagle poczułem chłód, który spowodował, że zadrżałem. — Ścigano go przez pokoje tego domu. Tak gonila go tak przerażająca istota, że śmierć zdawała się najlepszą ucieczką. A ten młody włóczęga... wiem, co go zabiło. I Joe Cagle...

— Joe Cagle! — Joan nagle zadrżała ze strachu. — Gdzie on?...

— Nie martw się... już ciebie nie skrzywdzi. Nie pytaj o więcej. Nie, ja go nie zabiłem. Zmarł przerażającą śmiercią. Istnieją, jak się wydaje, światy i cienie tych światów, leżące poza możliwością naszego pojmowania, a poza ich czasem, w mrocznych cieniach naszego świata, kryją się przyziemne, bestialskie duchy. Chodź... idziemy stąd.

Joan przyprowadziła ze sobą drugiego konia i oba teraz stały uwiązane niedaleko Opuszczonego Domu. Poleciałem, żeby wsiadła na konia i mimo jej gorących protestów wróciłem do dworu. Podeszedłem pod okno pierwszego piętra i stałem tam tylko przez krótką chwilę. Potem wróciłem, wsiadłem na konia i razem z Joan wróciliśmy powoli wzdłuż opuszczonej drogi. Na wschodzie błady gwiazdy i niebo zaczynało się rozjaśniać.

— Nie mówiłeś, co straszy w tym domu — powiedziała zduszonym głosem Joan — ale mogę się domyślić. Co teraz zrobimy?

W odpowiedzi odwróciłem się w siodle i wyciągnąłem rękę. Byliśmy już na zakręcie drogi i pomiędzy drzewami mogliśmy widać wyciągnięty słaby zarys budynku. Dostrzegliśmy, jak wystrzela z niego czerwona lanca płomieni — w poranne niebo uniosły się kłęby dymu i w kilka minut później dobiegł nas głęboki ryk, gdy cały dom zaczął się zapadać w szalejące płomienie — płomienie, które wyrosły z ognia, jaki zapaliłem przed naszym odejściem. Starzy ludzie mówili, że ostatecznym niszczycielem jest zawsze ogień — i patrząc na płonący dom wiedziałem, że teraz upiór martwej małpy został wreszcie unicestwiony, a cień upiora na zawsze zniknął z sosnowych borów.

HIENA

Od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem czarownika Senecozę, nie ufałem mu i ten niepewny brak zaufania w końcu przerodził się w nienawiść.

Niedawno przybyłem na Wschodnie Wybrzeże i wszystko, co afrykańskie, było dla mnie czymś nowym, a przez to byłem nastawiony, aby postępować impulsywnie, ale przy tym towarzyszyła mi zachłanna ciekawość.

Ponieważ przyjechałem tu z Wirginii, miałem głęboko zakorzenione przesady rasowe i byłem nieufny, czemu towarzyszyło poczucie niższości, jakie zawsze wzbudzał we mnie Senecoza, i to wszystko miało wiele wspólnego z moją niechęcią do niego.

Był bardzo wysoki i szczupły. Kiedy się wyprostował, miał sześć stóp i sześć cali, i był tak muskularny, że chyba ważył ze dwieście funtów. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że tyle ważył, jednak składał się prawie wyłącznie z mięśni — szczupły, czarny, gigantyczny.

Nie miał rysów czysto negroidalnych, Z wysokim, wypukłym czołem, cienkim nosem i wąskimi, prostymi ustami, bardziej przypominał Berbera niż Bantu. Ale włosy miał tak kręcone jak Buszmeni i były czarniejsze od włosów spotykanych u Masajów. W istocie jego błyszcząca skóra miała inny odcień aniżeli skóra jego współplemieńców i odniosłem wrażenie, że należał do jakiegoś innego plemienia.

Rzadko widywaliśmy go na ranczo. Zwykle pojawiał się wśród nas bez uprzedzenia i mogliśmy widzieć, jak przechadzał się w wysokiej do ramion trawie sawanny, czasem samotnie, czasem szło za nim w pewnym, pełnym respektu, oddaleniu, kilku dzikich Masajów, którzy gromadzili się z dala od zabudowań, nerwowo potrząsając dzidami i spoglądając na wszystkich podejrzliwie.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Zawsze witał nas z dworską gracją, zachowując się z uniżoną uprzejmością, chociaż — jak to się mówi — sprawiało to wrażenie, jakby ktoś cesał go pod włos. Zawsze miałem niejasne uczucie, że ten czarny kpi sobie z nas. Stawał przed nami; nagi, brązowy olbrzym; kupował kilka przedmiotów, jak na przykład miedziany kociołek, koraliki lub muszkiet; wymawiał kilka słów i odchodził.

Nie lubiłem go. A będąc młodym i porywczym, przekazałem moją opinię Ludwikowi Strolausowi, bardzo dalekiemu krewnemu, dziesiątemu kuzynowi czy coś takiego, na którego ranczo zatrzymałem się.

Ale Ludwik zachichotał w blond brodę i oświadczył, że ten czarownik jest w porządku. — Oczywiście on ma wielkie wpływy wśród tubylców. Wszyscy się go boją. Jednak jest przyjacielem białych. Ja.

Ludwik już długo rezydował na Wschodnim Wybrzeżu, „zdążył poznać tubylców i znał się na australijskim bydło, które hodował — ale miał bardzo mało wyobraźni.

Budynki ranczo stały wewnątrz częstokołu, na stoku wzgórza, z którego można było widzieć całe mile najwspanialszych pastwisk w Afryce. Częstokół był masywny, wysoki i świetnie nadawał się do obrony ranczo. W wypadku powstania Masajów można było za nim ukryć większość bydła. Ludwik był niezwykle dumny ze swego stada.

— Mam tysiąc sztuk — powiedział rozpromieniony. — Teraz tysiąc, ale później, ha!, dziesięć tysięcy, a potem jeszcze dziesięć tysięcy. To dopiero początek, ale tylko początek. Ja. Muszę przyznać, że to było robiło na mnie bardzo małe wrażenie. Pastuchami byli tubylcy i to oni zaganiali je do korralów; a Ludwik i ja jeździliśmy tylko po okolicy i wydawaliśmy polecenia. Bardzo lubił to zajęcie, ale ja przeważnie w nim nie uczestniczyłem. Moim głównym sportem były przejażdżki po bezkresnej, nagiej równinie, samotnie ze strzelbą lub w towarzystwie służącego, którego zadaniem było dźwigać cięższą broń. Nie polowałem wiele, gdyż po pierwsze, byłem dość miernym strzelcem; mogłem zaledwie trafić z bliska słońca, a po drugie, wstydziłem się zabijać. Czasem zdarzało się, że zatrzymała się tuż przede mną antylopa. Siedziałem wtedy spokojnie, obserwując i podziwiając jej grację, wzruszając się pięknnością tego wdzięcznego stworzenia. W tym czasie strzelba leżała spokojnie w poprzek łęku siodła.

Tubylczy chłopak, który usługiwał mi nosząc cięższą broń, zaczął podejrzewać, że celowo powstrzymuję się od strzelania i rzucił zdawkowe uwagi o moim zniewieścieniu. Byłem młody i zależało mi na opinii tubylców, co w gruncie rzeczy było zwykłą głupotą. Jednak jego uwagi ukłuły moją dumę i pewnego dnia zwlokłem go z konia i tak zbiłem, że błagał o litość. Potem już moje poczynania nie były kwestionowane.

Jednak w obecności czarownika ciągle czułem jakiś kompleks niższości. Nie mogłem zmusić innych tubylców, aby mi coś o nim opowiedzieli. Jedyne, co osiągnąłem, to przestraszone wywracanie oczami, gestykulację wskazującą na strach i kilka informacji, że czarownik przebywa wśród jakichś plemion. Ogólnie panowała opinia, że Senecoza lubi samotność.

Pewien incydent sprawił, że ta cała otaczająca czarownika tajemniczość przybrała trochę złowieszczą postać.

W Afryce wieści rozchodzą się w dość tajemniczy sposób i z tego, co biały człowiek może usłyszeć, dowiedzieliśmy się, że Senecoza pokłócił się z jakimś pomniejszym wodzem. Jednak było to niezbyt pewne i wydawało się nie polegać na prawdzie. Niemniej wkrótce potem ten wódz został znaleziony na pół pożarty przez hieny. To, samo w sobie, nie było niczym niezwykłym, ale tubylcy przekazywali sobie tę wiadomość z prawdziwym przerażeniem. Ten wódz nic dla nich nie znaczył, w istocie była to dość podejrzana postać, ale jego śmierć zdawała się wzbudzać w nich taki strach, jakby popełniono morderstwo. Kiedy czarni osiągną pewien poziom strachu, są tak niebezpieczni jak zagnane w róg pantery. Potem, gdy zjawiał się Senecoza, wstali, uciekli w popłochu i wrócili dopiero po jego odejściu. Czułem, że istnieje jakiś związek między strachem czarnych, rozszarpaniem wodza na kawałki przez hieny i czarownikiem. Nie mogłem jednak zgłębić, jaka w tym tkwiła ulotna myśl.

Wkrótce ta ulotna myśl stała się bardziej konkretna na skutek innego incydentu. W towarzystwie mojego służącego zapuściłem się daleko w sawannę. Kiedy zatrzymałem się, aby nasze konie odpoczęły u podnóża pagórka, zobaczyłem na szczycie obserwującą nas hienę. Byłem tym raczej zdziwiony; gdyż te bestie nie mają zwyczaju w dzień zbliżać się do człowieka. Uniósłem strzelbę i powoli wycelowałem, nigdy nie darzyłem sympatią tych stworzeń, ale w tym momencie mój służący chwycił mnie za ramię.

— Nie strzelać, bwana! Nie strzelać! — wykrzyknął i zaczął szybko coś tam gadać w swoim języku, którego nie znałem.

— O co chodzi? — zapytałem niecierpliwie.

Ciągle paplał i ciągnął moją rękę, aż w końcu domyśliłem się, że hiena jest pewnego rodzaju fetyszem.

— No, dobrze już, dobrze — zgodziłem się, opuszczając lufę w chwili, gdy hiena odwróciła się i zniknęła z pola widzenia.

Coś w tej chudej, odrażającej bestii, która jednak poruszała się z pewnym wdziękiem, poruszyło moje poczucie humoru i mimo woli dokonałem zabawnego porównania.

Śmiejąc się wskazałem w kierunku znikającej bestii i powiedziałem:

— Ten stwór przypomina wyglądem Senecozę, tego waszego czarownika.

Ta moja zwyczajna uwaga zdawała się wywołać u tubylca większe przerażenie aniżeli cokolwiek innego. Odwrócił konia i pognał prosto kierunku ranczo z wykrzywioną przerażeniem twarzą.

Zły pojechałem za nim. Jadąc zacząłem się zastanawiać. Hieny, czarownik, rozszarpany, wódz, strach tubylców; co to wszystko ma ze sobą wspólnego? Kombinowałem i próbowałem to rozwikłać, ale w Afryce byłem po raz pierwszy, a poza tym byłem młody i niecierpliw, więc rozdrażniony wzruszyłem tylko ramionami i przestałem o tym myśleć.

Następnym razem, gdy Senecoza zjawił się na ranczo, stanął tuż przede mną. Przez chwilę jego błyszczące oczy wpatrywały się w moje. Wbrew zamiarom wzdrygnąłem się i cofnąłem bezwładnie, czując się tak, jak człowiek zahipnotyzowany wzrokiem węża. Nie było w tym nic konkretnego, nic, do czego mógłbym się przyczepić, ale w tym wzroku czaiła się wyraźna groźba. Odszedł jednak, zanim zdążyłem zebrać w sobie moją nordycką odwagę. Nic nie powiedziałem, ale wiedziałem, że Senecoza z jakiegoś powodu nienawidzi mnie i knuje jakiś spisek, aby mnie zabić. Nie wiedziałem dlaczego.

Jeśli chodzi o mnie, to dotychczasowa nieufność wzrosła do zdumiewającej wściekłości, która z czasem przerodziła się w nienawiść.

A potem na ranczo przyjechała Ellen Farel. Dlaczego wybrała właśnie to miejsce w Południowej Afryce, aby odpocząć od życia towarzyskiego w Nowym Jorku, nie mam pojęcia. Afryka, to nie miejsce dla kobiety. To samo mówił Ludwik, również jej kuzyn, ale mimo to był zachwycony jej widokiem. Ja osobiście niezbyt interesowałem się dziewczynami; zwykle czułem się głupio w ich obecności i cieszyłem się, gdy mogłem czmychnąć. W sąsiedztwie było kilku białych, a poza tym męczyło mnie już towarzystwo Ludwika.

Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, Ellen stała na obszernej werandzie, szczupła, ładna, młoda dziewczyna, z zaróżowionymi policzkami, złotymi włosami i ogromnymi szarymi oczami. Wyglądała bardzo zgrabnie w stroju do konnej jazdy. Wpatrując się w nią czułem się niezwykle głupio siedząc zakurzony w siodle wierzącego się afrykańskiego konika.

Ujrzała dobrze zbudowanego młodzieńca średniego wzrostu, o jasnych włosach, szarych oczach, a zarazem zwykłego, niezbyt przystojnego młodego człowieka w zakurzonym ubraniu, z pełnym naboju pasem, u którego po jednej stronie wisiał stary colt dużego kalibru, a po drugiej długi, groźny nóż myśliwski.

Zsiadłem z konia. Podeszła do mnie, wyciągając rękę.

— Jestem Ellen — powiedziała — i wiem, że ty jesteś Steve. Kuzyn Ludwik mówił mi o tobie.

Potrząsnąłem jej ręką, ze zdumieniem stwierdziwszy, że to dotknięcie spowodowało u mnie dreszcz.

Była zachwycona ranczo. W ogóle wszystko ją zachwycało. Rzadko widziałem kogoś bardziej żywotnego i tak jak ona ze wszystkiego zadowolonego. Cała promieniowała radością.

Ludwik dał jej najlepszego konia, jakim dysponował i jeździliśmy dużo wokół ranczo, często wybierając się na dłuższe przejażdżki po okolicznych łąkach.

Bardzo interesowała się czarnymi. Ale oni bali się jej, nie byli przyzwyczajeni do białych kobiet. Gdybym pozwolił, z pewnością zeszlaby z konia, aby pobawić się z małymi dziećmi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego powinna traktować czarnych jak pył pod stopami. Wiele na ten temat dyskutowaliśmy. Nie mogłem jej przekonać, powiedziałem więc wprost, że nie ma o niczym pojęcia i musi robić to, co jej powiem.

Wykrzywiła ładne usteczka i nazwała mnie tyranem, a potem odwróciła konia i z rozwianymi włosami popędziła przed siebie, śmiejąc się do mnie przez ramię.

Tyran! Od pierwszego wejrzenia byłem jej niewolnikiem! Ale nigdy nie pomyślałem nawet, aby zostać jej kochankiem. I nie dlatego, że była o kilka lat starsza ode mnie, a nawet nie dlatego, że mogła mieć jakiegoś przyjaciela (a nawet kilku w Nowym Jorku), ja ją po prostu czciłem, jej obecność działała na mnie uspokajająco i największą przyjemnością

byłoby dla mnie stać się jej podnóżkiem.

Pewnego dnia przybiegła do mnie, gdy poprawiałem siodło.

— Och, Steve! — wołała — zobacz, tu jest najbardziej romantycznie wyglądający dzikus!

Chodź szybko i powiedz mi, jak się nazywa.

Zaprowadziła mnie na werandę.

— Oto on — powiedziała, wskazując naiwnie. Z założonymi ramionami i dumnie uniesioną głową stał Senecoza.

Ludwik, nie zwracając na nas uwagi, skończył rozmowę z czarownikiem, a potem odwrócił się, wziął Ellen pod ramię i razem weszli do domu.

I znów znalazłem się twarzą w twarz z tym dzikiem, ale tym razem on na mnie nie patrzył.

Z wściekłością, która prawie wzrosła do szaleństwa, zobaczyłem, że patrzył w ślad za odchodzącą dziewczyną. W jego oczach czało się coś wężowego, hipnotyzującego...

W jednej chwili wyciągnąłem rewolwer i wymierzyłem w niego. Czułem, że z wściekłości moja ręka drży jak liść. Muszę zastrzelić Senecozę, jak węża, jakim był w istocie, podziurawić kulami, poszatkować go na drobne kawałki!

Wyraz jego oczu zmienił się i zwrócił wzrok na mnie. Teraz jego oczy zdawały się być nieludzkie w swoim szyderczym spokoju. Nie mogłem zdobyć się na to, aby nacisnąć spust. Przez moment staliśmy bez ruchu, potem odwrócił się i odszedł, wspaniała postać, podczas gdy ja patrzyłem za nim dławiąc się z bezsilnej furii.

Usiadłem na werandzie. Jakże tajemniczy był ten dziki! Jaką posiadał dziwną moc? Czy nie myliłem się dostrzegając w jego wzroku ten chwilowy przebłysk, gdy patrzył za dziewczyną? Wydawało mi się — w mojej młodości i głupocie — niemożliwe, aby czarny człowiek, bez względu na to, jaka była jego ranga, mógł w ten sposób spojrzeć na białą kobietę. Najbardziej zdumiewające ze wszystkiego było to, że nie mogłem go zastrzelić. Podskoczyłem czując na ramieniu dotyk ręki. — O czym myślisz, Steve? — zapytała śmiejąc się Ellen. A potem dodała, zanim zdążyłem coś powiedzieć: — Czy ten wódz, obojętnie kim on jest, nie jest wspaniałym dzikusiem? Zaprosił nas do swojego kraalu, czy jak tam oni to nazywają. Znajduje się gdzieś daleko na sawannie i pojedziemy tam.

— Nie! — krzyknąłem, zrywając się na równe nogi.

— Dlaczego, Steve? — wykrztusiła, odsuwając się. — Jesteś niegrzeczny! On jest prawdziwym dżentelmenem, prawda kuzynie Ludwiku?

— Ja — przytaknął spokojnie Ludwik. — Może niedługo pojedziemy do jego kraalu. Ten dziki, to potężny wódz. Może uda nam się dobrze zahandlować.

— Nie! — powtórzyłem gwałtownie. — Jeżeli już ktoś pojedzie, to tylko ja! Niech Ellen trzyma się z daleka od tej bestii!

— No, ładnie! — zauważyła Ellen trochę oburzona. — Wydaje ci się, że możesz mną rządzić, szanowny panie?

Przy całej słodyczy, miała swój własny rozum. Mimo mojego sprzeciwu postanowili następnego dnia pojechać do wioski czarownika.

Tej nocy przysła do mnie, gdy siedziałem na werandzie w świetle księżyca, i usiadła na poręczu mego fotela.

— Chyba nie gniewasz się na mnie, Steve? — spytała łagodnie, kładąc rękę na moim ramieniu. — Nie gniewasz się na mnie, prawda?

Gniewać się na nią? Dotyk jej miękkiego ciała przyprawiał mnie o szaleństwo — takie szaleństwo, jakie czuje całkowicie oddany niewolnik. Pragnąłem leżeć w pyle u jej stóp i całować jej buty. Czy kobiety nigdy nie pojną, jak mogą działać na mężczyzn?

Chwyciłem z wahaniem jej rękę i przycisnąłem do ust. Musiała chyba czuć, jakim darzę ją uwielbieniem.

— Kochany Steve — wyszeptła i podziałało to na mnie jak pieszczota — chodź, przejdziemy się w świetle księżyca.

Wyszliśmy poza obręb częstokołu. Powinienem mieć więcej rozsądku, bowiem na jej życzenie nie wziąłem ze sobą innej broni poza dużym tureckim kordem, którego używałem jako noża podczas polowania.

— Opowiedz mi o Senecozie — poprosiła i w pierwszej chwili ucieszyłem się z okazji przedstawienia go Ellen. Ale zaraz pomyślałem: co mogę jej o nim opowiedzieć? Że hieny na pół pożarły jakiegoś pomniejszego wodza Masajów? Że tubylcy czują przed nim strach? Że on dziwnie na nią patrzył?

Nagle dziewczyna krzyknęła, gdy z wysokiej trawy wyskoczył w górę jakiś nieokreślony kształt, ledwo widoczny w świetle księżyca.

Poczułem, że moje plecy przygniata jakiś ciężki, włochaty stwór i ostre kły rozrywają wyrzucone w górę ramię. Upadłem na ziemię, rozpaczliwie walcząc. Kurtka została rozcięta i

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

kły znalazły się tuż przy moim gardle. Wyrwałem z pochwy kord i zacząłem dziko uderzać na ośle. Poczulem, że ostrze trafia w napastnika, a potem napastnik zniknął jak cień. Wstając zatoczyłem się. Dziewczyna chwyciła mnie i pomogła odzyskać równowagę.

— Co to było? — wyjąkała, prowadząc mnie do częstokołu.

— Hiena — odparłem. — Czulem jej smród. Jednak nie słyszałem, żeby hiena zaatakowała człowieka w ten sposób.

Zadrżała. Potem, gdy moje ramię zostało opatrzone, podeszła do mnie blisko i powiedziała przyciszonym głosem:

— Steve, zdecydowałam, że nie pojedziemy do wioski, jeżeli tego nie chcesz.

Kiedy rany zabiły się, kontynuowałem, jak można było się tego spodziewać, razem z Ellen przejeżdżki po sawannie. Pewnego dnia, gdy zajechaliśmy dość daleko, wyzwała mnie do ścigania się. Jej koń łatwo prześcignął mojego i ze śmiechem zatrzymała się czekając na mnie.

Stanęła na szczycie wzniesienia i wskazała na oddaloną kępę drzew.

— Drzewa! — zawołała wesoło. — Pojedźmy do nich. Na tym pustkowiu jest tak mało drzew.

Pojechała przodem. Pospieszyłem za nią. Instynktownie zachowując ostrożność odpiąłem kaburę pistoletu i wyciągnąłem nóż, ukrywając go w cholewce buta.

Znaleźliśmy się mniej więcej w połowie drogi do kępy drzew, gdy z wysokiej trawy wyskoczył Senecoza z około dwudziestu wojownikami.

Jeden z nich chwycił lejce konia dziewczyny a reszta rzuciła się na mnie. Ten, który napadł na Ellen, padł z kulą między oczami, a inny zwinął się po moim drugim strzale. Potem uderzony maczugą spadłem z siodła. Półprzytomny dostrzegłem zbliżających się czarnych, konia Ellen doprowadzonego do szału ukłuciem bezmyślnie skierowanej dzidy, rżącego i wspinającego się na tylne nogi, co roztrąciło trzymających go czarnych, i skok do przodu z wędzidłem w zębach.

Zobaczyłem, jak Senecoza wskakuje na mojego konia i zaczyna ścigać umykającego konia Ellen rzucając przez ramię dzikie rozkazy, a potem oba konie zniknęły za wzniesieniem.

Wojownicy związali mi ręce i nogi, i zawlekli między drzewa. Stała tam chata — tubylcza chata z kory i gałęzi. Widok tej chaty spowodował, że zadrżałem. Zdawało się, że wyłania się spośród drzew odpychająca, złowieszcza, co podsunęło mi myśl o uprawianych tu okrutnych i przerażających praktykach voodoo.

Nie wiem dlaczego, ale widok tubylczych chat, samotnych i ukrytych, oddalonych daleko od wioski lub plemienia, zawsze sugeruje mi jakąś nieokreśloną grozę. Może dlatego, że w takim miejscu, poza swoim plemieniem, przebywają tylko czarni, którzy są wariatami lub zbrodniarzami.

Rzucili mnie przed chatą na ziemię.

— Wejdiesz do środka, gdy Senecoza wróci z dziewczyną — oświadczyli i zaczęli śmiać się jak szaleńcy. Potem zostawili na straży jednego wojownika i odeszli.

Czarny, który został ze mną, kopął mnie z wściekłością; był to Murzyn o bestialskim wyglądzie, uzbrojony w muszkiet sprzedawany tu w handlu wymiennym.

— Oni zabijają głupich, białych ludzi! — drwił. — Oni pójdą do rancz i do tych miejsc, gdzie jest handel... wpięrow do głupiego Anglika. — Miał na myśli Smitha, właściciela sąsiedniego ranczo.

I ciągnął dalej, podając mi różne szczegóły. Chwalił się, że Senecoza zorganizował spisek.

Wyrzucą wszystkich białych na wybrzeże.

— Senecoza to więcej niż człowiek — wychwalał go. — Ty to zobaczysz, biały człowieku

— ściszył głos, rzucając dookoła baczne spojrzenia spod gęstych brwi — zobaczysz czary Senecozy. — Wyszczrzył ostro spiłowane zęby.

— Kanibal! — odpowiedział. — Człowiek Senecozy.

— Nikt nie zabije żadnego białego — warknąłem.

Zawył dziko.

— Ja mogę cię zabić, biały człowieku.

— Nie odważysz się.

— Masz rację — przyznał i zaraz dodał porywczo: — Zabije cię Senecoza.

A tymczasem Ellen mknęła jak szalona, ciągle oddalając się od czarownika. Nie mogła kierować się w stronę ranczo, ponieważ ścigający odcinał jej drogę powrotną, zmuszając do jazdy w kierunku nie zalesionych równin.

Czarny rozluźnił mi więzy. Jego myśli były nietrudne do rozszyfrowania; absurdalnie łatwo można było je śledzić. Nie mógł zabić więźnia czarownika, ale mógł go zabić tylko podczas próby ucieczki, a przy tym pałał żądzą krwi. Cofając się podniósł muszkiet i

wpatrywał się we mnie jak wąż w królika.

Musiałoby to odbywać się mniej więcej w tym czasie — jak później opowiedziała mi Ellen — gdy koń potknął się i zrzucił ją z siodła. Zanim zdążyła wstać, czarny skoczył i chwycił ją w ramiona. Zaczęła krzyczeć i walczyć, ale trzymał ją mocno, była bezsilna, śmiał się z niej. Podarł jej kurtkę na pasy, związał ręce i nogi, a potem wsiadł na konia z półomdłą dziewczyną przed sobą.

Powoli uniosłem się z ziemi. Roztarłem zdrętwiałe ręce w miejscu, gdzie były związane, przybliżyłem się trochę do czarnego, wyciągnąłem się, zatrzymałem i zacząłem rozcierać nogi, a potem skoczyłem na niego jak kot. W ręce trzymałem nóż, który wyciągnąłem z buta. Muszkiet wystrzelił, nabój przeleciał obok mojej głowy, zdążyłem bowiem kopnąć w lufę i dopadłem go. Z gołymi rękoma nie byłbym groźnym przeciwnikiem dla tego czarnego olbrzyma, ale miałem nóż. Spleceni w uścisku byliśmy zbyt blisko siebie, aby mógł użyć muszkietu albo maczugi. Tracił czas próbując to zrobić, a ja tymczasem zwałem go z nóg i wbiłem nóż po rękojęść w czarną pierś.

Wyciągnąłem go, nie miałem bowiem innej broni, ponieważ nie mogłem znaleźć amunicji do muszkietu.

Nie miałem pojęcia, dokąd uciekła Ellen. Przypuszczałem, że popędziła w stronę ranczo, więc i ja ruszyłem w tym kierunku. Musiałem ostrzec Smitha. Wojownicy byli daleko przede mną. Mogli już skradać się wokół nie spodziewającego się niczego ranczo.

Nie zdążyłem nawet pokonać czwartej części drogi, gdy usłyszałem za sobą tętent końskich kopyt. Odwróciłem głowę. Pędził ku mnie koń Ellen bez jeźdźca. Kiedy przebiegał obok, chwyciłem lejce i udało mi się go zatrzymać. Wszystko było jasne. Albo dziewczyna dotarła w bezpieczne miejsce i puściła konia luzem, albo, co, niestety, mogło być prawdopodobniejsze, została pojmana, a koń uciekając biegł w stronę ranczo, tak jak zrobiłby każdy koń. Wskoczyłem na siodło i skierowałem się ku siedzibie Smithów. Ranczo leżało niedaleko; Smith nie może zostać zmasakrowany przez tych czarnych diabłów, a ja muszę zdobyć strzelbę, aby wydostać dziewczynę z rąk Senecozy.

Na pół mili przed ranczo Smitha prześcignąłem jeźdźców, przebijając się przez nich jak burza. Robotnicy Smitha ze zdumieniem patrzyli na dziko mknącego jeźdźcę, który wpadł za częstokół z krzykiem:

— Masajowie! Masajowie! Jadą tu Masajowie, wy głupcy!

Chwyciłem pierwszą z brzegu strzelbę i zawróciłem.

W ten sposób atakującym dzikusom zgotowano tak gorące powitanie, że po pierwszym uderzeniu zostali odparci i rzucili się do ucieczki w stronę sawanny.

A ja gnałem tak szybko jak nigdy przedtem. Koń był prawie zupełnie wyczerpany, ale popędzałem go bez litości. Szybciej! Szybciej!

Zmierzałem do jedynego najprawdopodobniejszego miejsca. Do chaty wśród drzew.

Sądziłem, że czarownik tam wróci.

Na długo zanim zobaczyłem chatę, z traw wyłonił się jeździec, zbliżając się pod kątem z prawej strony i oba nasze konie zderzając się upadły na ziemię.

— Steve! — Był to okrzyk radości zmieszany ze strachem. Ellen leżała ze związanymi rękami i nogami, patrząc na mnie z przerażeniem, gdy podnosiłem się na nogi.

Podbiegł do mnie Senecoza, jego długi nóż blizzczał w słońcu. Dopadając do siebie i odskakująca walczyliśmy tnąc, robiąc uniki, odparowując ciosy. Moja wściekłość i szybkość dorównywała jego dzikości i umiejętnościom.

Próbował zadać mi potężny cios, odparowałem przecinając mu ramię, a potem zręcznie rozbroiłem go. Jednak zanim zdążyłem skorzystać z przewagi, odskoczył, odwrócił się i zniknął w trawie.

Pochyliłem się nad dziewczyną i przeciąłem jej więzy, a ona, biedne dziecko, przytuliła się do mnie. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do koni. Jednak jeszcze nie skończyliśmy z Senecozą. Musiał mieć gdzieś w buszu ukrytą strzelbę, ponieważ po chwili o stopę od mojej głowy gwizdnęła kula. Chwyciłem lejce i wtedy przekonałem się, że koń zrobił już wszystko co mógł. Był całkowicie wyczerpany. Przeniósłem Ellen na drugiego konia.

— Jedź na nasze ranczo — poleciłem. — Czarni gdzieś czmychnęli i zdołasz się przedostać. Jedź szybko i pochyl się!

— A co z tobą, Steve?

— Jedź! — rozkazałem, odwróciłem konia i popędziłem. Odjechała rzucając mi smutne spojrzenie przez ramię. Chwyciłem strzelbę i garść naboju, które zabrałem z ranczo Smitha i ruszyłem w busz. I tak oto w ten gorący, afrykański dzień zacząłem bawić się z Senecozą w chowanego. Czołgając się i przemykając wśród skąpych krzewów, kryjąc się w wysokiej trawie, wymienialiśmy strzały. Ruch wysokich traw, złamana gałązka, chrzęst gniecionej

trawy i natychmiast pytająca i odpowiadająca kula.

Nie miałem dużo naboji i strzelałem rzadko, teraz wsuwałem do lufy ostatni nabój. Moją bronią była ciężka, jednolufowa szóstka odtylcowa, ale nie miałem czasu wybierać. Skulony w mojej kryjówce wypatrywałem czarnego, czekając aż zdradzi się jakimś nieostrożnym ruchem lub dźwiękiem. Ale w trawach nic się nie ruszało i nie dochodził żaden szmer. Gdzieś daleko nad sawanną rozległ się dziki śmiech hieny a potem odpowiedziała jej inna, bliżej mnie. Zimny pot wystąpił mi na czoło.

Co to było? Czyżby tętent wielu kopyt końskich? Napastnicy wracają? Odważyłem się wychylić z kryjówki i omal nie krzyknąłem z radości. Zbliżało się ku mnie przynajmniej z dwudziestu jeźdźców, byli to biali ludzie z ranczo, a na przedzie jechała Ellen. Byli jeszcze daleko ode mnie. Podniosłem się za wysokim krzakiem i zacząłem machać rękoma, aby zwrócić na siebie uwagę.

Krzyczeli i pokazywali na coś, co znajdowało się za mną. Odwróciłem się i ujrzałem w odległości około trzydziestu jardów szybko zbliżającą się olbrzymią hienę. Rozejrzałem się uważnie dookoła, gdzieś w falującej trawie czaił się Senecoza. Gdybym wystrzelił, mógłbym zdradzić mu swoją pozycję — ale i tak miałem już tylko jeden, ostatni, nabój w lufie, a spieszący z pomocą byli jeszcze poza zasięgiem strzału.

Znowu spojrzełem na hienę. Ciągle zbliżała się ku mnie. Jej zamiary nie budziły żadnych wątpliwości. Blyszczące oczy, fanatyczne jak u jakiegoś potwora z piekła rodem, a dzięki widocznej bliźnie na grzbiecie rozpoznałem, że była to ta sama bestia, która zaatakowała mnie przedtem. Ogarnięty skrajnym przerażeniem przyłożyłem do ramienia kolbę starej strzelby na słońce i posłałem bestii moją ostatnią kulę. Z okrzykiem, który zdawał się przypominać ludzki głos, hiena odwróciła się i zataczając uciekła.

A wtedy wokół mnie pojawili się wybawcy.

Rozległa się kanonada wystrzałów skierowanych w kępę krzaków, z których Senecoza strzelił po raz ostatni. Nie było odpowiedzi.

— No ja, wreszcie upolowaliśmy tego węża — oświadczył kuzyn Ludwik, w podnieceniu mówiąc silnym akcentem Burów. Rozciągnęliśmy się w linię i zaczęliśmy przetrząsać każdy cal równiny.

Jednak nie odkryliśmy żadnych śladów czarownika. Znaleźliśmy tylko pustą strzelbę i porozrzucone łuski, a poza tym (co było bardzo dziwne) od tej strzelby wiodły ślady hieny. Poczuliśmy, że z przerażenia unoszą mi się włosy na głowie. Spojrzeliśmy bez słowa po sobie i w zgodnym milczeniu podążyliśmy śladem hieny.

Szliśmy za wijącym się w wysokiej trawie śladem, pokazującym, jak podchodziła do mnie, na podobieństwo tygrysa tropiącego ofiarę. Szliśmy dalej tropem, który po moim strzale zawracał w kierunku krzaków. Teraz ślad znaczyły krople krwi.

— Ślady prowadzą do chaty — zamruczał Anglik. — To tam, panowie, kryje się cała tajemnica.

Kuzyn Ludwik polecił, aby Ellen pozostała w tyle z dwoma ludźmi. Poszliśmy tropem przez pagórek do kępy drzew. Ślady wiodły prosto do drzwi chaty. Ostrożnie okrążyliśmy chatę, ale nie wychodziły z niej żadne inne ślady. To coś było w środku. Wyważyliśmy rozpadające się drzwi i weszliśmy do środka ze strzelbami gotowymi do strzału.

Poza śladami hieny, wiodącymi do chaty i od niej, nie prowadziły żadne inne ślady. A jednak wewnątrz chaty nie było hieny. Na brudnej podłodze, z kulą w czarnej piersi, leżał czarownik Senecoza.

ZGUBA DERMODA

Jeżeli twe serce w piersi jest chore, a między umysłem i oczami zapadła ciemna kurtyna smutku powodująca, że nawet słońce wydaje się blade i trędowate — jedź do miasta Galway, znajdującego się w powiecie o tej samej nazwie w prowincji Connaught, w Irlandii.

W tym szarym, starym City of Tribes, jak je nazywają, snuje się senny, uspokajający czar, który działa jak urok i jeśli pochodzisz z Galway, bez względu na to, jak byłbyś daleko, smutek powoli opuści cię jak sen, pozostawiając tylko żałośnie słodkie wspomnienia, jak zapach wędnącej róży. Ponad starym miastem unosi się pomieszana ze smutkiem mgiełka dawnych czasów, pozwalająca zapomnieć. Możesz też wejść na błękitne wzgórze Connaught i poczuć ostry, słony smak wiatru od Atlantyku, a wtedy życie wyda ci się inne, dalekie od oszukanych radości i gorzkich smutków — i nie bardziej realne od płynących po niebie chmur.

Przybyłem do Galway jak zraniona bestia wczołgująca się z powrotem do legowiska na wzgórzach. Po raz pierwszy ujrzałem miasto moich rodziców, ale nie wydało mi się ono

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

dziwne ani obce. Odczułem to jak powrót do domu. Z każdym dniem kraj, w którym się urodziłem, zdawał się coraz bardziej odległy, a miejsce moich przodków bliższe. Przybyłem do Galway z rozdartym sercem. Umarła moja najukochańsza siostra bliźniaczka; jej odejście było szybkie i niespodziewane. W przeszywającym bólu zdawało mi się, że jest jeszcze obok mnie, śmieje się tym swoim radosnym śmiechem widocznym nawet w jej jasnych, irlandzkich oczach, a w następnej chwili rosta nad nią ostra trawa. O, mój Boże, nie tylko Twój Syn cierpiał na krzyżu.

Wokół mnie zamknęła się czarna chmura, jak welon żałobny w krainie graniczącej z szaleństwem. Niemy siedziałem sam, z oczami, w których nie było łez. Wreszcie podeszła do mnie babcia, postawna, ponura staruszka o przeszywającym wzroku, który krył w sobie całą rozpacz irlandzkiej rasy.

— Jedź do Galway, chłopcze. Jedź do naszego starego kraju. Może utopisz tam ból w zimnym, słonym morzu. Może wyleczą cię ludzie z Connaught...

Pojechałem do Galway.

Tak, ludzie byli tam mili — wszystkie stare rodziny, Martinów, Lynchów, Deane'ów, Dorseyów, Blake'ów, Kirowanów — rodziny czternastu wielkich rodów rządzących Galway. Włączyłem się przez wzgórza i doliny i rozmawiałem z uprzejmymi, dziwacznymi wieśniakami, z których wielu mówiło jeszcze dobrym, szkocko-celtyckim dialektem, który znałem tylko pobieżnie.

Tam, pewnej nocy, usłyszałem przy pasterskim ognisku starą legendę o Dermodzie O'Connorze. Kiedy pasterz snuł tę straszną historię w swym bogatym dialekcie irlandzkim, ozdobionym wieloma celtyckimi frazami, przypomniałem sobie, że babcia opowiadała mi o tym, gdy byłem dzieckiem, ale większość z niej już zapomniałem.

W skrócie ta opowieść przedstawia się następująco: Był kiedyś przywódca Klanu O'Connor imieniem Dermod, ale ludzie zwali go Wilkiem. O'Connorowie w dawnych czasach byli królami i rządili Connaught żelazną ręką. Władzę nad Irlandią dzielili z O'Brienami z południa — Munster — i O'Neillami z północy — Ulster. Razem z O'Rourke'ami walczyli przeciwko MacMurraughom z Leinster i to Dermod MacMurraugh, wyrzucony z Irlandii przez O'Connorów, sprowadził normandzkich awanturników. Kiedy hrabia Pembroke (którego ludzie nazywali Strongbow) wylądował w Irlandii, Roderick O'Connor był królem Irlandii, w każdym razie królem z tytułu i roszczeń. Klan O'Connorów, składający się ze świetnych celtyckich wojowników, tak długo walczył o wolność, aż w końcu został złamany przez straszliwe natarcie Normanów. Całe uznanie należy się O'Connorom. Dawno temu moi przodkowie walczyli pod ich sztandarami — ale każde drzewo ma jakiś zgniły korzeń. W każdej rodzinie jest czarna owca. Dermod O'Connor był taką czarną owcą klanu i na świecie chyba nie było już czarniejszej.

Walczył z wszystkimi, nawet z własną rodziną. Nie był naczelnikiem klanu, próbującym odzyskać koronę Irlandii lub walczyć o wolność swoich ludzi; był zwykłym rabusiem grabiącym tak Celtów, jak i Normanów; napadł na The Pale i zaniósł pochodnie i stał do Munster i Leinster. O'Brienowie i O'Carrollowie mieli powód, aby go przeklinać, a O'Neillowie polowali na niego jak na wilka.

Gdziekolwiek się pojawił, zostawiał za sobą ślad krwi i zniszczenia, aż wreszcie z całej bandy, która ciągle zmniejszała się na skutek dezercji i bitew, został sam, kryjąc się w jaskiniach i między wzgórzami, z żądzy krwi mordując samotnych wędrowców, schodząc do samotnych domów farmerskich lub pasterskich chat, aby tam czynić gwałty na ich kobietach. Był masywnie zbudowany, a legenda uczyniła z niego nieludzkie monstrum. Ale musiało być prawdą, że wyglądał niesamowicie i przerażająco.

Jednak w końcu nadszedł i jego kres. Zamordował młodzieńca z klanu Kirowan i Kirowanowie opuścili Galway z chęcią zemsty w sercach. Sir Michael Kirowan spotkał go samego wśród wzgórz — ten sam Sir Michael, który był moim przodkiem w prostej linii i którego imię noszę. Tak długo walczyli samotnie, a świadkami tej strasznej walki były tylko falujące wzgórza, aż w końcu szczęk stali dobiegł uszu reszty członków klanu, którzy galopowali bez wytchnienia penetrując okolicę.

Znaleźli Sir Michaela z brzydką raną, a Dermoda O'Connora umierającego, z rozciętym do kości ramieniem i przerażającą raną w piersiach. Lecz taka była ich furia, i nienawiść, że zarzucili pętlę na szyję umierającego bandyty i powiesili go na dużym drzewie rosnącym na skraju nadmorskiego urwiska.

— A teraz — mówił pasterz podsycając ogień — wieśniacy ciągle pokazują to drzewo nazywając je Zgubą Dermoda, powtarzając to za Duńczykami, i ludzie widzą po nocach tego złoczyńcę, słyszą, jak zgrzyta długimi kłami, krew leje mu się z ramienia i piersi i życzy wszystkiego złego Kirowanom oraz wszystkim, którzy są z nimi spokrewnieni.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— I dlatego, panie, niech pan nie chodzi nocą nad urwisko, bo w panu płynie krew rodu, który on nienawidzi i nosi pan to samo nazwisko, co człowiek, który go powalił. Może się pan śmiać do woli, ale duch Dermoda O'Connora Wilka, z ogromną, czarną brodą i kłami jak u dzika, krąży tu w bezksiężycowe noce.

Potem pokazali mi stojące tam od setek lat drzewo zwane Zgubą Dermoda, które jakoś dziwnie przypominało szubienicę. W pobliżu nie było innych drzew, a urwisko wyrastało wprost z morza i wznosiło się na wysokość około czterystu jardów. Poniżej, w głębokim mroku, widać było tylko ciemnoniebieskie fale bijące w okrutne skały.

Często chodziłem nocą po wzgórzach, gdy gwiazdy zdawały się bliskie i ciepłe, ponieważ wtedy zapadała nad światem cisza, nie było słycać żadnych ludzkich głosów, ani hałasów rozpraszających moje myśli, ale wtedy znów powracał smutek, który kładł się cieniem na moje serce. Wówczas często mój pomieszany umysł zastanawiał się, na której gwiazdzie ona była, albo czy zmieniła się w którąś z tych gwiazd.

Pewnej nocy wróciła dawna, śmiertelna męka. Wstałem z łóżka — wówczas zatrzymałem się w małej, górskiej gospodzie — ubrałem się i wyszedłem na wzgórze. Tętniło mi w skroniach, czułem nieznośny ciężar w sercu. Moja udręczona, niema dusza, rwała się do Boga, jednak nie mogłem płakać. Czułem, że jeśli nie zapłacę, zwariuje, ponieważ od tamtej chwili nie uroniłem jednej łzy...

Szedłem więc i szedłem, nie mam pojęcia jak długo i jak daleko. Nade mną błyszczały czerwone, jakby gniewne gwiazdy, które tej nocy nie dawały mi żadnego ukojenia. Z początku chciało mi się krzyczeć, wyć, chciałem rzucić się na ziemię i szarpać zębami trawę. Potem przeszło mi i szedłem jak w transie. Na niebie nie było księżycy i w nikłym świetle gwiazd wzgórze i drzewa rysowały się dziwnymi cieniami w ciemności. Ponad wzniesieniami mogłem widzieć rozległy, srebrny Atlantyk, jak mroczne monstrum i słyszałem jego łagodny pomruk..

Coś przemknęło przede mną i pomyślałem, że to był wilk; ale w Irlandii nie ma już wilków od wielu lat. I znów to dostrzegłem, było długie, niskie, jakiś ciemny kształt. Machinalnie poszedłem za tym. I nagle zobaczyłem przed sobą urwisko nad morzem. Na skraju urwiska stało samotne drzewo, pochylone jak szubienica.

Nagle, gdy zbliżyłem się do drzewa, tuż przede mną ukazała się niewyraźna mgła. Patrząc na to oszołomiony czułem, że ogarnia mnie dziwny strach. Mgła stała się wyraźniejsza. Mętna i jedwabista, jak strzęp księżycowej mgły, jednak niewątpliwie przypominająca kształtem człowieka. To była twarz... krzyknąłem!

Płynęła przede mną niewyraźna, mglista, słodka twarz — jednak mogłem rozróżnić ciemne włosy, wysokie, czyste czoło, czerwone wargi — poważne, łagodne, szare oczy...

— Moira! — krzyknąłem rozdzierająco i pobiegłem naprzód z rozpostartymi ramionami i dziko bijącym sercem.

Odpywała ode mnie, jak mgła poruszana wiatrem; teraz zdawała się drżeć zatrzymując w miejscu — poczułem, że chwiję się na skraju urwiska, dokąd doprowadziła mnie ślepa pogoń. Tak jak człowiek budzący się ze snu, ujrzałem w krótkim przeblysku świadomości okrutne skały czterysta jardów pode mną. Usłyszałem zgłodniałe mlaskanie fal — czując, że prawie spadam, znów ujrzałam wizję, ale tym razem potwornie zmienioną. W skołtunionej, czarnej brodzie upiornie błyszczały potężne kły. Pod groźnymi brwiami lśniły przerażające oczy; krew lała się z rany na ramieniu i straszego cięcia na szerokiej piersi.

— Dermod O'Connor! — krzyknąłem przeraźliwie, czując, jak powstają mi włosy na głowie. — Zgiń, przepadnij, potworze z piekła rodem...

Zachwiałem się, próbując powstrzymać nieunikniony upadek, czując, że czterysta jardów poniżej czyha na mnie śmierć. I wtedy delikatna, drobna rączka chwyciła mnie za przegub i zostałem stanowczo odciągnięty. Upadłem, ale upadłem do tyłu, na miękką trawę na skraju urwiska, a nie na usiany skałami brzeg czekającego na mnie morza. Och, wiedziałem — nie mogłem się mylić. Rączka zniknęła, również zniknęła przerażająca twarz, ale ciągle jeszcze czułem na przegubie mojej ręki ten uchwyt, który uchronił mnie od zguby — jakże mógłbym go nie rozpoznać? Tysiące razy czułem to łagodne dotknięcie delikatnej, kochanej ręki na mojej ręce lub ramieniu. O, Moira, Moira, puls mego serca, za życia i po śmierci, zawsze jesteś przy mnie!

I leżąc tak, po raz pierwszy zapłakałem, ukrywając twarz w dłoniach. Wylewałem z głębi serca żal w kojących łzach, aż w końcu ponad błękitnymi wzgórzami Galway wzeszło słońce i rozjaśniło gałęzie Zguby Dermoda jakimś dziwnym, nowym blaskiem.

Czyżbym śnił? A może oszalałem? Czyżby naprawdę duch dawno zmarłego złoczyńcy wiódł mnie przez wzgórze ku urwisku przy śmiertelnym drzewie i tam przybrał postać mojej zmarłej siostry, aby zwabić mnie w otchłań i zniszczyć? Czy naprawdę zjawiała się ręka mojej

siostry, żeby mnie powstrzymać i uratować od niechybnej śmierci? Możecie w to wierzyć, lub nie; dla mnie to było faktem. Widziałem tej nocy Dermoda O'Connora, który wiódł mnie na skraj urwiska; miękka rączka Moiry Kirowan powstrzymała mnie, a to dotknięcie rozpuściło zamrożone kanały mego serca i przyniosło mi spokój. Ponieważ ta ściana, która dzieli żywych i umarłych, jest tylko cienkim welonem; teraz wiem o tym i jestem pewien, że miłość zmarłej kobiety pokonała nienawiść nieżyjącego mężczyzny; jestem tego tak pewien, jak tego, że pewnego dnia w zaświatach znów obejmę ramionami moją siostrę.

CZŁOWIEK NA ZIEMI

Cal Reynolds przesunął w ustach prymkę tytoniu z jednej strony na drugą i zmrużył jasnoniebieskie oczy, patrząc wzdłuż lufy swojego winchestera. Jego szczęki pracowały rytmicznie, ale ten ruch ustał, gdy znalazł muszkę. Zamarł bez ruchu i zakrzywił palec na spuście. Wśród wzgórz rozległ się huk wystrzału i powrócił silniejszym echem. Reynolds wzdrygnął się, przylgnął silniej do ziemi i cicho zaklął. Blisko jego głowy prysnął szary kawałek skały, odbita kula poleciała w przestrzeń. Reynolds mimo woli zadrżał. Ten dźwięk brzmiał tak śmiertelnie, jak odgłos niewidocznego grzechotnika.

Uniósł się i między skałami rzucił okiem przed siebie. Od grupy głazów, podobnych do tych, za którymi się ukrył, dzieliła go płaska przestrzeń porośnięta trawą i kaktusami. Ponad tymi głazami snuła się cienka smuga białawego dymu. Przenikliwe oczy Reynoldsa, wpatrując się w słońcem spieczony teren, dostrzegły między skałami nikły błysk stali. Był to wylot lufy strzelby i Reynolds dobrze wiedział, kto leżał za tą lufą.

Wojna Cala Reynoldsa z Esauem Brilllem, jak na Teksas, trwała już długo. W górach Kentucky tego rodzaju rodzinne wojny mogą rozciągać się na całe pokolenia, ale warunki geograficzne i ludzki temperament na południowym zachodzie nie sprzyjały zbyt długo trwającej wrogości. Tam tego rodzaju wojny wybuchały gwałtownie i szybko się kończyły. Scenę stanowił przeważnie saloon lub ulice małego kowbojskiego miasteczka, albo otwarty, skalisty teren. Kryjąc się w krzakach wawrzynu z bliska oddawano gromkie strzały z sześciostrzało — wych pistoletów lub obrzyneków, w ten czy inny sposób szybko rozstrzygając wszelkie spory.

Sprawa Cala Reynoldsa i Esaua Brilla była trochę inna i przy tym dość niezwykła. Po pierwsze, było to wojna tylko między nimi dwoma. Nie byli w nią wciągnięci ani przyjaciele, ani krewni. Nikt, włączając w to samych zainteresowanych, nie wiedział, jak to się właściwie zaczęło. Cal Reynolds wiedział, że przez całe życie nienawidził Esaua Brilla i że Brill odwzajemniał mu się tym samym. Kiedyś w młodości gwałtownie pobili się, jak dzikie koty. Od tego czasu Reynolds nosił na żebrach bliznę od noża, a Brill miał poważnie nadwężone oko. Ale to nie było najważniejsze. Permanentnie walczyli ze sobą i żaden z nich nie miał ochoty pierwszy wyciągnąć ręki na zgodę. To cywilizacja rozwinęła tego rodzaju hipokryzję, kiedy ludzie nie mają odwagi, aby walczyć ze sobą na śmierć i życie. Gdy człowiek czuje, jak nóż przeciwnika skrobie mu kości, natomiast przeciwnik kciuk wyciskający oczy lub korek buta na ustach, ledwo może okazać skłonność do przebaczenia i zapomnienia, bez względu na konsekwencje.

Tak więc Reynolds i Brill pielęgnowali w sobie nienawiść towarzyszącą im do wieku dojrzałego i jako poganiacze krów, pracując w konkurujących ze sobą ranczach, uważali, że w dobrym tonie jest szukanie okazji do prowadzenia prywatnej wojny. Reynolds kradł bydło szefa Brilla, a Brill rewanżował mu się tym samym. Każdy z nich wściekał się na metody działania drugiego, a siebie usprawiedliwiał za sposoby, jakimi usiłował wyeliminować wroga. Pewnej nocy Brill złapał Reynoldsa bez broni w saloonie w Krowich Studniach i jedynie sromotna ucieczka tylnymi drzwiami, z kulami szczekającymi u jego pięt, uratowała skalp Reynolds!

Kiedy indziej Reynolds, leżąc w lasku dębowym, gładko zrzucił wroga z siodła kulą 30–30 z odległości pięciuset jardów i gdyby nie to, że nagle pojawił się nadzorca pastwisk, walka skończyłaby się na dobre. Reynolds w obecności świadka zdecydował się pozostać w ukryciu i zrezygnował z wybicia mózgu z głowy rannego za pomocą kolby swojej strzelby.

Brill wylizał się z rany dzięki żywotności podobnej długorogiemu bykowi, wspólnej dla całej rasy twardoskórych ludzi o żelaznych muskułach, a kiedy tylko znów stanął na nogach, natychmiast ruszył podstępnie zastrzelić człowieka, który go napadł.

Teraz obaj wrogowie tkwili naprzeciwko siebie na samotnych wzgórzach w odległości strzału, gdzie nikt nie mógł im przeszkodzić.

Dłużej niż godzinę leżeli między skałami, strzelając do siebie na każdy najmniejszy ruch.

Żaden z nich nie trafił, chociaż kule kalibru 30–30 gwizdały niebezpiecznie blisko.

W skroniach Reynoldsa intensywnie tętnił puls. Słońce paliło i jego koszula była mokra od potu. Klął wściekle na krążące wokół głowy i wążące do oczu drobne muszki. Mokre włosy przylepiły się do czaszki, oczy piekły od słońca i nawet lufa paliła jego zrogowaciałe dłonie. Prawa noga zeszywniała, poruszył nią ostrożnie, przeklinając brząk ostrogi, chociaż wiedział, że Brill nie może tego słyszeć. Te wszystkie niewygody jeszcze Hardziej rozpałały w nim wściekłość. Podświadomie przypisywał wszystkie swoje cierpienia wrogowi. Słońce paliło sombrero i myśli zaczęły się plątać. Pozbawione cienia skały były tak rozgrzane jak kamienie w kominku piekieł. Oblizwał wysuszonym językiem spieczoną wargi. Przez zamęt w głowie jego mózg płonął nienawiścią do Esaua Brilla. To było coś więcej niż podniecenie — to była obsesja, monstualna zhora. Wzdrygał się na trzaskanie strzelby Brilla, nie z obawy, że może umrzeć, ale z wściekłości, że zginie z rąk swego wroga. Chętnie wyrzekłby się życia, gdyby udało mu się posłać Brilla do wieczności choć trzy sekundy przed swoją śmiercią.

Nie analizował tych uczuć. Ludzie żyjący z pracy rąk nie mają na to czasu. Nienawiści do Esaua Brilla nie uświadamiał sobie bardziej niż własnej nogi czy ręki. To była część jego osoby, a nawet więcej niż tylko część: to go otaczało, pochłaniało; jego umysł i ciało były tylko materialną powłoką. On był tą nienawiścią; to była jego dusza, to było całe jego jestestwo. Nie przeskadzała mu w tym denerwująca stagnacja i kajdany intelektu, jego instynkt pobudzał zwykły, nagi prymityw. I z tego wykryła się niemal dotykalna abstrakcja — tak silna nienawiść, że nawet śmierć nie mogła jej zniszczyć; tak potężna, że ucieleśniła się sama w sobie, bez pomocy lub konieczności istnienia substancji materialnej. Przez mniej więcej kwadrans strzelby milczały. Przepojeni śmiercią jak grzechotniki wijące się wśród skał i wysysające truciznę z promieni słońca, walczący leżeli wyczekując okazji, bawiąc się w grę wytrzymałości i czekając, aż puszcza nerwy jednego z nich. Pierwszy nie wytrzymał Esau Brill. Nie dlatego, że jego załamanie przybrało postać szaleństwa lub nerwowej eksplozji. Tkwił w nim zbyt dziki instynkt podejrzliwości. Nagle, wrzeszcząc przekleństwa, uniósł się na łokciach i zaczął strzelać na oślep w płataninę skał, gdzie ukrywał się jego wróg. Przez krótki moment widać było tylko górną część ręki i skraj niebieskiej koszuli na ramieniu. Ale to wystarczyło. W ułamku sekundy Cal Reynolds szarpnął spust i straszliwe wycie dało znać, że kula trafiła w cel. Wówczas trwający całe życie instynkt zmiotła powódź radości. Nie wrzeszczał triumfalnie, nie zerwał się na nogi, ale odstąpił zębami w grymasie wilczego uśmiechu i odruchowo uniósł głowę. Jednak powracający instynkt natychmiast kazał mu przypaść do ziemi. To jednak nie pomogło mu wiele. W momencie, gdy znów krył się, zagrzmiął odpowiadający strzał Brilla. Cal Reynolds nie usłyszał go, ponieważ równocześnie z tym dźwiękiem coś eksplodowało w jego czaszce, pogrążając go w kompletnej ciemności, która przez moment rozblęła czerwonymi iskrami.

Ta ciemność była tylko chwilowa. Cal Reynolds rozejrzał się dziko dookoła, zaszokowany zdając sobie sprawę, że leży na otwartej przestrzeni. Impet strzału wyrzucił go pomiędzy skał i Cal stoczył się w dół, zdając sobie sprawę, że pocisk niezupełnie trafił w cel. Na szczęście kula uderzyła w kamień, muskając tylko czaszkę. Ale nie to było teraz ważne. Ważne było, że leżał zupełnie odkryty i w każdej chwili mógł zostać nafaszerowany ołowiem. Ujrzał, że strzelba leży dość blisko. Przeleciała przez skałkę i wyładowała opartą kolbą o ziemię, z lufą zwróconą w górę. Następnym spojrzeniem zlokalizował wroga, stojącego teraz wśród dotąd kryjących go głazów.

Tym jednym rzutem oka Cal Reynolds ogarnął wszystkie szczegóły wysokiej, smukłej postaci: poplamione spodnie, zwieszający się w kaburze sześciostrzałowiec, zniszczone, skórzane buty, strużkę czerwieni spływającą z ramienia na niebieską koszulę, która przyłgnęła do ciała mokra od potu, potargane, czarne włosy, z których pot spływał na nie ogoloną twarz. Uchwycił też połysk poźółkłych od tytoniu zębów wyszczerzonych w dzikim uśmiechu. Dym ciągle jeszcze unosił się z lufy strzelby, którą Brill trzymał w rękach.

Te znajome i zniechęcone szczegóły wyraźnie odcinały się na tle przerażającej jasności w czasie, gdy Reynolds walczył wściekle przeciwko niewidzialnym łańcuchom, które zdawały się więzić go przy ziemi. Pomyślał nawet o paraliżu, jaki mogło spowodować to uderzenie w głowę, ale jednak uwolnił się i zaczął rżnąć po ziemi. „Rżnąć” nie jest dobrym określeniem; wydawało mu się, że skoczył do strzelby stojącej przy skale tak lekko jak strzała.

Padając za głazem, chwycił broń. Nie musiał jej nawet podnosić. Była dokładnie wymierzona w człowieka, który się zbliżał.

Ale na widok dziwnego zachowania Esaua Brilla na moment zatrzymał rękę. Zamiast

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

strzelać lub skoczyć do tyłu i ukryć się, ten człowiek szedł prosto na niego ze strzelbą na ramieniu i z tym swoim przeklętym, kpiącym uśmiechem na nie ogolonej twarzy. Czy on zwariował? Czy nie widzi, że wróg jest znowu na nogach, że żyje i mierzy ze strzelby prosto w jego serce? Wydawało się, że Brill w ogóle nie patrzy na niego, tylko gdzieś w bok, na miejsce, gdzie przed chwilą leżał Reynolds.

Cal Reynolds nacisnął spust nie próbując dalej analizować zachowania wroga. Wraz z wściekłym uderzeniem kuli z szerokiej piersi Brilla oderwał się płat niebieskiego materiału. Brill zatoczył się do tyłu otwierając usta. Wyraz jego twarzy zmroził znów Reynolds. Esau Brill należał do ludzi, którzy walczą do ostatniego tchu. Z pewnością padając pociągnie na oślep spust, zanim opuszczą go resztki życia. Jednak okrutny triumf znikł z jego twarzy i zastąpił go wyraz bezgranicznego zdumienia. Nie zrobił wysiłku, aby unieść strzelbę, która wysunęła się teraz z jego rąk i nie chwycił się za piersi. Rozłożył ręce dziwnym, bezradnym ruchem i odchylił do tyłu na uginających się nogach, jego twarz zamarła w masce głupiego zdumienia, które spowodowało, że patrzący na niego zadrżał pod wpływem kosmicznej zgrozy.

Z jego otwartych ust buchnęła krew spływając na mokrą od potu koszulę. I tak jak przyciągane ku ziemi chwiejące się drzewo, Esau Brill upadł na trawę i legł bez ruchu. Cal Reynolds wstał, pozostawiając na miejscu strzelbę. Falujące wzgórza zdawały się niewyraźnie pływać we mgle. Nawet niebo i pałace słońce wydawało się blade i nierzeczywiste. Ale jego duszę wypełniała dzika radość. Długa wojna wreszcie dobiegła końca i czy był śmiertelnie ranny, czy też nie, posłał Esaua Brilla, aby przetarł mu drogę do piekła.

Potem nagle otrząsnął się z oszołomienia, gdy jego wzrok powędrował do miejsca, gdzie leżał po tym, jak został uderzony w głowę. Wytrzeszczył oczy; czyżby miał jakieś złudzenia? Tam w trawie leżał nieżywy Esau Brill — a zaledwie kilka stóp od niego leżało na ziemi inne ciało.

Zesztywniały ze zdumienia, Reynolds patrzył na smukłą postać, leżącą groteskowo przy skałach. Ciało leżało częściowo na boku, rzucone ślepą konwulsją, z rozrzuconymi ramionami, palce zakrzywione jakby chciały coś uchwycić. Krótka obcięta, jasne włosy pokrywała krew, a ze strasznej dziury w skroni wypływał mózg. Z kącika ust wyciekała cienka strużka soku tytoniowego i zbierała się na zakurzonej apaszcze.

Patrząc uświadomił sobie, że zna tego człowieka. Poznał na przegubach błyszczące, skórzane paski. Wiedział, jakie to ręce zapinały pas z bronią, a smak soku tytoniowego ciągle czuł w ustach.

W krótkim niszczącym momencie zdał sobie sprawę, że patrzy na własne, martwe ciało. A wraz z tą świadomością nadeszło całkowite zapomnienie.

BESTIA Z OTCHŁANI

Ponieważ większość życia spędziłem w miastach nagle bogacących się na ropie naftowej, nie jest mi obcy widok ludzkich istot, które zostały pokiereszowane i zniekształcone. Więcej, aniżeli chciałbym pamiętać, widziałem ludzi cierpiących, krwawiących i umierających na skutek wypadków przy maszynach, od ran noża, strzałów z broni palnej i w innych rozmaitych nieszczęśliwych wypadkach. Jestem jednak przekonany, że najgorszy spektakl, jaki widziałem, to widok okulałego kota wlokącego się chodnikiem i ciągnącego za sobą złamaną łapkę, wiszącą tylko na kawałku skóry. Zwierzę próbowało się podpierać tą strzaskaną kończyną, wydając z siebie niskie, pełne cierpienia jęki, trochę tylko przypominające normalny głos, jaki wydają koty.

Jest coś przejmującego w widoku zwierzęcia cierpiącego ból; nieukojona nadzieją lub rozsądkiem pełna desperacji rozpacz, czyni go w pewien sposób straszniejszym i tragiczniejszym od widoku skrzywdzonego człowieka. W tym agonicznym krzyku kota zdawały się koncentrować ślepe, bezdenne męki czarnej, kosmicznej otchłani. To krzyk z dżungli, wycie śmierci z niewymownie odległej Przeszłości, zapomnianej już przez ludzkość, ale ciągle jeszcze leżącej, jak śpiące cienie, na dnie naszej podświadomości, aby obudzić się do wstrząsającej pamięci krzykiem wydobywającym się z ust bestii.

Nie tylko w męce albo w śmierci kot przypomina brutalną Przeszłość. W jego gniewnych lub miłosnych krzykach, w przemykaniu się wśród traw, w bezwstydnie płonącym w zmrużonych oczach głodzie, wszystkimi ruchami i czynami objawia pokrewieństwo z dzikością, nieposkromioną naturą i pogardą człowieka.

Kot w zwierzęcej hierarchii leży niżej niż pies, mimo wszystko bardziej przypomina człowieka. Ponieważ jest dumny, ale zarazem służalczy, zachłanny, ale przy tym wybredny,

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

leniwy, lubieżny i samolubny. To ostatnie dominuje w kocim rodzie. Kot jest niewymownie samolubny. Kochając siebie jest bezczelny, szczerzy i bezwstydnym.

Nie dając nic w zamian, domaga się wszystkiego — i domaga drażniąco, natarczywie, jęcząc i trzęsąc się z żalu nad sobą, oskarżając cały świat o to, że perfidnie złamał wszystkie dane mu przyrzeczenia. Jego oczy są podejrzliwe i chciwe, są to prawdziwie zachłanne oczy. Jego zachowanie jest zarazem aroganckie i deprecjonujące samego siebie. Wygina grzbiet w łuk, ociera się o nogi człowieka, wyśpiewując żalosne prośby, podczas gdy oczy wyrażają groźby, a pazury wysuwają się konwulsyjnie tam i z powrotem z kryjących je miękkich otoczek.

Jest niezwykle wymagający, ale nigdy za nic nie dziękuje. Wierzy tylko niezmiennie w boskie prawa kotów. Pies istnieje tylko dla człowieka, człowiek istnieje tylko dla kotów. Ród koci uważa, że stanowi centrum wszechświata. W ich wąskich czaszkach nie ma miejsca na inne, lepsze odczucia.

Wyciągnij tonącego kociaka z rynsztoka, daj mu miękką poduszkę i śmietankę tak często, jak tylko zechce. Opiekuj się nim, bądź czuły i dbaj o jego beзуżyteczne i samolubne życie. Czym ci się odwzajemni? Pozwoli pogłaskać futerko i będzie łaskawie mruczał, tak jakby sprawiał ci tym niebywałą uprzejmość. I tu kończą się wszelkie ślady wdzięczności. Twój dom może mu nad głową płonąć jak pochodnia, bandyci mogą się włamywać do środka, mogą gwałcić twoją żonę, mogą uderzyć w głowę wuja Theobalda i mogą cię wieszać za kciuki, abyś wydał kryjówkę, w której ukrywasz swoje skarby. Zwykły, przeciętny pies poświęciłby życie broniąc nawet wuja Theobalda, natomiast twój tłusty, wypieszczony kot będzie gapił się na to wszystko bez najmniejszego zainteresowania. Nie uczyni nic, aby cię obronił, a po zakończeniu całej awantury prawdopodobnie urządzi sobie ucztę z twego bezbronnego ciała.

Słyszałem tylko o jednym kocie, który objawił wdzięczność i to nie dzięki swoim cnotom, ale raczej dzięki sprytowi jego właściciela. Przed wieloma laty przez stan Arkansas przejeżdżał powozem pewien wędrowiec. Miał z sobą wielkiego, tłustego kota o niejasnych przodkach. Podróżnik nie pracował, nie ruszał nawet palcem, był chudy, wyniszczony, sprawiał wrażenie jakby zawsze był głodny, nawet wtedy, gdy był objedzony.

Miał proste i artystyczne metody zdobywania jedzenia bez pracy. Zostawiając konia i wózek za gęstymi krzakami, zbliżał się do domu farmiera lekko potykając się, jakby był wyczerpany długim postem, i trzymał pod pachą kota. Pukanie do drzwi zawsze przywoływało podejrzliwą gospodynię, ale nie uciekał się do prostej taktyki żebrania. Nie, trzymając kapelusz w ręku, pokornie prosił o trochę soli.

— Na litość boską — przewaźnie brzmiała odpowiedź. — Do czego potrzebna panu sól?
— Proszę pani — wyjaśniał ten geniusz drżącym głosem — jestem tak głodny, że będę musiał zjeść mego kota.

Prawie w każdym wypadku dobra kobieta była tak zaszokowana, że wciągała do środka lekko protestującego wędrowca i napelniała jego brzuch — i kota — najlepszym jedzeniem ze spiżarni.

Nie jestem ofiarą jakiejś szczególnej kociej fobii, która często nawiedza niektórych ludzi, nie należę też do osób, które darzą zwierzęta niewytłumaczalną, tyranizującą miłością, ja po prostu czuję do nich wyżej wspomniane obrzydzenie. Ogólnie biorąc koty nic mnie nie obchodzą.

W dzieciństwie zwykle otaczały mnie koty. Czasami otrzymywałem je w prezencie, ale częściej same przyłaziły skądś i zostawały. Zdarzało się, że później w tajemniczy sposób znikają. Mam tu na myśli zwykłe koty, koty ze wsi, koty z ulicy, koty bez rodowodów, koty nie szczyjące się przodkami. Tego rodzaju „skundlone” zwierzęta, tak jak „skundleni” ludzie, są dużo bardziej interesujące aniżeli te wystudiowane i przemądrałe osobniki z chwalebą przeszłością.

W mojej części kraju do niedawna nie znano cennych kotów czystej krwi. Takie nazwy jak kot perski, angora, maltański, kot z wyspy Man i tym podobne, znaczyły bardzo mało albo prawie nic. Kot był kotem i klasyfikowano go tylko ze względu na umiejętność łapania myszy. Ostatnio u zwykłego, ulicznego kota amerykańskiego zauważam wyraźną modyfikację; coś jakby zmieszanie cech kota rasowego ze zwykłym, tworzące koty niezwyklej maści i kształtów. Czas tylko odpowie, czy poprawi to, lub nie, populację demokratycznego kota nierasowego.

Jeśli o mnie chodzi, zawsze wybiorę zwykłego kota z ulicy. Pamiętam, jak z niezwykłym uczuciem zniechęcenia i obrzydzenia oglądałem pierwszego w moim życiu rasowego kota — była to jakaś niezgrabna kula szarego futra z tępyimi oczami, wyrażającymi kompletną głupotę. Na podwórze wpadł dziko szczekając pies, ten wymuskany arystokrata wpatrywał się

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

w niego głupio, a potem powlókł się przez werandę i próbował wdrapać się na słup. Gdyby był kotem ulicznym, skoczyłby jak szara błyskawica, znalazł odpowiednio dla siebie dogodną pozycję i wyplułby całą wściekłość na łeb wroga. Natomiast to bezwstydnie przerasowane monstrum spadło sromotnie ze słupa i rozpląszczyło się — na grzbiecie — tuż przed nosem psa, który był tak zdumiony tym fenomenem, że doszedł do wniosku, iż to chyba nie jest kot i szybko odszedł. Nie po raz pierwszy tego rodzaju bitwa została wygrana przez głupią niezdarność.

Kiedyś przebywałem na farmie opanowanej przez nieopisaną ilość szczurów. Napadały, na kwoki wysiadujące jaja, wyżerały jaja i małe kurczaki, wygryzały dziury w podłodze domu. Budynek był już stary, a podłogi przegniłe i szczury robiły przeraźliwy bałagan. Przybiłem paski z cynowej blachy na dziurach i nocą słyszałem, jak piszcząc z wściekłości szarpia zębami tę cynę. Pułapki okazały się nieskuteczne, szczury są mądre i nie dają się tak łatwo złapać jak myszy. Naturalną alternatywą były oczywiście koty — a było ich dokładnie jedenaście. Potem ta stara farma stała się prawdziwym polem bitwy. Wielkie, szare szczury podobne do tych z doków portowych, zwane przez nas „portowymi”, nie są łatwym łupem dla kota. Nie raz widziałem dorosłego kota pogryzionego przez te szczury. Wściekłość osaczonego szczura jest przysłowiowa i w tym przypadku można było namacalnie sprawdzić słuszność tego przysłowia. W kilku wypadkach musiałem razem z kuzynem, przy użyciu cegieł i pałek baseballowych, pospieszyć z pomocą naszym kocim sojusznikom.

Najdzielniejszy z całej załogi był szary kot średniej wielkości, którego według jakiegoś niewytłumaczalnego procesu myślowego nazwaliśmy Fessler. Mimo faktu, że kiedyś w homeryckiej walce bezwstydnie pognął go wielki szczur, co mogłoby stanowić podstawę do całego cyklu sag o bohaterskich walkach kotów ze szczurami, to on właśnie był tym kotem nad kotami. I to właśnie u niego — co może wydawać się fantastyczne — dawał się wyczuć jakiś przelotny cień autentycznego wzruszenia.

Nosił w sobie jakieś dostojeństwo; większość kotów posiada tego rodzaju właściwość. Był odważny — mimo przeczących temu legend, cały ród koci generalnie nie grzeszy odwagą. Był doskonałym łowcą myszy. Był inteligentny, inteligentniejszy od innych znanych mi kotów. W końcu, gdy poza jednym, już wszystkie koty zdechły na jedną z tych niewyjaśnionych kocich chorób, jakie czasem nawiedzają plagą ród koci, przywlókł się do domu, aby tu umrzeć. Kiedy zachorował, odszedł do stodoły i tam stoczył samotną, przegraną walkę z chorobą, ale gdy poczuł, że już nadchodzi śmierć, wyczołgał się z kryjówki i wlokąc się boleśnie w nocy upadł pod moim oknem, gdzie rano znaleźliśmy jego martwe ciało. Wyglądało tak, jakby ostatnim wysiłkiem instynktownie szukał ludzkiej pomocy.

Większość pozostałych kotów zdechła samotnie w swoich kryjówkach. Jeden, czarny, wyzdrowiał, ale był tak wychudzony i osłabiony, że nie mógł ustać na nogach. Kuzyn zastrzelił królika, pokroił go na małe kawałeczki i nakarmił kota surowym mięsem. Nie mogąc stać, kot jadł na leżąco i zjadł tyle, że zdrowy kot chyba by pękł, a potem przewracając się na bok uśmiechnął się wyraźnie jak człowiek i umarł tak spokojnie jakby zasnął. To prawdziwe nieszczęście widzieć tyle umierających zwierząt, jednak nigdy nie widziałem śmierci tak spokojnej i pełnej zadowolenia. Zakopaliśmy go obok braci i sióstr, którzy padli od tej samej choroby i nad grobem oddaliśmy wojskową salwę honorową. Życzyłbym sobie tak łatwej śmierci, jaką miał ten kot!

Powiedziałem, że jedna kotka przeżyła. Wiem tylko tyle, że chyba jeszcze żyje i rozmnaża się gdzieś na trawiastych wzgórzach porośniętych krzakami meskitu. Była prawdziwym pokonującym śmierć kocim Feniksem, odradzała się z popiołów i to przeważnie z nowym miotem piszczących kociąt.

Była to duża kocica o różnicowanej maści — zaskakująca mieszanina bieli, czerni i żółci. Z powodu czarnego pyszczka nazwaliśmy ją Czarną Mordką. Miała młodszą siostrę, którą zdawały się przygniatać wszystkie kłopoty tego świata, co ujawniało się na przekomicznie tragicznej mordce — przypominającej maskę umęczonego klauna — ale zdechła w czasie Wielkiej Zarazy.

Natomiast Czarna Mordka jakoś przeżyła. Na krótko przedtem, zanim koty zaczęły chorować, gdzieś zniknęła i sądzę, że też zachorowała i poszła umrzeć gdzieś w krzakach. Jednak myliłem się. Kiedy ostatni z jej towarzyszy odszedł do swoich przodków, kiedy zarazone miejsca oczyścił czas i zmienna pogoda, Czarna Mordka wróciła do domu, a wraz z nią cała gromada długonogich kociąt. Została na farmie, aby wykarmić dzieci, a potem znowu gdzieś przepadła. Ale po kilku tygodniach wróciła, lecz tym razem sama.

Zacząłem od nowa hodować koty i tak długo jak mieszkalem na farmie, przeżywałem radosne okresy kociej inflacji, poprzedzianej powracającymi falami tej tajemniczej kociej zarazy, która je zmiatała z powierzchni ziemi. Jednak zaraza jakoś nigdy nie dopadła Czarnej

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Mordki. Za każdym razem, gdy rozpoczynał się pogrom, tajemniczo zniknęła i wracała dopiero wtedy, kiedy zdechł ostatni kot i niebezpieczeństwo minęło. Zdarzało się to zbyt często, aby można było przyjąć, że był to tylko zwykły zbieg okoliczności. Ta kotka jakimś sposobem wyczuwała zgubę niszcząca jej towarzyszy.

Była spokojna, skryta, zagadkowa, jakby przepelniona tajemną wiedzą, starszą niż kultura Egiptu. Nie gromadziła przy sobie swych maleństw i nie chodziła z nimi. Myślę że nauczyła się, iż gęsto zaludnione miasta są niebezpieczne. Kiedy kociątka były już bardziej samodzielne, wyprowadzała je do lasu i tam zostawiała. Chociaż człowiekowi wydaje się niemożliwe, że kot może się „zgubić”, żadne z nich nigdy nie wracało na farmę, z której wyprowadziła je Czarna Mordka. Jednak cała okolica pełna była zdziczałych kotów. Jej synowie i córki zamieszkiwali płaszczyny porośnięte ostrą trawą, żyły w dąbrowach i w kaktusowych zagajnikach. Niektóre zawędrowały do różnych domów farmerskich i zostały słynnymi łowcami myszy; większość jednak pozostała nieoswojona, stała się łowcami i myśliwymi, pożeraczami ptaków, gryzoni, młodych królików i podejrzewam, że również kurcząt.

Czarna Mordka otoczona była mgłą tajemniczości. Zjawiała się nocą i nocą zniknęła. Rodziła swoje kocięta gdzieś głęboko w lasach, na pewien czas sprowadzała je do świata cywilizowanego, kiedy wymagały jeszcze opieki — a sama miała przy tym wygodniejsze życie — potem w odpowiednim czasie, gdy już dorosły, wracała do lasów.

Lata mijały i Czarna Mordka coraz rzadziej wracała na łono cywilizacji. W końcu nie przyprowadzała już swego potomstwa, tylko opiekowała się nim w dziczy. Wzywała ją natura i to było silniejsze od wygody i lenistwa. Była cicha, pierwotna i stawała się coraz dziksza. Nie odwiedzała już ludzkich siedzib, ale czasem, o świcie lub o zmroku, mogłem ją widzieć jak przebiegała — żółto-czarne paski — w wysokiej trawie lub przemykała w meskitowych krzewach. W jej oczach płonął żywy ogień, prężne mięśnie ciągle jeszcze grały pod futrem. To było prawie dwadzieścia lat temu. I nie byłbym zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że żyje jeszcze w dolinach porośniętych kaktusami i na wzgórzach pokrytych krzewami meskitowymi. Pewne istoty są zbyt żywotne, aby umrzeć.

Teraz nie jestem pewien, ile posiadałem kotów. Nie byłbym w stanie dowieść, że choćby jeden z nich był moją własnością, ale kilka zawsze przychodziło, sadowiło się w okolicy spiżarni lub przy tylnych schodach, co pozwoliło mi karmić je w zamian za łaskawe pomruki aprobaty. Tak więc, jak długo nikt się do nich nie przyznawał, mogłem je uważać za moją własność.

Nie jestem pewien ile ich było, ponieważ tę gromadkę zawsze uzupełniał jakiś dodatkowy, nie znany mi kot. Słyszałem, jak mruczały wśród beli siana, ale nigdy nie miałem okazji policzyć ich. Wiem tylko, że były to dzieci wielkiego, leniwego, masywnego kocura, którego demokratyczna, skundlona krew została nieco rozcieńczona krwią szlacheckiego rodu.

Pewnego razu było ich pięć. Jeden, czarno-biały, przychodził z jakąś obawą, ale potem gdzieś zniknął. Drugi był biało-szary, to była kotka, mniejsza niż inne — jak to zwykle była u dobrych łowców myszy. Wydawała z siebie jakiś szczególny, cienki, jękliwy głos. Ponieważ wolała przebywać w rozmaitych szopach, spichrzach i tym podobnych, nazwaliśmy ją Kotką Stodołową. Trzeci był wspaniałym portretem prymitywnej dzikości. Ogromny, żółty kocur, wyraźnie jakiś mieszaniec — kot pospolity skoliigacony z czymś, co mogłoby być kotem perskim. I dlatego nazwaliśmy go Persem.

Zauważyłem, że przeciętny, zwykły, żółty kot nie grzeszy odwagą. Jednak nasz Pers był wyjątkiem. Był to największy, najwspanialszy i najzjadlejszy mieszaniec, jakiego widziałem. Zawsze był żarłoczny, w zdumiewający sposób potrafił zmiażdżyć w potężnych szczękach kurczaka. Tak naprawdę to nie przypominał w tym kota i żarł jak pies. Nigdy nie grymasił i nie był leniwy. Nie kierując się żadną moralnością, zawsze walczył bez skrupułów, przypominał najemnego żołnierza, który potrafi bić się wszędzie i w każdych okolicznościach, wykazując przy tym godną pozazdroszczenia żywotność. ‘

Ten dzielny kocur zalecał się do naszej Kotki Stodołowej tak jak nigdy nie była kokietowana żadna kobieta. Ale ona traktowała go jak psa. Był dla niej niezwykle uprzejmy, a w nagrodę otrzymywał parsknięcia i ostre pazurki. W stosunku do innych kotów zachowywał się jak lew, ale wobec Stodołowej zawsze był potulny niczym baranek.

Niech no tylko spróbował zbliżyć się do niej z największym respektem, natychmiast zmieniała się w prychającą i drapiącą furie. Kiedy wycofywał się, niezmiennie szła za nim, zaczepiając go, drażniąc i nie dając mu spokoju. Jeżeli jednak znowu na podstawie jej zachowania wyobraził sobie, że ma jakieś szansę, natychmiast przybierała pozę obrażonej dziewczycy, szczyrzyła zęby i wysuwała pazurki.

Sposób, w jaki go traktowała, bardzo kontrastował z jej zachowaniem w stosunku do

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Hoota — wielkiego, białego kota w czarne plamki. Jego zabarwienie powodowało, że wyglądał jakby miał na nosie zabezpieczenie z hokejowego kasku. Hoot był zbyt leniwy na flirty z Kotką Stodołową, a ona tolerowała go lub raczej całkowicie ignorowała. Mógł ją wypchnąć z ulubionego miejsca, gdzie zwykle sypiała, mógł nadebrać jej na ucho idąc do swojego jedzenia, mógł nawet zjeść jakiś wybrany kęs z jej posiłku, a ona nie okazywała żadnego rozdrażnienia czy złości. Natomiast gdyby Pers spróbował zrobić coś podobnego, z pewnością zagryzłaby go na śmierć. Z drugiej jednak strony, wyraźnie pogardzała Hootem, chociaż nigdy — tak jak Persowi — nie okazywała mu niechęci lub znudzenia.

Ich romans nie różnił się zbytnio od romansów niektórych ludzi i skończył się tak, jak kończą się wszystkie romanse. Pers był wojownikiem. Dużo czasu spędzał liżąc rany i przez to zawsze sprawiał wrażenie wychudzonego i zawsze nosił na ciele lub głowie kilka nie zaleczonych ran. Pewnego razu przywłókł się z świeżymi ranami i złamaną łapą. Leżał przez dłuższy czas odmawiając opieki, a potem gdzieś znikł. Myślę, że kierując się instynktem ukrył się gdzieś, aby umrzeć w samotności.

Kariera Kotki Stodołowej była krótka, niedługo po śmierci kochanka zjawiała się pewnego poranka z prawie zupełnie odgryzionym ogonem. Niewątpliwie musiała też mieć jakieś obrażenia wewnętrzne. Tylko ona, z całego towarzystwa, była naprawdę dobrym łowcą. Zwykle unikała dużych, szarych szczurów, ale sądzę, że to one właśnie były odpowiedzialne za jej smutny koniec. W każdym razie zniknęła gdzieś i więcej już wróciła.

Szary kot i jej kocięta zostały razem z Hootem, który ciągle jeszcze sypia na słońcu, zbyt leniwy aby się czyścić i wylizywać. To jedyny kot, jakiego znam, który toleruje zakurzone futerko. Po piaskowej burzy powinien zapaść się ze wstydu na swój widok. Możliwe, że nocą złapie jakąś mysz, ale nie okazuje żadnego entuzjazmu poza chęcią leniuchowania przez cały dzień.

Kot nie posiada dziewięciu żywotów. Jego żywot przeważnie jest krótki, dziki i kończy się tragicznie. Lubi cierpieć i jeśli może, zadaje cierpienia innym. Jest prymitywny, zwierzęco samolubny. Krótko mówiąc, jest to stworzenie odpychające, o paskudnym charakterze; jest skryzalizowanym, prymitywnym samouwielbieniem, materializacją ciemności oraz brudu i nędzy otchłani. Zielonooki, o stalowych mięśniach, jest obleczony w futro blokiem ciemności, wyciętym z piekielnych otchłani, które nie znają żadnego światła ani sympatii, ani snów, ani nadziei, ani piękna — niczego, poza głodem i chęcią zaspokojenia tego głodu. Ale mieszka z człowiekiem od zarania dziejów i kiedy ostatnia ludzka istota położy się, aby umrzeć, kot będzie obserwował jego mękę, walkę ze śmiercią i prawdopodobnie będzie zaspokajał swój głód rodem z otchłani, jego stygnącym ciałem.

PRÓŻNA NADZIEJA

Człowiek to zabawka, głupia i ślepa...
Choć ogień w nas tli się i krąży,
Choć pręży i wiję się radości kobra,
Zawsze powróci to, co nas draży.

Życie to lampa, gasnąca w niebycie,
Wilgotna i ciemna jaskinia;
Ja jednak klnę się na jasność o świcie,
A nie na mrok grobowego cienia.

UMARŁY PAMIĘTA

Dodge City, Kansas
3 listopada 1877
Mr William L. Gordon,
Antioch, Teksas

Kochany Billu!

Piszę do ciebie, ponieważ czuję, że długo już nie pożyję na tym świecie. Może cię to zaskoczy, wiesz bowiem, że opuszczając stado cieszyłem się dobrym zdrowiem i nie jestem w dosłownym znaczeniu tego słowa chory, ale niemniej czuję się tak jakbym już umarł. Zanim wyjawię ci, dlaczego tak sądzę, wpierw napiszę to, co zamierzałem napisać. Dotarliśmy mianowicie szczęśliwie do Dodge City ze stadem, które liczyło sobie 3400 głów i szef poganiaczy, John Elston, dostał od Mr R.J.Blane'a dwadzieścia dolarów na głowę;

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

jednak Joe Richards, jeden z poganiaczy, został zabity przez buhaja w pobliżu Przesmyku Kanadyjczyka. Jego siostra, Mrs Dick Westfall, mieszka niedaleko Seguin i chciałem, abyś do niej pojechał i powiedział, co się stało z jej bratem. John Elston przesyła jej siodło, uzdę, broń i pieniądze należące do brata.

A teraz, Bill, napiszę ci dlaczego wiem, że umieram. Przypomnij sobie miniony sierpień, tuż przed moim wyjazdem do Kansas z trzodą; dowiedziano się wtedy, iż Stary Joel, który był jeńcem pułkownika Henry'ego i jego żona, nie żyją — to ci, którzy mieszkali w lesie wiecznie zielonych dębów, w dole strumienia Zavalla. Wiesz, że zwano tę kobietę imieniem Jezebel, ludzie mówili, że była czarownicą. Była dużo młodszą od Joela, bardzo jasną Mulatką. Wróżyła i nawet niektórzy biali bali się jej. Ja osobiście nie wierzyłem w te wszystkie bajki.

No więc, kiedy zganialiśmy bydło na trakt, o zachodzie słońca znalazłem się w pobliżu strumienia Zavalla. Mój koń był już bardzo zmęczony, byłem głodny, zdecydowałem się więc zatrzymać u Joela i poprosić jego żonę, aby ugotowała mi coś do jedzenia. Tak więc podjechałem do ich chaty, stojącej pośrodku dębowego lasu i zobaczyłem, że Joel rąbie drewno na ogień, na którym Jezebel gotowała wołowinę. Pamiętam, że miała na sobie suknię w czerwono-zieloną kratę. Tak, tego z pewnością nigdy nie zapomnę.

Powiedzieli mi po prostu, abym zsiadł z konia. Zrobiłem to i zjadłem z nimi obfitą kolację, a potem Joel przyniósł butelkę tequilli, napiliśmy się i powiedziałem, że z pewnością wygram z nim w kości. Zapytał, czy mam ze sobą kości, odpowiedziałem, że nie mam, a on na to, że ma swoje i zagra ze mną pięć centów za punkt.

Zaczęliśmy więc grać i pić tequillę, której wypilem dość dużo. Spieszyłem się, aby jechać dalej, jednak Joel wygrał wszystkie moje pieniądze, jakieś pięć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. To mnie rozwścieczyło i powiedziałem, że napiję się jeszcze jednego, a potem wsiądę na konia i odjadę. Ale on na to, że butelka jest już pusta. No to ja powiedziałem, żeby otworzył następną. Powiedział, że już nie ma, na co wściekłem się jeszcze bardziej, zacząłem przeklinać i obrażać go, ponieważ byłem już trochę podпиты. Wtedy Jezebel podeszła do drzwi chaty i próbowała skłonić mnie, abym odjechał, ale powiedziałem, że jestem wolnym, białym człowiekiem, mam już dwadzieścia jeden lat i niech lepiej uważa, co robi, bo nie będą mi się tu wymądrzać żadne, nawet najbielsze Mulatki.

Wówczas Joel też się wściekł i powiedział, że tak, ma jeszcze tequillę, ale nie da mi kropli, choćbym nawet umierał z pragnienia. Ja na to: „Niech cię szlag trafi, wpierw mnie upieś, potem zabrałeś mi wszystkie pieniądze, grając fałszywymi kośćmi, a teraz jeszcze mnie obrażasz. Widziałem, jak wieszają czarnuchów za mniejsze przewinienia.”

A on na to: „Nie możesz jeść mojego mięsa, pić mojego alkoholu, a potem oskarżać mnie, że gram fałszywymi kośćmi. Nie może tego zrobić żaden biały. Jestem tak samo twardy jak ty.”

„Do diabła z tobą, zaraz cię skopię, czarnuchu” odpowiedziałem.

Wtedy on powiedział do mnie: „Nikogo nie skopiesz, biały człowieku.” A potem chwycił nóż, którym kroił wołowinę, i podbiegł do mnie. Wyciągnąłem pistolet i posłałem mu dwie kulki w brzuch. Upadł i wtedy strzeliłem mu w głowę.

Wówczas krzycząc i przeklinając podbiegła Jezebel z ładowanym przez lufę muszkietem. Wymierzyła we mnie i pociągnęła za spust, ale spaliło na panewce. Zacząłem wtedy krzyczeć, żeby się cofnęła, bo inaczej i ją zabiję. Ona jednak ciągle zbliżała się do mnie, wywijając muszkietem jak maczugą. Uchyliłem się, cios przeszedł bokiem, zrywając mi kawałek skóry z boku głowy, przystawiłem lufę pistoletu do jej piersi i szarpnąłem spust. Wystrzał odrzucił ją kilka kroków do tyłu, pochyliła się i upadła na podłogę z ręką przyciśniętą do piersi i krwią wyciekającą między palcami.

Podszedłem do niej z pistoletem gotowym do strzału i spojrzałem w dół przeklinając ją. Spojrzała w górę i powiedziała: „Zabiłeś Joela i mnie, ale, na Boga, nie będziesz żył, aby móc się tym przechwalać. Przeklinam cię w imię wielkiego węża i na czarne błota i białego koguta. Zanim za rok znów nadejdzie ten sam dzień, będziesz diabłom piętnował krowy w piekle. Przekonasz się, że gdy przyjdzie czas, dopadnę cię.”

Wtedy krew buchnęła jej z ust, upadła do tyłu i wiedziałem, że nie żyje. Przestraszyłem się, natychmiast wytrzeźwiałem, wskoczyłem na konia i odjechałem. Nikt mnie nie widział, a następnego dnia powiedziałem chłopcom, że koń poniósł i uderzyłem się w głowę o gałąź drzewa. Nikt nigdy nie dowiedziałby się, że zabiłem tych dwoje i teraz też nie powiedziałbym tobie, gdybym nie wiedział, że nie pozostało mi wiele życia.

To przekleństwo prześladowuje mnie i nie warto próbować się wymknąć. Przez cały szlak czułem, że coś idzie za mną. Zanim dotarliśmy do Red River, pewnego ranka znalazłem w bucie zwiniętego grzechotnika, później już cały czas spałem w butach. Potem, gdy

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

przekraczaliśmy Przesmyk Kanadyjczyka, wysunąłem się trochę do przodu, a całe stado nie wiadomo dlaczego zaczęło się kręcić w kółko i zostałem stratowany razem z koniem, gdyby Steve Kirby nie złapał mnie na łąso i nie wyciągnął spod kopyt oszalonego bydła. Pewnej nocy jeden z poganiaczy czyścił strzelbę na bawoły i strzelba nagle wypaliła, strącając mi z głowy kapelus. Ale tym razem chłopcy zaczęli żartować i mówili, że jestem kimś, kto przynosi pecha.

Po przejściu Przesmyku Kanadyjczyka stado zaczęło ciężko i beładnie galopować podczas najjaśniejszej i najspokojniejszej nocy, jaką kiedykolwiek widziałem. Jechałem wtedy w nocnej zmianie i nie widziałem ani nie słyszałem nic takiego, co mogłoby ją spłoszyć. Jeden z chłopców powiedział, że tuż przedtem usłyszał niski, jęklivy dźwięk w zagajniku topoli i zobaczył tam jakieś dziwne, niebieskie światło. W każdym razie buhaje pędziły tak gwałtownie, że zostałem między nie wciągnięty i musiałem im dorównać, aby uniknąć stratowania. Bydło gnało dziko przede mną, za mną, obok i gdybym nie jechał na najszybszym koniu z południowego Teksasu, z pewnością zostałem stratowany na miazgę. Jakoś wydostałem się na skraj stada i przez prawie cały następny dzień spędziłem rozpierzchnięte bydło. I właśnie wtedy zginął Joe Richards. Jechaliśmy właśnie próbując zagonić woły i nagle, bez żadnej wyraźnej przyczyny, mój koń dziko parsknął, uniósł się na tylnych nogach i padł wraz ze mną do tyłu. Zdążyłem w porę zeskoczyć, unikając zgniecenia, ale ujrzałem pędzące wprost na mnie ogromne rogi.

Nigdzie w pobliżu nie było drzewa, jedynie krzaki, próbowałem więc wyciągnąć pistolet, ale jakoś zaczepił się o pas i nie mogłem go wydostać. Rozwścieczony wół był już w odległości około dziesięciu skoków ode mnie, a wtedy Joe Richards chwycił go na łąso. Jechał na młodym, niedoświadczonym koniu, który pod wpływem szarpnięcia upadł na bok. Joe próbował zeskoczyć i uwolnić się, ale jego ostroga ugrzęzła w poprzęgu i wół przebił go obydwo ma rogami na wylot. To był przerażający widok.

Zdążyłem wreszcie wyciągnąć pistolet i zastrzelić zwierzę, ale Joe już nie żył. Był straszliwie rozdarty. Zakopaliśmy go tam gdzie zginął i postawiliśmy drewniany krzyż, a John Elston wrył na nim nazwisko i datę.

Po tym wypadku chłopcy już więcej nie kpili i nie mówili, że jestem kimś, kto przynosi pecha. W ogóle przestali ze mną rozmawiać, a ja trzymałem się z boku, ale Bóg wie, że przecież to nie była moja wina.

Dotarliśmy do Dodge City i sprzedaliśmy byki. Minionej nocy śniło mi się, że widzę Jezebel tak wyraźnie jak pistolet przy moim biodrze. Uśmiechała się jak sam diabeł, powiedziała coś, czego nie rozumiałem, ale wskazała na mnie i przypuszczam, że wiem co to znaczy.

Bill, ty już mnie więcej nie ujrysz. Ja już jestem martwy. Nie wiem, w jaki sposób odejdę, ale jestem pewien, że nie ujrę już wschodu słońca. Piszę więc do ciebie ten list, abyś o wszystkim wiedział i chyba byłem głupcem, gdyż wygląda na to, że jeśli się nie ma jasno wytyczonej drogi, należy iść naprzód na oślep.

Niemniej, cokolwiek zabierze mnie ze sobą, umrę w butach, z wyciągniętym pistoletem. Nigdy nie uciekałem przed czymś, co żyje i nie będę też uciekał przed umarłymi. Będę walczył do końca, bez względu na to, co mnie dopadnie. Przyszykowałem długi nóż bowie, codziennie czyszczę i oliwię pistolet. Czasem zdaje mi się, Bill, że oszaleję, ale to chyba z tych częstych snów o Jezebel. Z twojej starej koszuli zrobiłem sobie szmaty do czyszczenia — no, wiesz, z której? Z tej w czarno-białą kratkę, którą dostałeś w San Antonio na ostatnie Boże Narodzenie. Jednak czasem, gdy czyszczę tymi szmatkami mój pistolet, nie są one w czarno-białą kratkę, ale zmieniają się na czerwono-zielone, zupełnie takie jak suknia Jezebel w chwili, gdy ją zastrzeliłem.

Twój brat, Jim.

Oświadczenie Johna Elstona
4 listopada 1877

Nazywam się John Elston. Jestem nadzorcą na ranczo Mr J.J.Connolly'ego w hrabstwie Gonzales, Teksas. Byłem szefem w czasie transportu stada bydła, gdzie również zatrudniony był Jim Gordon. Dzieliliśmy z nim pokój w hotelu. Rano, trzeciego listopada, zdawał się być nie w humorze i nie mówił . wiele. Nie chciał ze mną wyjść i powiedział, że musi napisać list. Nie widziałem go przez cały dzień i spotkaliśmy się dopiero wieczorem. Wszedłem po coś do pokoju i zobaczyłem, że czyści swojego colta 45. Zaśmiałem się i spytałem żartobliwie, czy przypadkiem nie boi się Bata Mastersona, a on mi na to odpowiedział: „John, to czego ja

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

się boję nie jest ludzkie, ale jeśli mi się uda, spróbuję do tego strzelić zanim zginę.”
Zaśmiałem się i zapytałem, czego się boi i odpowiedział: „Bardzo jasnej Mulatki, która już nie żyje od czterech miesięcy.” Wtedy pomyślałem, że jest pijany i wyszedłem z pokoju. Nie wiem dokładnie, która to była godzina, ale było już ciemno.
Więcej nie zobaczyłem go żywego. Mniej więcej o północy, przechodząc obok saloonu Big Chief, usłyszałem strzał i zobaczyłem, jak ludzie wbiegają do wnętrza saloonu. Usłyszałem, jak ktoś mówi, że zabito tam kogoś. Razem z innymi wszedłem do środka i udałem się do tylnego pokoju. Na progu leżał człowiek z nogami wyciągniętymi na ulicę. Cały zalany był krwią, ale po budowie i ubraniu rozpoznałem w nim Jima Gordona. Nie żył. Nie widziałem, w jaki sposób go zabito i nic więcej nie wiem.

Oświadczenie Mike'a Cdonnella

Nazywam się Michael Joseph O'Donnell. Jestem na nocnej zmianie barmanem w saloonie Big Chief. Kilka minut przed północą zauważyłem przed saloonem kowboja rozmawiającego z Samem Grimesem. Wydawało mi się, że się kłóć. Po chwili kowboj wszedł i zamówił przy barze whisky. Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ nosił na wierzchu pistolet, podczas gdy inni trzymali broń w ukryciu, a poza tym był bardzo blady i miał dzikie oczy. Sprawiał wrażenie pijanego, chociaż nie jestem pewien, czy był pijany. Nigdy nie widziałem człowieka, który wyglądałby tak jak on. Później nie zwracałem już na niego uwagi, musiałem zająć się obsługą baru. Przypuszczalnie odszedł do pokoju położonego na zapleczu saloonu. Około północy od strony tylnego pokoju usłyszałem strzał i wybiegł Tom Allison krzyżąc, że zastrzelono człowieka. Pierwszy znalazłem się przy nim. Leżał częściowo w drzwiach, a częściowo na ulicy. Widziałem jego pas z nabojami wraz z kaburą w meksykańskie wzory i sądzę, że to był ten człowiek, którego widziałem wcześniej. Prawą rękę miał praktycznie urwaną, stanowiła masę krwawych szczątków. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby kula z broni palnej tak roztrzaskała komuś głowę. Nie żył już w chwili, gdy tam wszedłem i według mnie zginął natychmiast. Kiedy staliśmy zgromadzeni wokół niego, człowiek, o którym wiem, że nazywa się John Elston, wysunął się naprzód i powiedział: „Mój Boże, to Jim Gordon!”

Oświadczenie zastępcy szeryfa Grimesa

Nazywam się Sam Grimes. Jestem zastępcą szeryfa hrabstwa Ford, Kansas. Nieżyjącego obecnie Jima Gordona spotkałem przed saloonem Big Chief trzeciego listopada jakieś dwadzieścia minut przed dwunastą. Widziałem, że ma przy sobie pistolet. Zatrzymałem go i spytałem, dlaczego nosi broń i czy nie wie, że to jest niezgodne z prawem. Odparł, że broń nosi tylko dla obrony. Wyjaśniłem mu, że jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, to moją sprawą jest go bronić i lepiej żeby zabrał broń do hotelu i zostawił ją tam aż do opuszczenia miasta, ponieważ przyglądając się, jak jest ubrany, doszedłem do przekonania, że jest kowbojem z Teksasu. Na moje słowa zaśmiał się i powiedział: „Szeryfie, nawet Wyatt Earp nie mógłby ustrzec mnie przed losem!” A potem wszedł do saloonu.
Myślałem, że jest chory i bredzi, więc nie aresztowałem go. Miałem nadzieję, że napije się i pójdzie zostawić broń w hotelu. Obserwowałem go, aby się przekonać, czy nie spróbuje kogoś zaczepić w saloonie, ale on nie zwracał uwagi na nikogo, napił się przy barze, a potem wszedł do pokoju położonego z tyłu.
W kilka minut później wybiegł stamtąd jakiś człowiek krzyżąc, że ktoś został zabity. Natychmiast udałem się do tego pokoju i wszedłem tam w chwili, gdy Mikę O'Donnell pochylał się nad człowiekiem, który jak sądzę był właśnie tym, którego zatrzymałem na ulicy. Zginął od eksplodującego w ręku pistoletu. Nie wiem, do kogo próbował strzelić, jeśli w ogóle próbował do kogokolwiek strzelać. Na ulicy nie znalazłem nikogo, ani też nikogo, kto widziałby strzelanie, poza Tomem Allisonem. Znalazłem szczątki rozerwanego pistoletu razem z końcem lufy i przekazałem je coronerowi.

Oświadczenie Toma Allisona

Nazywam się Thomas Allison. Jestem woźnicą zatrudnionym przez Towarzystwo McFarlane'a. Trzeciego listopada wieczorem byłem w saloonie Big Chief. Nie widziałem, kiedy zabity wchodził do saloonu. W saloonie znajdowało się już wtedy dość dużo ludzi. Wypiłem parę drinków, ale nie byłem pijany. Potem w wejściu do salonu zobaczyłem „Grizzly” Gullinsa, łowcę bawołów. Kiedyś miałem już z nim kłopoty i wiedziałem, że to zły człowiek. Był pijany i chcąc uniknąć nowych kłopotów postanowiłem wymknąć się tylnym

wyjsiem.

Przechodząc przez tylny pokój zobaczyłem siedzącego przy stole człowieka z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie zwróciłem na niego szczególnej uwagi podchodząc do drzwi zamkniętych od środka. Odsunąłem zasuwę i zacząłem wychodzić na zewnątrz. Wtedy zobaczyłem kobietę stojącą tuż przede mną. Uliczka był słabo oświetlona przez padające z otwartych drzwi światło, ale widziałem ją na tyle wyraźnie, aby stwierdzić, że była Murzynką. Nie wiem jak była ubrana. Nie była zupełnie czarna, raczej brązowa, albo żółta. Tyle mogłem rozróżnić w tym przyćmionym świetle. Byłem tak zaskoczony, że stałem bez słowa, a ona powiedziała: „Idź i powiedz Jimowi Gordonowi, że przyszedłem po niego.” Odpowiedziałem na to: „Kim ty, u licha, jesteś i kim jest ten Jim Gordon?” Powiedziała wtedy: „To ten człowiek, który siedzi przy stole. Powiedz mu, że przyszedłem!” Poczułem, że nagle przenika mnie jakiś dziwny, lodowaty chłód i nie mogę powiedzieć, skąd to się wzięło. Odwróciłem się, wróciłem do pokoju i spytałem: „Czy to ty nazywasz się Jim Gordon?” Kiedy mężczyzna przy stole uniósł głowę i spojrzał na mnie, zauważyłem, że jest blady i wycieńczony. Dodałem: „Ktoś chce się z tobą widzieć.” Wówczas on zapytał: „Kto chce się ze mną widzieć?” Na co ja odpowiedziałem: „Przy tylnych drzwiach stoi jakaś Mulatka.”

Na to ten człowiek zerwał się gwałtownie z krzesła, przewracając je tużem ze stołem. Pomyślałem, że zwariował i odskoczyłem do tyłu. Miał dzikie oczy. Wydał z siebie jakiś zduszony okrzyk i podbiegł do otwartych drzwi. Widziałem, jak wpatruje się w ciemny zaułek i zdawało mi się, że słyszę dochodzący stamtąd śmiech. Potem znów krzyknął, wciągnął pistolet i wymierzył z niego w kogoś, kogo nie widziałem. Zobaczyłem błysk, który mnie oślepił i usłyszałem przeraźliwy huk, a kiedy dym trochę opadł, ujrzałem, że na progu leży człowiek z głową i ciałem zalany krwią. Z głowy wypływał mózg, a prawa ręka była cała zakrwawiona. Wbiegłem do głównej sali saloonu krzycząc do barmana. Nie mam pojęcia, czy to on strzelał do tej kobiety, czy też ktoś strzelał do niego, słyszałem tylko jeden strzał w momencie, gdy wybuchł jego pistolet.

Raport coronera

My, prowadzący śledztwo w sprawie osoby zmarłej prawdopodobnie śmiercią gwałtowną, badając zwłoki Jamesa Gordona z Antioch w Teksasie, doszliśmy do wniosku, że śmierć spowodował przypadkowy wybuch pistoletu zmarłego. Pistolet eksplodował w czasie wystrzału z powodu nieusunięcia wycioru po oczyszczeniu lufy. Znalaziono w lufie szczątki wycioru. Wyciorem najwyraźniej były kawałki materiału z damskiej sukni w czerwono-zieloną kratkę.

Podpisali: J.S. Ordley, Coroner,
Richard Donovan,
Ezra Blaine,
Joseph T. Decker,
Jack Wiltshaw,
Alexander V. Williams

UPIÓR PIERŚCIENIA

Wchodząc do gabinetu Johna Kirowana byłem zbyt przejęty własnymi myślami, aby od razu zauważyć zmizerowany wygląd gościa, dużego, przystojnego, dobrze mi znanego młodego człowieka.

— Cześć, Kirowan — przywitałem się. — Cześć, Gordon. Już dawno cię nie widziałem. Jak miewa się Evelyn? — I zanim zdążył odpowiedzieć, na fali entuzjazmu, która mnie tu przywiodła, wykrzyknąłem: — Spójrzcie, chłopcy, mam tu coś, co wami wstrząśnie! Dostałem to od tego bandyty, Ahmeda Mektuba i zapłaciłem kupę forsy, ale było warto. Popatrzcie! — Wyciągnąłem spod płaszcza afgański sztylet z rękojeścią wysadzaną klejnotami, który zafascynował mnie jako kolekcjonera rzadkiej broni. Kirowan, znając moją pasję, okazał tylko lekkie zainteresowanie, ale Gordon zachował się szokująco.

Z głośnym okrzykiem odskoczył do tyłu, przewracając krzesło, które z hukiem uderzyło o podłogę. Zacisnął pięści i patrząc na mnie ze złością, krzyknął:

— Odsuń się! Odejdź ode mnie, albo...

Zamarłem bez ruchu.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— O co chodzi... — zacząłem zdumiony, gdy Gordon nagle zmienił zachowanie, upadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Widziałem, jak jego szerokie ramiona trzęsą się. Bezradnie przeniósłem wzrok na Kirowana, który zdawał się być równie wstrząśnięty.

— Czy on jest pijany? — spytałem.

Kirowan potrząsnął głową, nalał do szklanki brandy i podał gościowi. Gordon spojrzał w górę błędnym wzrokiem, chwycił szklankę i chciwie wypił. Potem wyprostował się i patrzył na nas zawstydzony.

— Bardzo przepraszam, że tak się zachowałem, O'Donnel — powiedział. — Ale widok tego noża bardzo mnie zaszokował.

— No cóż — powiedziałem z niesmakiem — odniosłem wrażenie, że boisz się, iż cię nim zabiję!

— Tak, istotnie tak myślałem! — A potem, widząc, że moja twarz pozostała bez wyrazu, dodał: — Och, nie, nie myślałem w ten sposób, nie doszedłem do takiego wniosku w jakimś procesie myślowym, to był tylko jakiś ślepy, prymitywny odruch ściganego człowieka, przeciwko któremu może zostać wzniesiona jakakolwiek ręka.

Jego dziwne słowa i desperacki sposób, w jaki je wypowiedział, wywołały wzdłuż mego kręgosłupa dziwny dreszcz nieznanej obawy.

— O czym ty mówisz? — zapytałem niespokojnie. — Ścigany? Za co? Przecież nigdy w życiu nie popełniłeś żadnego przestępstwa.

— W tym życiu może i nie — mruknął.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A co by było, gdyby teraz miała mnie spotkać kara za zbrodnie popełnione w moim poprzednim życiu? — zamruczał.

— To nonsens — parsknąłem.

— Och, czyżby? — wykrzyknął, jakby go ktoś ukłuł. — Czy kiedykolwiek słyszałeś o moim pradziadku, Sir Richardzie Gordonie z Argyle?

— Tak, ale co to ma wspólnego z...

Widziałeś jego portret? Czy nie przypomina mnie?

No... tak — przyznałem — poza tym, że ty masz szczerą, otwartą twarz, a on miał twarz podstępna i wyrażającą okrucieństwo.

Zamordował swoją żonę — odparł Gordon. — Przypuśćmy, że teoria reinkarnacji jest prawdziwa. Czy człowiek nie powinien cierpieć w obecnym życiu za przestępstwa popełnione w innym?

Czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteś wcieleniem swojego pradziadka? Ze wszystkich fantastycznych pomysłów... no, jeśli on zabił swoją żonę, to ty spodziewasz się, że teraz Evelyn zabije ciebie! — Tę uwagę wypowiedziałem z dużą dozą sarkazmu, myśląc o tej słodkiej, delikatnej dziewczynie, którą Gordon poślubił. Ale jego odpowiedź zaskoczyła mnie.

— Moja żona — powiedział wolno — już trzy razy w ubiegłym tygodniu próbowała mnie zabić.

To wyznanie po prostu zatkało mnie. Spojrzałem bezradnie na Johna Kirowana. Siedział jak zwykle opierając brodę na silnych, smukłych rękach; jego bladą twarz była bez wyrazu, ale w oczach czaił się błysk zainteresowania. W ciszy słyszałem, jak tyka zegar, nieubłaganie odmierzając czas.

— Opowiedz nam wszystko, Gordon — poprosił Kirowan i jego głos podziałał jak nóż przecinający nierealne napięcie.

— Wiecie, że jestem już żonaty od roku — zaczął Gordon z niecierpliwością, która wskazywała, że nie mógł się doczekać, żeby wreszcie o tym opowiedzieć; mówił szybko, słowa gonily się, jedno drugie wypierało. — Oczywiście w każdym małżeństwie są drobne sprzeczki, ale my nigdy nie sprzeczailiśmy się. Evelyn to najdelikatniejsza i najlepsza dziewczyna na świecie.

Pierwsza dziwna rzecz wydarzyła się mniej więcej przed tygodniem. Pojechaliśmy w góry, wysiedliśmy z auta i spacerowaliśmy, zbierając dzikie kwiaty. Na koniec zbliżyliśmy się do dość stromego urwiska opadającego w dół na jakieś trzydzieści stóp i Evelyn próbowała zwrócić moją uwagę na gęsto rosnące kwiaty u naszych stóp. Przyglądałem się skrajowi zbocza i zastanawiałem, czy mógłbym spuścić się tam bez użycia liny lub pocięcia ubrania na paski, kiedy nagle poczułem, że coś mnie silnie popycha i przewróciłem się.

Gdyby to było ostre, skaliste urwisko, z pewnością skreśliłbym kark, ale na tym zboczu stoczyłem się tylko w dół, przewracając się i koziołkując, a na dole byłem jedynie podrapany i posiniaczony i miałem poszarpane ubranie. Spojrzałem w górę i ujrzałem Evelyn tak

przerażoną, jakby miała za chwilę stracić zmysły.

— Jim! — krzyknęła. — Jesteś ranny? Jakim cudem tam spadłeś?

Już miałem na końcu języka, że to był bardzo głupi dowcip, ale ten jej okrzyk powstrzymał mnie. Doszedłem do wniosku, że pewnie się potknęła, bezwiednie oparła o mnie i tak naprawdę to przecież nie miałem pewności, że pchnęła mnie powodując upadek wzdłuż zbocza.

Zaśmiałem się tylko i wróciliśmy do domu. Bardzo się użalała nade mną i upierała, aby dokładnie oczyścić jodyną i zalepić plastrami wszystkie zadrapania, i zaczęła mi robić wymówki dotyczące mojej nieuwagi! Nie miałem serca powiedzieć, że to była jej wina. Jednak w cztery dni później zdarzył się następny wypadek. Szedłem wzdłuż drogi podjazdowej do domu i zobaczyłem, że nadjeżdża samochodem. Wszedłem na trawnik, aby ją przepuścić. Od trawnika nawierzchnia podjazdu nie jest oddzielona chodnikiem ani krawężnikiem. Widziałem, jak uśmiecha się podjeżdżając ku mnie, zwolniła, jakby chciała coś powiedzieć, ale w momencie gdy podjechała blisko, nagle jej twarz zmieniła się przerażająco. Bez żadnego ostrzeżenia samochód skoczył prosto na mnie, tak jakby nagle nacisnęła gaz do dechy. Ocalił mnie tylko rozpaczliwy skok do tyłu. Samochód przetoczył się przez trawnik i uderzył w drzewo. Podbiegłem i znalazłem w nim Evelyn zaszokowaną, ale zdrową i całą. Zaczęła coś bełkotać, że straciła panowanie nad kierownicą. Zaniośłem ją do domu i posłałem po doktora Donnelly. Nic nie znalazł i stwierdził, że była pod wpływem szoku. Po półgodzinie odzyskała równowagę, ale od tej pory nie usiadła już za kierownicą. To dziwne, ale ona bardziej boi się o siebie niż o mnie. Wydaje się, że słabo zdaje sobie sprawę z tego, że chciała mnie przejechać. Kiedy zacząłem o tym mówić, dostała napadu hysterii. Niemniej jednak jest przekonana, że nie panowała nad samochodem. Lecz ja wyraźnie widziałem, jak obraca kierownicą, aby z rozmysłem wjechać na mnie — dlaczego, Bóg jeden wie.

Ciągle jednak nie mogłem się z tym pogodzić. Evelyn nigdy nie dała mi żadnego dowodu, nie była słaba psychicznie, nie była nerwowa, zawsze zrównoważona, zdrowa i naturalna. Jednak teraz zaczynam myśleć, że może znajdowała się pod wpływem jakichś szalonych odruchów. Większość z nas ma na przykład ochotę skoczyć z wysokiego budynku. Czasem ktoś może czuć jakąś ślepą, dziecinną, całkowicie bezsensowną chęć skrzywdzenia kogoś. Chwytamymy pistolet i nagle przychodzi nam do głowy myśl, jak łatwo można jednym pociągnięciem spustu wysłać naszego przyjaciela, który nieświadom niczego siedzi obok nas, do wieczności. Oczywiście nie robimy tego, ale istnieje tego rodzaju odruch. Pomyślałem więc, że może i u niej występuje jakiś brak umysłowej dyscypliny, co czyni z Evelyn jedną z ofiar niekontrolowanych odruchów.

— Nonsens — wtrąciłem. — Znam ją od dziecka. Jeżeli ma tego rodzaju odruchy, to musiała je rozwinąć dopiero po wyjściu za mąż.

Nie była to fortunna uwaga. Gordon przyjął ją z błyskiem rozpaczy w oczach.

— Tak, właśnie o to chodzi — od czasu, gdy wyszła za mnie! To przekleństwo... czarne, upiorne przekleństwo, wyczołgujące się jak wąż z przeszłości! Mówię wam, ja byłem Richardem Gordonem, a ona... ona była Lady Elizabeth, jego zamordowaną żoną! — Jego głos przeszedł w mrozący krew szep.

Zadrżałem; to straszne obserwować ruinę inteligentnego, jasnego umysłu, co, jak byłem przekonany, obserwuję u Jamesa Gordona. Dlaczego lub jak, albo na skutek jakiego ponurego zbiegu okoliczności tak się stało, tego nie wiedziałem, ale byłem przekonany, że ten człowiek oszalał.

— Mówiłeś o trzech próbach — odezwał się John Kirowan, jego głos brzmiał spokojnie wśród tych zbierających się pajęczyn grozy i nierealności.

— Posłuchajcie! — Gordon podniósł rękę i pokazał bandaż, którego ukryte znaczenie było nie do zniesienia.

— Dziś rano poszedłem do łazienki szukając brzytwy — powiedział. — Znalazłem ją u Evelyn, która używała mojej najlepszej brzytwy do jakichś damskich celów — wycinała nią jakiś wzór, czy coś takiego. Jak wiele kobiet nie rozróżnia czasami brzytwy od zwykłego noża kuchennego albo nożyczek.

Trochę mnie to zirytowało i powiedziałem:

— Evelyn, ile razy ci mówiłem, abyś nie używała do tego mojej brzytwy? Przynieś mi ją tutaj, a ja ci dam scyzoryk.

— Przepraszam, Jim — odpowiedziała. — Nie sądziłam, że mogę ci zepsuć brzytwę.

Proszę, oto ona...

Zbliżyła się do mnie z otwartą brzytwą. Wyciągnąłem rękę... i wtedy coś mnie ostrzegło.

Ujrzałem ten sam wyraz jej oczu, jak tego dnia, gdy omal nie przejechała mnie samochodem.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

I to mi uratowało życie. Instynktownie podniosłem rękę w górę w chwili, gdy zamierzyła się, aby z całą siłą ciachnąć mnie po gardle. Jak widzicie, ostrze brzytwy przecięło mi ramię, zanim zdążyłem chwycić ją za przegub. Przez chwilę walczyła ze mną jak zwierzę, jej delikatne ciało było napięte jak stal. Potem nagle zwiotczała, a wyraz jej oczu zmienił się w jakieś dziwne oszołomienie. Brzytwa wysunęła się z jej palców. Puściłem ją i stała chwiejąc się, jakby za chwilę miała zemdleć. Poszedłem do łazienki z paskudnie krwawiącą raną i wtedy usłyszałem, że gwałtownie szlocha biegnąc mi na pomoc. — Jim! — krzyczała. — W jaki sposób tak okropnie się zraniłeś?

Gordon potrząsnął głową i ciężko westchnął.

— Chyba w tym momencie straciłem głowę. Przestałem nad sobą panować.

— Dość już udawania, Evelyn — powiedziałem do niej. — Bóg wie, co w ciebie wstąpiło, ale wiesz tak dobrze jak ja, że w ciągu tygodnia próbowałaś mnie trzy razy zabić.

Odsunęła się, jakbym ją uderzył, przycisnęła ręce do piersi i wpatrywała się we mnie jak w upiora. Nic na to nie powiedziała... a co ja potem mówiłem, tego już teraz nie pamiętam. Ale kiedy skończyłem, zostawiłem ją stojącą jak błądy i niemy posąg z marmuru. W apteczkę zabandażowałem ramię i potem przyszedłem tu, nie mając pojęcia co dalej robić.

— Kirowan... O'Donnel... to przerażające! Chyba, że moją żonę ogarnęło jakieś szaleństwo... — zakrzuszył się przy tym słowie. — Nie, nie mogę w to uwierzyć. Zwykle jej oczy są tak czystek spokojne... tak zdrowe. Ale jeśli ma tylko jakąś okazję, aby mi zaszkodzić, wydaje się zmieniać w chwilowego szaleńca.

Zaczął uderzać pięścią o pięść w bezsilnej rozpacz.

— Ale to nie jest szaleństwo! Pracowałem w szpitalu dla obłąkanych i widziałem różne przypadki zachwiania równowagi psychicznej. Moja żona nie jest szalona!

— A zatem co... — zacząłem, ale on spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

— Pozostaje tylko jedno wyjaśnienie — odrzekł. — Stara klątwa — z czasów, gdy chodziłem po tej ziemi z sercem tak czarnym, jak najczarniejsze zakamarki piekła i czyniłem zło na oczach ludzi i Boga. I ona o tym wie w przelotnych momentach pamięci. Ludzie już przedtem coś takiego widnieli — dostrzegali przeblyski czegoś zapomnianego w chwilowym uniesieniu się zasłony, która oddziela jedno życie od drugiego. To ona była Elizabeth Douglas, tą nieszczęsną panną młodą, żoną Richarda Gordona, którą zamordował w szale zazdrości, a która teraz mści się za to. Powinienem umrzeć z jej rąk, tak jak mi to było przeznaczone. I ona... — pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

— Chwileczkę. — To znów przemówił Kirowan. — Wspomniałeś, że w oczach żony zauważyłeś coś dziwnego. Co to było? Czy to był wyraz jakiegoś maniakalnego szaleństwa? Gordon potrząsnął głową.

— To była kompletna pustka, jakby uszły z nich cała inteligencja i życie, pozostawiając ciemne studnie próżni.

Kirowan skinął głową i zadał pytanie pozornie nie związane z tematem:

— Czy masz jakichś wrogów?

— O ile wiem, to nie.

— Zapomniałeś o Josephie Roelocke — przypomniałem. — Ale nie mogę sobie jakoś wyobrazić, aby ten przemądrzały typ trudził się, żeby wyrządzić ci jakąś krzywdę. Raczej wydaje mi się, że mógłby ci zatruć życie bez żadnego wysiłku ze swej strony i z pewnością zrobiłby to z rozkoszą. Kirowan nagle spojrzał na mnie przenikliwie.

— Kim jest ten Joseph Roelocke?

— Taki elegancik, który kiedyś pojawił się w życiu Evelyn i prawie udało mu się ją poderwać. Jednak w końcu wróciła do swej pierwszej miłości — do naszego Gordona. Roelocke bardzo tym się przejął. Mimo całej swojej elegancji, jest gwałtowny i nieobliczalny, co mogłoby się uzewnętrznić, gdyby nie był taki zblazowany i obrzydliwie leniwy.

— Och, nie mogę nic powiedzieć przeciwko Roelockemu — przerwał niecierpliwie Gordon. — Chyba dobrze wiedział, że Evelyn nigdy naprawdę go nie kochała. On tylko chwilowo oczarował ją romantycznym, latynoskim zachowaniem.

— No, niezupełnie latynoskim, Jim — zaprotestowałem. — Roelecke ma wygląd południowca, ale nie jest Latynosem. On chyba pochodzi gdzieś ze Wschodu.

— No dobrze, ale co Roelocke ma wspólnego z naszą sprawą? — warknął Gordon, zniecierpliwiony i zdenerwowany. — Od chwili, gdy ożeniłem się z Evelyn, był zawsze nastawiony do nas przyjaźnie. Mniej więcej tydzień temu przysłał jej pierścień, który — jak oświadczył — był symbolem zawarcia pokoju i spóźnionym prezentem ślubnym; stwierdził, że odrzucenie jego starań i tak było większym nieszczęściem dla niej aniżeli dla niego... zarozumiały dureń!

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— Pierścień? — Kirowan nagle ożywił się; w jego głosie zabrzmiała jakaś ostra, stalowa nuta. — Co to był za pierścień?

— O, fantastyczny... z miedzi, w kształcie trzykrotnie zwiniętego węża z łuskami, z ogonem w pysku i z oczami z żółtych kamieni. Wydaje mi się, że kupił go gdzieś na Węgrzech.

— Czyżby podróżował po Węgrzech?

Zdawało się, że to pytanie zaskoczyło Gordona, ale odpowiedział:

— Chyba tak, zdaje się, że ten człowiek wszędzie podróżował. Zawsze uważałem, że to rozpuszczony synek milionera. Wiem tylko, że nigdy nie pracował.

— Swego rodzaju wieczny student — wtrąciłem. — Byłem kilka razy u niego i nigdzie nie widziałem takiej ilości książek...

Gordon zerwał się na nogi z przekleństwem.

— Czy wszyscy zwariowaliśmy? — wykrzyknął. — Przecież ja tu przyszedłem z nadzieją, że mi pomożecie, a wy mi tu zaczynacie coś pieprzyć o Josephie Roelocke. Idę do doktora Donnelly'ego...

— Zaczekaj! — Kirowan wyciągnął rękę zatrzymując go. — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to pójdziemy do ciebie. Chciałbym porozmawiać z twoją żoną.

Gordon wyraził niemą zgodę. Wymęczony, prześladowany ponurymi przecuciami, nie wiedział, w którą stronę się zwrócić, i cieszyła go każda pomoc.

Pojechaliśmy jego samochodem prawie się nie odzywając. Gordon był zatopiony w ponurych myślach, a Kirowan zamknął się w sobie, jakby znalazł się w jakimś dziwnym, wyodrębnionym świecie myśli, których nie pojmowałem. Siedział nieruchomo jak posąg, jego ciemne, żywe oczy wpatrywały się w przestrzeń i w tym wzroku nie było pustki, patrzył jak ktoś, kto potrafi dostrzec jakieś dalekie krainy.

Chociaż uważałem tego człowieka za mojego najlepszego przyjaciela, nie znałem dokładnie jego przeszłości. Pojawił się w moim życiu tak nagle jak Joseph Roelocke wszedł w życie Evelyn Ash. Spotkałem go w Klubie Wędrowców, do którego należą różne obieżyświaty, włóczędzy, podróżnicy, ekscentrycy i rozmaici ludzie, których życie krąży po nie wydeptanych ścieżkach. Intrygowała mnie jego dziwnie przyciągająca moc i rozległa wiedza. Słabo pamiętałem, że jako młodszy syn był czarną owcą w utytułowanej irlandzkiej rodzinie i chodził własnymi, dość dziwnymi drogami. Kiedy Gordon wspomniiał Węgry, poruszyło to struny mojej pamięci; Kirowan kiedyś pobieżnie wspomniiał jeden fragment swojego życia. Wiedziałem tylko, że kiedyś bardzo cierpiał z powodu doznanej krzywdy i że to miało miejsce właśnie na Węgrzech. Jednak nie znałem szczegółów tego epizodu.

W domu Gordona Evelyn przywitała nas spokojnie, zdradzając wewnętrzne podniecenie sztucznie opanowanym zachowaniem. Zauważyłem, jak ukradkiem rzuciła na męża błagalne spojrzenia. Była szczupłą, łagodną dziewczyną, w oczach której zawsze wibrowały błyski podniecenia. I to dziecko próbuje zamordować ukochanego męża? Sama myśl o tym była przerażająca. I znowu pomyślałem, że to chyba Gordon nie był przy zdrowych zmysłach. Idąc za przykładem Kirowana zaczęliśmy rozmawiać o drobiazgach, tak jakbyśmy wstąpili przypadkiem, ale czułem, że Evelyn nie dała się oszukać. Nasza rozmowa brzmiała pusto i sztucznie, i w końcu Kirowan powiedział:

— Mrs Gordon, ma pani na palcu niezwykle interesujący pierścień. Czy mogę go obejrzeć?

— Będę musiała oddać panu rękę — zaśmiała się. — Próbowałam go dzisiaj zdjąć, ale nie chce zejść z palca.

Wyciągnęła smukłą, białą rękę, aby Kirowan mógł przyrzuć się pierścieniowi, ale jego twarz pozostała bez wyrazu, gdy przyglądał się wężowi owijającemu się wokół jej delikatnego palca. Nie dotknął go. Nagle uświadomiłem sobie, że ogarnia mnie jakieś niewyjaśnione uczucie obrzydzenia. W tym matowym, miedzianym gadzie owiniętym wokół białego palca było coś niemal obscenicznego.

— Prawda, że wygląda jak ucieleśnienie zła? — Podświadomie zadrżała. — Z początku podobał mi się, ale teraz nie mogę na niego patrzeć. Gdybym mogła go zdjąć, zwróciłabym Josephowi... panu Roelocke.

Kirowan zamierzał coś powiedzieć, ale w tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi.

Gordon podskoczył, jakby ktoś wystrzelił z karabinu i Evelyn szybko wstała.

— Ja pójdę, Jim... Wiem, kto to jest.

W chwilę później wróciła prowadząc dwójkę przyjaciół, nieodłącznych kompanów, doktora Donnelly'ego, którego krzepkie ciało, jowialne zachowanie i huczący głos były tak skomponowane z wrażliwym umysłem, jak to tylko można sobie wyobrazić w jego zawodzie,

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

i Billa Baina, starszego, szczupłego, żyłastego i złośliwie skwaszonego. Obaj byli starymi przyjaciółmi rodziny Ashów. Doktor Donnelly odbierał Evelyn, a Bain był dla niej zawsze wujkiem Billem.

— Cześć Jim! Cześć Mr Kirowan! — zaryczał Donnelly. — Hej, O'Donnel, masz przy sobie coś do strzelania? Ostatnim razem prawie odstrzeliłeś mi głowę pokazując stary pistolet skałkowy, który miał być podobno nie naładowany...

— Doktorze Donnelly!

Odwróciliśmy się. Evelyn stała przy szerokim stole, kurczowo się go trzymając. Jej twarz była kredowobiała. Wszyscy natychmiast umilkliśmy. W powietrzu zawisło nagłe napięcie.

— Doktorze Donnelly — powtórzyła, z wysiłkiem próbując opanować emocje — posłałam po pana i po wujka Billa — z tych samych powodów, z jakich Jim przyprowadził Mr Kirowana i Michaela. Jest sprawa, z którą Jim i ja sami nie potrafimy sobie poradzić. Między nami jest coś... coś dziwnego, upiornego i przerażającego.

— O czym ty mówisz, dziewczyno? — Z głosu doktora Donnelly'ego znikła cała jowialność.

— Mój mąż... — zakrzuszyła się, a potem brnęła na oślep: — Mój mąż oskarżył mnie o to, że próbowałam go zamordować.

Ciszę, jaka po tym oświadczeniu zapadła, przerwało nagłe i gwałtowne powstanie Baina. Jego oczy płonęły, a pięści zacisnęły się.

— Ty gówniarzu! — wrzasnęła do Gordona. — Skopię cię na śmierć...

— Siadaj, Bill! — Doktor Donnell potężną ręką wduśił małego Baina w krzesło. — Nie zachowuj się jakbyś dostał bzika.

Mów dalej, kochanie.

— Potrzebujemy pomocy. Nie możemy już dłużej dźwigać takiego ciężaru. — Przez jej ładną twarzyczkę przemknął cień. — Dziś rano zostało brzydsko zranione ramię Jima. Powiedział, że ja to zrobiłam. A ja o tym nic nie wiem. Podałam mu tylko brzytwę. Potem zemdlałam. W każdym razie czułam, że wszystko wokół mnie znika. Kiedy odzyskałam przytomność, Jim mył w łazience ramię... i oskarżył mnie, że próbowałam go zabić.

— Dlaczego to zrobiłeś, głupcze? — szczerknął wściekle Bain. — Czy nie masz dość rozumu, aby zrozumieć, że gdyby nawet cię zraniła, byłby to tylko zwykły przypadek?

— Czy nie możesz się wreszcie zamknąć? — warknął Donnelly. — Kochanie, mówiłaś, że straciłaś przytomność? To do ciebie niepodobne.

— Ostatnio miewam jakieś zawroty głowy — odparła. — Po raz pierwszy miałam to, gdy byliśmy w górach i Jim spadł z urwiska. Staliśmy na samym skraju i wtedy nagle wszystko dookoła mnie pociemniało, a kiedy się ocknęłam, Jim spadał już z urwiska. — Zadrżała na samo wspomnienie.

— Potem, gdy straciłam kontrolę nad samochodem i uderzyłam w drzewo. Pamiętasz...

Jim wtedy wezwał pana, doktorze.

Doktor Donnelly skinął poważnie głową.

— Nie przypominam sobie, żebyś przedtem miała tak silne zawroty głowy.

— Ale Jim powiedział, że zepchnęłam go w przepaść! — krzyknęła histerycznie. —

Mówił, że próbowałam go przejechać samochodem! Powiedział, że rzuciłam się na niego z brzytwą!

Doktor Donnelly zwrócił się zakłopotany do zrozpaczonego Gordona:

— I jak to było, synu?

— Boże, pomóż mi — wybuchnął Gordon rozpaczliwie — ale to prawda!

— Łżesz, kundlu! — To znowu Bain, zrywając się na równe nogi. — Jeżeli chcesz się rozwieść, to dlaczego nie powiesz tego wprost, zamiast stosować tego rodzaju wredną taktykę...

— Niech cię szlag trafi! — zaryczał Gordon, podskakując i całkowicie tracąc nad sobą panowanie. — Skończ już, bo wypruję ci flaki!

Evelyn krzyknęła przeraźliwie; Donnelly chwycił stanowczo Baina i niezbyt delikatnie rzucił go na krzesło, a Kirowan położył łagodnie rękę na ramieniu Gordona, który sprawiał wrażenie jakby się zapadł w sobie. Osunął się na krzesło i jakby po omacku wyciągnął ręce ku żonie.

— Evelyn — powiedział głosem zduszonym z emocji — przecież wiesz, że cię kocham.

Czuję się potwornie. Ale klinę się na Boga, że to prawda. Jeżeli będziemy brnąć tak dalej, to ja zginę, a ty...

— Nie mów tak! — krzyknęła. — Wiem, że nie okłamywałbyś mnie, Jim. Jeśli twierdzisz, że próbowałam cię zabić, to zapewne tak było. Ale przysięgam ci, Jim, że nie robiłam tego świadomie. Och, ja chyba oszaleję! Pewnie dlatego miewam tak przerażające sny...

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— A o czym pani śni, Mrs Gordon? — zapytał łagodnie Kirowan.

Przycisnęła palce do skroni i wpatrywała się w niego tępo, jakby niezupełnie rozumiała, o co ją pyta.

— O czymś czarnym — wyszeptała. — Coś przeraźliwego, czarnego, bez twarzy, coś, co niewyraźnie mamrocze, dotyka mnie jakimiś małpimi łapami. Śnię o tym co noc. A w dzień próbuję zabić jedyne go człowieka, którego kocham. Ja chyba zaczynam pogrążyć się w jakimś szaleństwie! A może już zwariowałam i nawet nie wiem o tym.

* * *

— Uspokój się, kochanie. — Dla doktora Donnelly, z całą jego wiedzą, był to następny przypadek kobiecej hysterii. Jego rzeczowy głos zdawał się ją uspokajać, westchnęła i zmęczonym ruchem przeczesła palcami wilgotne od potu loki.

— Dokładnie to omówimy i wszystko będzie dobrze — powiedział, wyciągając z kieszonki kamizelki grube cygaro. — Daj mi zapałki, kochanie.

Zaczęła mechanicznie macać po stole i tak samo mechanicznie Gordon powiedział:

— Zapałki są w szufladzie, Evelyn.

Wysunęła szufladę i zaczęła w niej szukać, gdy nagle, jakby go uderzyło jakieś wspomnienie i przecucie, Gordon podskoczył i wykrzyknął:

— Nie, nie! Nie otwieraj tej szuflady... nie rób tego...

Na ten okrzyk zeszywniała, tak jakby wymacała coś w szufladzie. Zmieniony wyraz jej twarzy spowodował, że wszyscy zamarli, nawet Kirowan. Z jej oczu znikł zwykły, żywotny wyraz inteligencji jak zdmuchnięty płomień i ukazał się ten, opisany przez Gordona, pusty wzrok. Przekonali się, że Gordon dobrze to opisał, jej piękne oczy były ciemnymi studniami pustki, tak jakby wypłynęła z nich dusza.

Wysunęła rękę z szuflady trzymając w niej pistolet i nie mierząc wystrzeliła. Gordon zachwiał się z jękiem, upadł i z jego głowy zaczęła wyływać krew. Spojrzała bezmyślnie w dół na dymiący pistolet, jak ktoś, kto nagle budzi się ze snu. A potem w nasze uszy uderzył dziki krzyk rozpacz.

— O, Boże, zabiłam go! Jim! Jim!

Dopadła go przed wszystkimi, rzuciła się na kolana i zaczęła tulić w ramionach zakrwawioną głowę, szlochając pogrążona w rozpacz i przerażeniu. Z jej oczu zniknęła pustka, znów były pełne wyrazu, ale tym razem rozszerzone rozpaczą i grozą.

Zacząłem zbliżać się wraz z doktorem Donnellym i Bainem do mego leżącego przyjaciela, ale Kirowan chwycił mnie za ramię. Jego twarz nie była już nieruchoma, oczy błyszczały kontrolowanym wyrazem wściekłości.

— Zostaw go im! — rzucił. — My jesteśmy myśliwymi, a nie lekarzami! Prowadź mnie do domu Josepha Roelocke!

Nie pytałem go o nic. Pojechaliśmy tam samochodem Gordona. Siedziałem za kierownicą i prowadząc zauważyłem w wyrazie twarzy mego towarzysza coś takiego, że jechałem nieuważnie. Miałem wrażenie, że jestem częścią jakiegoś tragicznego dramatu, który nagle zwałił się na głowę, wiodąc mnie do jakiegoś przerażającego punktu szczytowego.

Skierowałem samochód do krawężnika przed domem, w którym wysoko nad miastem, w dziwnym apartamencie mieszkał Roelocke, i zahamowałem z piskiem. Winda, która wiozła nas pod niebo, też zdawała się brać udział w tym pośpiechu, jaki narzucił Kirowan.

Wskazałem drzwi mieszkania Roelocke'a i Kirowan, nie pukając, otworzył je uderzeniem ramienia. Postępowałem tuż za nim.

Roelocke, w eleganckim szlafroku z chińskiego jedwabiu z wyhaftowanymi smokami, leżał na kanapie paląc papierosa.

Usiadł przewracając kieliszek z winem, który stał przy jego łokciu razem z na pół wypełnioną butelką.

Wybuchnąłem, zanim Kirowan zdążył się odezwać.

— James Gordon został zastrzelony! Zerwał się na równe nogi.

— Zastrzelony? Kiedy? Kiedy go zabiła?

— Ona? — Spojrzałem zdumiony. — Skąd pan wie?...

Kirowan stanowczo odsunął mnie na bok i kiedy obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, zobaczyłem na twarzy Roelockeego błysk rozpoznania. Obaj bardzo ze sobą kontrastowali: Kirowan, wysoki, pobladły z jakiejś rozpalonej do białości pasji; Roelocke, szczupły, ciemny, przystojny, z saraceńskimi łukami wąskich brwi nad czarnymi oczami. Uświadomiłem sobie, że cokolwiek się działo, działo się to pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Nie byli sobie

obcy, niemal dotykalnie czułem leżącą między nimi nienawiść.

— John Kirowan! — cicho wyszeptał Roelocke.

— Pamiętasz mnie, Yosefie Vrolok! — Tylko żelazna dyscyplina utrzymała głos Kirowana w spokoju. Ten drugi wpatrywał się w Kirowana w milczeniu.

— Przed laty — odezwał się spokojnie Kirowan — kiedy w Budapeszcie razem zabawialiśmy się w różne czarne misteria, zorientowałem się, w jakim kierunku zaczynają zmierzać twoje zainteresowania. Ja się wycofałem; nie chciałem pograżać się w ponure głębokie zakazanego okultyzmu i praktyk magicznych, w jakie ty zabrnąłeś. A ponieważ nie podzieliłem twoich zainteresowań, znenawidziłeś mnie i ukradłeś mi jedyną kobietę, jaką kochałem; swoimi podłymi sztuczkami zwróciłeś ją przeciwko mnie, a potem zniszczyłeś ją i wykorzystasteś topiąc w twoim własnym brudnym szlamie. Zabiłem cię wtedy własnymi rękoma, Yosefie Vroloku — wampirze z charakteru i imienia, jakim jesteś w istocie — ale twoje sztuczki ocaliły cię od mojej fizycznej zemsty. Jednak teraz sam wreszcie wpadłeś w pułapkę!

Głos Kirowana podniósł się do dzikiego triumfu. Opuściło, go całe dotychczasowe opanowanie, zostało tylko prymitywne zachowanie człowieka, który szalał nienawiścią do znienawidzonego wroga.

— Chciałeś zniszczyć Jamesa Gordona i jego żonę, ponieważ ona podświadomie uniknęła twoich sideł... ty...

Roelocke wzruszył ramionami i zaśmiał się.

— Ty chyba zwariowałeś. Nie widziałem Gordonów od wielu tygodni. Dlaczego zwalasz na mnie winę za ich małżeńskie kłopoty?

Kirowan parsknął.

— Jak zawsze kłamiesz. A co przed chwilą powiedziałeś, gdy O'Donnel oznajmił ci, że Gordon został zastrzelony? Zapytałeś: „Kiedy go zabiła?” Spodziewałeś się, że ta dziewczyna zabije męża. Twoja siła psychiczna dała ci znać, że zbliżył się szczytowy punkt. Nerwowo czekałeś na wiadomość o sukcesie twoich piekielnych machinacji.

Jednak nie są mi potrzebne twoje zeznania, i tak znam twoje praktyki. Wiedziałem o nich od chwili, gdy ujrzałem ten pierścień na palcu Evelyn Gordon, pierścień, którego nie mogła zdjąć, ten stary, przeklęty pierścień Toth—amona, przekazywany od czasów zapomnianej Stygii. Wiedziałem, że to twój pierścień, wiedziałem dzięki jakim potwornym rytuałom udało ci się go osiąść. Znałem jego moc. W chwili, gdy w swej niewinności i nieświadomości włożyła go na palec, znalazła się w twojej mocy. Za pomocą czarnej magii przywoływałeś ducha podziemi, upiora pierścienia, wydobyłeś go z odmętów Nocy i wieków. Tu, w tym przeklętym pokoju, odprawiałeś swe niewypowiedziane rytuały, aby wywabić z ciała Evelyn Gordon duszę i sprawić, żeby tym ciałem zawładnął bezbożny duch przybywający spoza ludzkiego świata.

Ona była zbyt czysta, zbyt niewinna, jej miłość do męża była dla tego potwora zbyt silna, aby mógł całkowicie zawładnąć jej ciałem; mógł tylko na krótko odsunąć jej własnego ducha w pustkę i ożywić ciało. Jednak to wystarczyło dla twoich celów. Ale równocześnie ta zemsta zrujnowała też ciebie! Głos Kirowana stał się piskliwy.

— Jaka była cena, którą miałeś zapłacić wywołanemu z otchłani potworowi? Ha, wzdrygnąłeś się! Yosef Vrolok nie jest jedynym człowiekiem, który nauczył się zakazanych sekretów! Gdy opuściłem Węgry, będąc całkowicie załamany, podjąłem studia nad czarną magią, aby cię dopaść, ty wijący się gadzie! Badałem ruiny w Zimbabwie, zagubione góry w Mongolii Wewnętrznej i zapomniane wyspy na morzach południowych. Dowiedziałem się takich rzeczy, że przysiągłem sobie, iż więcej nie będę zajmował się okultyzmem — ale dowiedziałem się też, że istnieją czarne upiory rozdające śmierć rękami ukochanych i które znajdują się pod kontrolą mistrza magii.

Ale, Yosefie Vroloku, ty nie jesteś w tym biegly! Nie masz takiej potęgi, aby móc kontrolować wywołanego przez siebie szatana. Ty sam zaprzedałeś mu swą duszę! Węgier zaczął szarpać kołnierzyk, jakby się dusił, jakby ktoś założył na jego szyję pętlę. Jego twarz zmieniła się, wydawało się, że spadła z niej maska, nagle stał się o wiele starszy. — Łżesz! — wy rzęził. — Nie zaprzedałem mu mojej duszy...

— Nie kłamie! — W okrzyku Kirowana brzmiał dziki triumf. — Znam cenę, jaką człowiek musi zapłacić za wywołanie tego bezimiennego kształtu zamieszkującego otchłanie Ciemności. Spójrz! On tam jest, w kącie za tobą! Śmieje się bezimienny, niewidzialny — kpi z ciebie! On już wywiązał się ze swojego zobowiązania, a teraz przyszedł po ciebie, Yosefie Vroloku!

— Nie! Nie! — Wrzasnął Vrolok, zrywając mokry kołnierzyk ze spoczonej szyi. Jego spokój załamała się i przykro było na to patrzeć. — Nie zaprzedałem mu swej duszy, naprawdę

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

nie zrobiłem tego — tak, obiecałem duszę, ale nie moją — on ma wziąć duszę tej dziewczyny, albo Jamesa Gordona...
— Głupcze! — ryknął Kirowan. — Czy ty myślisz, że on zabierze duszę niewinnego człowieka? Myślisz, że on nie wie, że oni są poza jego zasięgiem? Może zabić tę dziewczynę i tego młodzieńca, ale nie dostanie ich dusz. Jego może być tylko twoja czarna dusza i otrzyma swoją nagrodę. Spójrz! Materializuje się za tobą! Wypływa z powietrza!
Czy to hipnoza, wywołana płomienną mową Kirowana spowodowała, że zadrżałem i poczułem w pokoju lodowaty chłód, który nie był pochodzenia ziemskiego? Czy to tylko złudzenie światłocienia, które wywołał efekt czarnego, antropomorficznego cienia na ścianie za Węgrem? Nie, na Boga, nie! To rośło, pęczniało — ale Vrolok nie odwrócił się. Wpatrywał się w Kirowana wylażącymi z orbit oczami, włosy uniosły mu się na głowie, a pot spływał z jego skurczonej przerażeniem twarzy.
Krzyk Kirowana spowodował, że wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegły ciarki.
— Obejrzyj się za siebie, głupcze! Ja go widzę! Przyszedł! Jest tutaj! Otwiera przerażające usta w potwornym uśmiechu! Sięga po ciebie bezkształtnymi łapami!
Wtedy wreszcie Vrolok odwrócił się ze strasznym okrzykiem wyrzucając ręce nad głowę w geście dzikiej rozpacz. A potem, w mgnieniu oka, zniknął pochłonięty przez wielki cień! Kirowan chwycił mnie za ramię i uciekliśmy z tego przeklętego pokoju, osłepieni przerażeniem.

* * *

W tej samej gazecie, w której ukazała się krótka wzmianka, że James Gordon został u siebie w domu przypadkowo lekko ranny w głowę, widniał wielki nagłówek artykułu o nagłej śmierci Josepha Roelocke, bogatego i ekscentrycznego członka klubu. Śmierć Josepha Roelocke'a nastąpiła najprawdopodobniej z powodu ataku serca. Zmarł w swoim mieszkaniu. Czytałem to przy śniadaniu, filiżanka za filiżanką pijąc czarną kawę, a ręce trzęsły mi się jeszcze po przejściach minionego wieczoru. Siedzący naprzeciw mnie Kirowan również zdawał się nie mieć apetytu. Był pogrążony w ponurych rozmyślaniach, jakby znów wrócił do dawno minionych lat.

— Fantastyczna teoria Gordona o reinkarnacji była jednak pozbawiona sensu — powiedziałem wreszcie. — Ale to, co się wydarzyło, wydaje się jeszcze bardziej niewiarygodne. Powiedz mi, Kirowan, czy ta ostatnia scena była wynikiem hipnozy? Czy to moc twoich słów spowodowała, że zdawało mi się, iż widzę jakąś przerażającą, czarną postać wynurzającą się z niczego i wyrywającą duszę z żywego ciała Yosefa Vroloka?
Kirowan potrząsnął głową.

— Żaden hipnotyzer nie byłby w stanie zniweczyć tego szatana o czarnym sercu i powalić go na podłogę. Nie; istnieją stworzenia leżące poza naszym normalnym, ludzkim pojęciem, przerażające kształty transkosmicznego zła. I taki właśnie był ten, z którym Vrolok zawarł układ.

— Ale w jaki sposób mogło to coś zabrać jego duszę? — Upierałem się. — Jeżeli nawet zawarto tak potworny układ, to druga strona nie wypełniła swojej części, ponieważ James Gordon nie umarł, a został tylko ranny i stracił przytomność.

— Vrolok nie wiedział o tym — odparł Kirowan. — Myślał, że Gordon został zastrzelony, a ja przekonałem go, że sam znalazł się w pułapce i że dopadło go zgubne przeznaczenie. Będąc głęboko zdemoralizowany sam stał się łatwą ofiarą tego, co wywołał. To coś zawsze czuwało i czekało na moment słabości swego partnera. Siły Ciemności nigdy nie zawierają uczciwych układów z istotami ludzkimi; ten, kto się z nimi zadaje, ostatecznie zawsze zostaje oszukany.

— To jakiś koszmar — zamruczałem. — Ale coś mi się wydaje, że ty miałeś taki sam udział w śmierci Vroloka.

Czuję się zaszczycony, że tak myślisz — odparł Kirowan. — Teraz Evelyn Gordon jest już bezpieczna; a to mała rekompensata za to, co kiedyś, przed laty, uczynił innej dziewczynie w dalekim kraju.

BEZNOSY HORROR

Otchłanie nieznanego, przerażającego strachu leżą w welonie mgły oddzielającej codzienne życie człowieka od nieokreślonych i nieodgadnionych królestw nadprzyrodzonego. Większość ludzi żyje i umiera w błogosławionej niewiedzy o istnieniu tych królestw...
powiedziałem błogosławionej, ponieważ odstąpienie tego welonu, dzielącego świat realny od

okultystycznego, często jest przerażającym doświadczeniem. Raz ujrzałem ten welon rozdarty i wypadki, które się wtedy wydarzyły, odcisnęły się tak silnym piętnem w moim umyśle, że do dziś prześladują mnie w snach.

Tą przerażającą sprawą zaczęła się zaproszeniem do odwiedzenia posiadłości sir Thomasa Camerona, słynnego egiptologa i odkrywcy. Zaproszenie przyjąłem, ponieważ ten człowiek zawsze mnie interesował, chociaż nie lubiłem jego brutalnego zachowania i trudnego charakteru. Dzięki moim kontaktom z różnego rodzaju wydawnictwami o charakterze naukowym, od kilku lat często spotykaliśmy się i sądzę, że sir Thomas zaliczał mnie do grona swoich nielicznych przyjaciół. Wizytę złożyłem w towarzystwie Johna Gordona, również zaproszonego bogatego sportsmena.

Kiedy podjeżdżaliśmy do bramy posiadłości, słońce chyliło się ku zachodowi i ponury, opuszczony krajobraz przygnębił mnie, wypełniając przeczuciem czegoś złego. W oddali widać było słabe zarysy miejscowości, w której wynajęliśmy wóz, a dookoła rozpościerały się nagie, posępne wrzosowiska. Nigdzie nie było żadnego znaku świadczącego, że mieszkają tu ludzie — i jedyną oznaką życia było duże bagienne ptaszysko, które gdzieś w oddali poruszało skrzydłami w samotnym locie. Zadrżałem pod wpływem zawodzącego od wschodu zimnego wiatru, przesyconego gorzkim smakiem morskiej soli.

— Pociągnij za dzwonek — powiedział niecierpliwie John, co świadczyło, że to odpychające otoczenie również i na nim wywarło wrażenie. — Nie będziemy tu tkwili przez całą noc.

Lecz w tym momencie brama otworzyła się szeroko. Muszę wyjaśnić, że dwór ogrodzony był wysokim murem, który otaczał całą posiadłość i właśnie staliśmy przed frontową bramą w tym murze. Kiedy brama rozwarła się, spojrzeliśmy wzdłuż podjazdu, po obu stronach którego rosły wysokie drzewa, ale naszą uwagę zwróciła przede wszystkim dziwna postać stojąca z boku i pozwalająca nam wjechać do środka. Bramę otworzył wysoki mężczyzna w orientalnym stroju. Stał z założonymi rękoma, jak posąg z pochyloną głową, wyrażając powagę i respekt. Ciemną cerę podkreślały niezwykle błyszczące oczy i byłby przystojny, gdyby nie straszliwa deformacja, która pozbawiła jego twarz cech przystojności, przydając jej złowieszczy wygląd. Ten człowiek nie posiadał nosa.

Gdy na ten widok stałem z Gordonem oniemiały ze zdumienia, mężczyzna — Sikh z Indii, co poznałem po jego turbanie — skłonił się i odezwał niemal doskonałą angielszczyzną:

— Mój pan czeka na was w gabinecie, sahibowie. Odesłaliśmy chłopca, który nas przywiózł z wioski, i gdy koła jego powozu ucichły w oddali, ruszyliśmy cienistym podjazdem z Hindusem niosącym za nami nasze bagaże. W czasie, gdy czekaliśmy przy bramie, zaszło słońce i zdumiewająco szybko zapadła noc. Po niebie płynęły ciężkie, szare, mgliste chmury. Wiatr ciężko wzdychał wśród drzew. Nagle wyłonił się przed nami wielki budynek, cichy, ciemny i tylko w jednym oknie jaśniało światło. W zapadających ciemnościach usłyszałem za sobą delikatne stapanie Hindusa. Ten odgłos sprawiał wrażenie skradania się pantery czyhającej na ofiarę. Wzdrygnąłem się.

Podeszliśmy do drzwi dworu i wprowadzono nas do szerokiego, słabo oświetlonego hallu, gdzie powitał nas sir Thomas.

— Dobry wieczór, moi przyjaciele — jego gromki głos odbił się szerokim echem. — Czekałem na was! Jedliście kolację? Tak? A zatem chodźmy do mojego gabinetu; obecnie przygotowuję naukową rozprawę na temat moich ostatnich odkryć i chciałbym was prosić o radę w kilku sprawach. Ganra Singh!

Te ostatnie słowa zwrócone były do Sikha stojącego obok nas bez ruchu. Sir Thomas powiedział do niego kilka słów w hindustani, beznosy z ukłonem chwycił nasze bagaże i opuścił hali.

— Dałem wam dwa pokoje w prawym skrzydle — powiedział sir Thomas, prowadząc nas do schodów. — Mój gabinet znajduje się w tym skrzydle — bezpośrednio nad hall'em — i często pracuję tam przez całą noc.

Gabinet okazał się obszernym pomieszczeniem, zarzuconym naukowymi książkami, różnego rodzaju dokumentami i jakimiś dziwnymi trofeami zebranymi z całego świata. Sir Thomas ulokował się w olbrzymim fotelu i skinął na nas, abyśmy również znaleźli sobie jakies wygodne miejsca. Sir Thomas był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku, o agresywnym podbródku zakrytym gęstą jasną brodą i żywymi, żarzącymi się niespożytą energią przenikliwymi oczami.

— Mówiłem, że potrzebuję waszej pomocy — zaczął nagle — ale nie będziemy o tym mówić dziś wieczorem; mamy dość czasu jutro, a wy jesteście zapewne bardzo zmęczeni.

— Mieszka pan daleko od ludzkich siedzib — zauważył Gordon. — Co pana skłoniło, aby kupić i odrestaurować tę starą, zniszczoną posiadłość, Cameron?

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— Lubię samotność — odparł sir Thomas. — Nie prześladowają mnie tutaj ludzie o ptasich mózdkach, ludzie, którzy brzęczą jak komary nad bykiem. Nikogo nie zachęcam, aby mnie odwiedzał i nie mam żadnych urzędzeń pozwalających komunikować się ze światem zewnętrznym. Kiedy przebywam w Anglii, chcę mieć zapewniony spokój, który pozwala mi pracować. Nie mam żadnej służby, wszystkie niezbędne prace wykonuje Ganra Singh.

— Ten beznosy Sikh? Kim on jest?

— To Ganra Singh. Tyle tylko o nim wiem. Spotkałem go w Egipcie i mam wrażenie, że uciekł z Indii z powodu popełnienia jakiegoś przestępstwa. Ale to dla mnie nie ma znaczenia; jest mi bardzo oddany. Mówi, że służąc w armii anglo — indyjskiej stracił nos na skutek cięcia krzywą szablą w czasie jakiejś bitwy na pograniczu z Afganistanem.

— Nie podoba mi się jego wygląd — stwierdził otwarcie Gordon. — Ma pan w domu wiele wartościowych przedmiotów; jak można ufać człowiekowi, o którym wie się tak mało?

— Dość już tego — sir Thomas przerwał niecierpliwym machnięciem ręki. — Ganra Singh jest w porządku, zawsze poznają się na ludziach. Pomówmy o czymś innym. Nie opowiedziałem wam jeszcze o moich ostatnich odkryciach.

Zaczął opowiadać, a my słuchaliśmy. Kiedy mówił o trudach i przeciwnościach, jakie musiał pokonać, łatwo można było odczytać w jego głosie zdecydowanie i bezwzględność, prowadzące do siły, która uczyniła go jednym z najbardziej znanych na świecie badaczy i odkrywców. Dokonał bardzo sensacyjnych odkryć i dodał, że najważniejszym z jego znalezisk jest dość niezwykła mumia.

— Znalazłem ją w dotychczas jeszcze nie odkrytej świątyni w dalekim, wyżynnym Górnym Egipcie, w miejscu, o którym dowiedzie się, gdy będziemy razem przeglądali moje notatki. Jestem głęboko przekonany, że zrewolucjonizuje to historię i chociaż dotychczas nie przeprowadziłem jeszcze dokładnej analizy, stwierdziłem, że posiadam taką mumię, jakiej nikt jeszcze nigdy nie widział. Różni się ona od innych sposobem mumifikacji, nie posiada śladów wyjmowania organów wewnętrznych. Ta mumia jest całkowicie kompletna, żadna jej część nie jest naruszona, jest zupełnie taka, jaką była za życia. Biorąc oczywiście pod uwagę skurczone rysy twarzy, wysuszonej niewiarogodnym wprost wpływem czasu, można sobie wyobrazić, iż ma się przed sobą bardzo starego człowieka, który niedawno zmarł i nie zaczął się rozkładać. Na oczach ma mocno zaciśnięte skórzane powieki i jestem przekonany, że kiedy je uniosę, ujrzę pod nimi nietknięte przez czas gałki oczne.

Mówię wam, że to odkrycie epokowe, obalające wszystkie dotychczasowe teorie! Jeżeli można by w jakiś sposób tchnąć w tę mumię życie, to mogłaby znów mówić, chodzić i oddychać jak każdy żyjący człowiek, ponieważ, jak już mówiłem, jest absolutnie nietknięta, tak jakby ten człowiek umarł wczoraj. Znacie normalny proces — usuwanie wnętrzości i tym podobne — który przygotowuje ciało do przeprowadzenia zabiegów mumifikacyjnych. Ale u tej mumii nie przeprowadzono podobnego procesu. Wyobrażam sobie, co daliby moi koledzy za to, aby posiadać podobne znalezisko! Wszyscy egipcjolodzy umrą z czystej zazdrości! Były już próby wykradzenia mi jej — i mówię wam, wielu wyrwałoby mi serce z piersi, aby tylko posiadać tę mumię!

— Myślę, że przecenia pan swoje znalezisko, a nie docenia moralności pańskich kolegów — stwierdził wprost Gordon.

Sir Thomas parsknął.

— To stado sępów, sir — wykrzyknął, wybuchając dzikim śmiechem. — To wilki! Szakale! Skradają się dookoła i czekają na sposobność, aby wykraść osiągnięcia innych, lepszych od siebie! Dyletanci nie mają najmniejszego pojęcia, jaka rywalizacja panuje wśród lepszych od nich. Każdy pracuje tylko dla siebie — każdy chce dopiąć tylko swego i osiągnąć sukces, a słabsi... do diabła z nimi! Dotychczas udało mi się jakoś utrzymać na wierzchu, a nawet więcej.

— Jeżeli przyjmujemy, że to, co pan mówi, jest prawdą — odciął się Gordon — to w świetle własnej działalności ma pan nikłe prawo osądzać taktykę swoich rywali.

Sir Thomas wbił w swego wymownego przyjaciela tak wściekły wzrok, że spodziewałem się, iż rzuci się na niego z pięściami; jednak po chwili nastrój odkrywcy zmienił się i roześmiał się kpiąco.

— Pan prawdopodobnie ciągle jeszcze myśli o sprawie Gustawa Von Honmanna. Stwierdziłem, że od chwili tego nieszczęsnego wypadku stałem się obiektem okrutnej denuncjacji. Ale, zapewniam pana, to dla mnie nie ma najmniejszego znaczenia. Nigdy nie ubiegałem się o poklask tłumu i toleruję też jego oskarżenia. Von Honmann był głupcem i zasłużył na swój los. Jak pan dobrze wie, obaj szukaliśmy miasta Gomar, którego znalezienie dało światu nauki tak dużo. Udało mi się podrzucić mu fałszywą mapę, dzięki której trafił do doliny dzikich gęsi w Afryce Centralnej.

— A tym samym, w dosłownym tego słowa znaczeniu, posłał go pan na śmierć — stwierdził Gordon. — Przyznaję, że Von Honmann był jak bestia, ale niemniej to było wstrętne, Cameron. Wiedział pan, że wszystko wskazywało na to, że zginie z rąk tubylców, do których go pan posłał.

— Pan nie wyprowadzi mnie z równowagi — odparł Cameron niewzruszony. — To właśnie w panu lubię, Gordon; nie boi się pan otwarcie mówić tego, o czym pan myśli. Zapomnijmy jednak o Von Honmannie; odszedł drogą wszystkich głupców. Jeden z jego towarzyszy, który uszedł masakrze i wrócił do świata cywilizowanego, powiedział, że gdy Von Honmann, zdał sobie sprawę, że został oszukany, umarł przysięgając, że zemści się na mnie nawet po śmierci, ja jednak nie przejąłem się tym. Człowiek za życia może być niebezpieczny, ale po śmierci jest nieszkodliwy — i to wszystko. Robi się jednak późno i jesteście pewnie śpiący; wezwę Ganra Singha, aby wskazał wam pokoje. Ja spędzę resztę nocy przygotowując notatki z mojej podróży na naszą jutrzejszą rozmowę.

Ganra Singh pojawił się w drzwiach jak duch; pożegnaliśmy gospodarza i poszliśmy za Hindusem. Pozwólcie, że wspomnę, że dom miał kształt podwójnej odwróconej litery L, tak jak L L. Budynek miał dwie kondygnacje, a pomiędzy skrzydłami leżało podwórze, na które wychodziły okna niższych pokoi. Gordon i ja mieliśmy sypialnie w lewym skrzydle na parterze, z oknami wychodzącymi na podwórze. Nasze pokoje łączyły drzwi i Gordon wszedł do mojego pokoju, gdy kładłem się do łóżka.

— Dziwny człowiek, prawda? — kiwnął głową w kierunku oświetlonego okna gabinetu.

— Brutal, ale o wielkim umyśle, o bardzo bystrym umyśle.

Otworzyłem drzwi wychodzące na podwórze, aby wpuścić świeże powietrze. W pokojach nie było duszno, ale trochę cuchnęło stęchlizną, jakby były rzadko używane.

— Z pewnością nie miewa często gości. — Jedyne światło, poza palącym się w naszych pokojach, widoczne było tylko w gabinecie na piętrze.

— Nie. — Zapadło milczenie; potem Gordon nagle powiedział: — Czy wiesz, jak umarł Von Honmann?

— Nie.

— Wpadł w łapy ludzi z okrutnego plemienia, którzy są przekonani, że wywodzą się od wczesnych Egipcjan. To wspaniali mistrzowie okrutnej sztuki tortur. Ten, któremu udało się stamtąd wrócić, powiedział, że Von Honmann umierał powoli i przerażająco, w sposób, który nie znieszkodził jego ciała, ale spowodował, że skurczył się i zwiądnął nie do poznania. Potem zamknięto go w skrzyni i umieszczono w chacie fetyszów jako odrażający relikwiarz i trofeum. Mimo woli zadrżałem.

— Okropność!

Gordon wstał, zgasił papierosa i skierował się do swojego pokoju.

— Zrobiło się późno, dobranoc... Co to było?

Przez podwórze dobiegł nas słaby hałas, jakby upadło krzesło albo stolik. Gdy staliśmy zmrózeni przecuciem jakiejś grozy, ciemności nocy przeszył straszny krzyk.

— Pomocy! Pomocy! Gordon! Slade! O, Boże!

To był głos sir Thomasa i dochodził z jego gabinetu leżącego w lewym skrzydle. Kiedy biegliśmy przez podwórze wyraźnie słyszeliśmy hałasy straszliwej walki i znowu sir Thomas krzyczał, jak człowiek w przedśmiertnej męce:

— Dopadł mnie! O, Boże, on mnie dopadł!

— Kto cię dopadł, Cameron? — wrzasnął z rozpaczą Gordon.

— Ganra Singh... — Nagle głos urwał się i doszedł do nas zduszony charkot. Wpadliśmy do środka i rzuciliśmy się na schody. Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim znaleźliśmy się przed drzwiami gabinetu, skąd nadal dochodziły krzyki. Wpadliśmy do środka i zamarliśmy w osłupieniu.

Sir Thomas Cameron wił się w kałuży krwi, ale to nie sztylet zatopiony w jego piersi zatrzymał nas na miejscu, ale przerażający, szaleńczy wyraz jego twarzy. Jego krwawo błyszczące oczy wpatrywały się w pustkę, były to oczy człowieka widzącego Czyścic. Z jego ust płynął jakiś niezrozumiały bełkot, a potem rozróżniliśmy kilka słów: „...beznosy... ten beznosy... „ Ale słowa zdusił nagły krwotok i sir Thomas upadł twarzą do podłogi. Pochyliliśmy się nad nim i spojrzeliśmy na siebie z trwogą.

— Nie żyje — mruknął Gordon. — Ale co go zabiło?

— Ganra Singh... — zacząłem, a potem obaj odwróciliśmy się. W drzwiach stał milczący Ganra Singh, jego pozbawiona wyrazu twarz nie pozwalała odgadnąć jego myśli. Gordon wyprostował się i szybko wsunął rękę do kieszeni.

— Ganra Singh, gdzie byłeś?

— Byłem w korytarzu na parterze i zamykałem drzwi na noc. Kiedy usłyszałem, że pan

woła, przyszedłem tutaj.

— Sir Thomas nie żyje. Czy domyślasz się, kto go zamordował?

— Nie, sahibie. Ja jestem nowy na ziemi angielskiej i nie wiem, czy mój pan miał jakichś wrogów.

— Pomóż mi przenieść go na kanapę. — Ganra Singh, chyba zdajesz sobie sprawę, że na razie musimy ciebie obciążyć odpowiedzialnością za to, co się stało?

— W czasie, gdy pilnujecie mnie, prawdziwy morderca może uciec.

Gordon nie odpowiedział.

— Daj mi klucze od domu.

Sikh posłuchał bez słowa.

Gordon zaprowadził go do małego pokoju i tam zamknął na klucz, wpierw upewniając się, że okno — tak jak wszystkie okna w tym domu — było zaopatrzone w masywne kraty. Ganra Singh nie opierał się, jego twarz pozostała bez wyrazu. Kiedy zamykaliśmy drzwi, widzieliśmy, jak stał bez ruchu na środku pokoju z założonymi rękoma i z oczami śledzącymi nasze ruchy.

Wróciliśmy do gabinetu, w którym leżały porozbijane krzesła i stoły, z czerwoną kałużą krwi na podłodze i ciałem spoczywającym na kanapie.

— Do rana niczego nie możemy zrobić — stwierdził Gordon. — Z nikim nie możemy się skontaktować, a gdybyśmy teraz wybrali się pieszo do wioski, prawdopodobnie zabłądzilibyśmy w ciemnościach i mgłę. Wydaje się dość jasne, że zrobił to Sikh.

— Sir Thomas ostatnimi słowami praktycznie oskarżył go.

— Mam co do tego pewne wątpliwości. Cameron wykrzykiwał jego imię, ale mógł też wzywać go na pomoc... Wątpię, czy sir Thomas słyszał mój krzyk. Oczywiście jego słowa o „beznosym” mogłyby wskazywać na niego, ale to nic pewnego. Sir Thomas umierając nie był w pełni przy zdrowych zmysłach.

Wzruszyłem ramionami.

— To właśnie, Gordonie, jest najgorsze w tej sprawie. Co spowodowało, że umysł Camerona przestał działać normalnie i sprawiło, że w ostatnich minutach życia krzyczał jak szalenciec?

Gordon potrząsnął głową.

— Ja też tego nie rozumiem. Fakt zajrzenia śmierci w oczy nigdy nie przerażał sir Thomasa. Nigdy dotąd. Mówię ci, Slade, w tym tkwi coś więcej aniżeli to, co widzimy. To wygląda na coś nadprzyrodzonego, i mogę w to uwierzyć, mimo że nigdy nie należałem do ludzi przesądnych. Spójrzmy jednak na to w świetle logiki.

Ten gabinet zajmuje całe piętro lewego skrzydła i jest oddzielony od tylnych pokoi korytarzem biegnącym wzdłuż całego domu. Jedyne drzwi do gabinetu wychodzą na korytarz. Przebiegliśmy przez podwórze, weszliśmy na parter lewego skrzydła, minęliśmy hali, w którym nas powitano i wspięliśmy się po schodach do korytarza na piętrze. Drzwi gabinetu były zamknięte, ale nie zamknięte na klucz. I właśnie poprzez te drzwi weszło coś, co pomieszało umysł sir Thomasa Camerona, a potem go zamordowało. I ten człowiek — lub rzecz — wyszedł tą samą drogą, ponieważ w gabinecie nic się nie ukrywa i kraty w oknach nie pozwalają uciec tą drogą. Może gdybyśmy przybyli tu kilka minut wcześniej, ujrzelibyśmy uciekającego mordercę. Kiedy krzyknąłem, ofiara jeszcze walczyła z tym czymś szatańskim, ale pomiędzy moim okrzykiem a chwilą, gdy znaleźliśmy się w korytarzu na piętrze, poruszający się szybko zabójca miał dość czasu, aby wykonać zadanie i opuścić pokój. Niewątpliwie ukrył się w jednym z pomieszczeń po drugiej stronie hallu i wysliznął się z niego w czasie, gdy pochylaliśmy się nad sir Thomasem, a potem uciekł... albo, jeśli to był Ganra Singh, bezczelnie pojawił się w drzwiach gabinetu.

— Ganra Singh, zgodnie z tym, co nam powiedział, przyszedł tu po nas. Powinien więc widzieć tego, kto próbował uciec z gabinetu.

— Zabójca mógł usłyszeć, że nadchodzi i poczekać aż dojdzie do drzwi gabinetu i dopiero potem wymknąć się z ukrycia. Och, zrozum, jestem przekonany, że to Sikh jest mordercą, ale musimy być w porządku i spojrzeć na sprawę pod różnymi kątami. Obejrzyjmy sztylet. Była to groźna, egipska broń o cienkim ostrzu, która, jak pamiętałem, leżała na stole w gabinecie sir Thomasa.

— Wydaje się, że Ganra Singh powinien mieć rozdarte ubranie i ślady krwi na rękach — podsunąłem. — Chyba nie miał czasu umyć się i uporządkować ubrania.

— W każdym razie — zauważył Gordon — na rękojeści sztyletu powinny być odciski palców mordercy. Uważałem, aby ich nie zatrzeć, a teraz położę go na kanapie i później muszą zbadać go eksperci. Ja się na tym nie znam. A tymczasem postaram się zbadać ten pokój, tak jak to robią detektywi, może natrafię na jakiś choćby najmniejszy ślad.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

— Ja tymczasem obejrzę dom. Może Ganra Singh jest naprawdę niewinny, a morderca kryje się gdzieś w tym budynku.

— Bądź ostrożny. Jeżeli ktoś tu się przyczaił, to pamiętaj, że zdesperowany człowiek może popełnić następne morderstwo.

Chwyciłem leżącą wśród różnych trofeów ostro zakończoną czarną maczugę i wyszedłem na korytarz. Zapomniałem zaznaczyć, że wszystkie korytarze pograżone były w mroku a na oknach zaciągnięte zasłony i dlatego cały dom wydawał się pograżony w ciemnościach. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, poczułem przygniatającą ciszę. Ciężkie, aksamitne zasłony maskowały niewidzialne drzwi i kiedy poruszył nimi jakiś zabłąkany przeciąg, zadrżałem i przyszły mi na myśl słowa, jakie napisał Poe:

„I jedwabisty, smętny, nieokreślony szelest
każdej purpurowej zasłony
Wzbudzał we mnie dreszcz, przepelniał dziwnym
przerażeniem, jakiego jeszcze nigdy przedtem
nie odczuwałem.”

Podszedłem do podestu schodów i rzuciwszy jeszcze raz okiem na cichy korytarz i puste drzwi, zacząłem schodzić na dół. Doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś ukrywał się na piętrze, zdążył już zejść na dół, o ile oczywiście nie opuścił już domu. Zapaliłem światło w hallu na parterze i wszedłem do następnego pokoju. Cały główny budynek, leżący pomiędzy skrzydłami bocznymi, stanowił, jak się okazało, prywatne muzeum sir Thomasa, wypełnione różnymi bożkami, skrzyniami z mumią, kamieniami i glinianymi kolumnami, zwojami papirusów i tym podobnymi przedmiotami. Nie traciłem tu dużo czasu, chociaż gdy wszedłem do pokoju, wzrok mój padł na coś, co wyraźnie nie pasowało do tego miejsca. Była to różniąca się od innych, otwarta skrzynia przeznaczona dla mumii! Domyślałem się, że ta skrzynia zawiera mumię, o której mówił sir Thomas, jednak teraz skrzynia była pusta. Mumia gdzieś zniknęła.

Mysłąc o tym, jak mówił o zawiści rywali, szybko odwróciłem się, aby wrócić przez hali do schodów. Gdy wychodziłem, zdawało mi się, że słyszę dochodzący gdzieś z głębi domu słaby trzask. Nie miałem już ochoty na dalsze samotne przeszukiwanie budynku uzbrojony jedynie w ostrą maczugę. Miałem zamiar wrócić i oznajmić Gordonowi, że prawdopodobnie stanęliśmy oko w oko z jakimś międzynarodowym gangiem złodziei. Wychodząc zauważyłem nagle schody prowadzące wprost z sali muzeum do korytarza na piętrze, w pobliżu prawego skrzydła.

Przedemną ukazał się następny korytarz z następnymi ciemnymi, tajemniczymi drzwiami. Aby dojść z drugiej strony do gabinetu musiałem przejść większą jego część i poczułem jakiś idiotyczny dreszcz, gdy wyobraziłem sobie czającą się za tymi drzwiami jakąś przerażającą postać. Potem jednak otrząsnąłem się. Cokolwiek doprowadziło sir Thomasa Camerona do szaleństwa, było ludzkie, chwyciłem więc silniej maczugę i ruszyłem wzdłuż korytarza. Po kilku krokach zatrzymałem się nagle, czując jak całe moje ciało pokrywa zimny pot. Czułem czyjąś niewidzialną obecność i moje oczy, jakby przyciągane jakimś magnesem, zwróciły się w stronę ciężkiej zasłony na drzwiach. W tych pokojach panował absolutny spokój, ale zasłona lekko się poruszyła! Stałem wpatrując się w ciężką tkaninę tak intensywnie, że zdawało się, iż przepalę ją wzrokiem. Byłem instynktownie przekonany, że z drugiej strony też wpatrują się we mnie czyjeś oczy. Potem przesunąłem wzrok na ścianę obok zasłoniętych drzwi. Błysk słabego światła rzucił tam jakiś bezkształtny cień, który powoli zaczął przybierać określony kształt — przerażający wizerunek chochlika, groteskowo podobny do człowieka i... pozbawiony nosa!

Moje nerwy nagle puściły. Ta zniekształcona postać mogła być tylko jakimś powykręcany cieniem stojącego za zasłoną człowieka, ale utrwaliła się w moim umyśle na podobieństwo człowieka, bestii lub demona, którego zakrywała zasłona jak coś przerażającego i groźnego. W tym cichym, ciemnym korytarzu, pełnym nikłych błysków światła i cieni horroru, z posępnym cieniem na ścianie w zasięgu mego wzroku, po raz pierwszy w życiu omal nie zwariowałem — powodem tego nie były wrażenia odebrane wzrokiem lub innymi zmysłami, ale upiory pojawiające się w mojej wyobraźni, przerażające, mamroczące coś wizerunki rodzące się w głębi mego umysłu. Wiedziałem, że w tym momencie zwykły świat ludzki jest daleko ode mnie i że znalazłem się twarzą w twarz z jakąś grozą z innej sfery.

Odwróciłem się i szybko zawróciłem, ściskając w drżącej dłoni czarną maczugę i czując, jak krople zimnego potu spływają mi po czole. Doszedłszy do drzwi gabinetu wszedłem do

środku i szybko zamknąłem je za sobą. Instynktownie spojrzałem na kanapę i na ponury ciężar, który na niej spoczywał. Gordon pochylał się nad jakimiś leżącymi na stole papierami. Kiedy wchodziłem, odwrócił się z oczami roziskrzonymi tłumionym podnieceniem.

— Ślade, znalazłem tu mapę sporządzoną przez Camerona, zgodnie z którą znalazł mumię na granicy z krainą, w której zamordowano Von Honmanna...

— Mumia zniknęła — przerwałem.

— Zniknęła? Na Jowisza! Może to wszystko wyjaśnia! Gang naukowców—złodziei! Prawdopodobnie Ganra Singh jest z nimi w zмовie... idziemy z nim porozmawiać.

Gordon ruszył korytarzem, a ja za nim. Ciągle jeszcze byłem roztrzęsiony i nie było sensu rozmawiać o tym, czego przed chwilą doświadczyłem. Muszę odzyskać równowagę, zanim będę w stanie wyrazić słowami strach, jakiego doznałem. Gordon zastukał w drzwi. Odpowiedziała cisza. Przekręcił klucz, otworzył drzwi i zaklął. Pokój był pusty! Droge ucieczki wskazywały drugie drzwi wychodzące do innego pokoju, położonego równolegle do korytarza. Zamek w tych drzwiach był wyłamany.

— To był ten hałas, który słyszałem! — wykrzyknął Gordon. — Ależ ze mnie głupiec. Byłem tak zatopiony w badaniu notatek sir Thomasa, że nie zwróciłem na niego uwagi, myśląc, że to tylko hałas otwieranych i zamykanych drzwi! Jako detektyw jestem do niczego. Gdybym był odpowiednio czujny, z pewnością pojawiłbym się na scenie, zanim więzień zdążyłby uciec.

— Masz szczęście, że nie zrobiłeś tego — odparłem z drżeniem. — Gordon, idziemy stąd! Ganra Singh czaił się gdzieś za tymi zasłonami, kiedy szedłem korytarzem... Widziałem cień beznosej twarzy... i mówię ci, to nie jest człowiek. To jakiś zły duch! To upiór. Czy myślisz, że człowiek mógłby spowodować, aby sir Thomas stracił zmysły? Człowiek?... Nie, nie, nie! To demon w ludzkim ciele... i nie jestem nawet pewien, czy to ciało jest ludzkie! Twarz Gordona kryła się w cieniu.

— Nonsens! Tej nocy została przygotowana potworna i nie wyjaśniona zbrodnia, ale nie wierzę, aby nie można było jej wytłumaczyć w sposób logiczny. Słuchaj! Gdzieś w korytarzu otworzyły się i zamknęły drzwi. Gordon skoczył do drzwi. W drugim końcu korytarza pojawił się jakiś ciemny, ulotny cień i przemknął przez drzwi, odrzucając zasłonę. Gordon strzelił na oślep i rzucił się wzdłuż korytarza. Biegłem za nim, przeklinając jego lekkomyślność, ale również strzelałem z jakąś głupią brawurą. Nie miałem wątpliwości, że finałem tej dzikiej pogoni będzie śmiertelne zmaganie się z niehumanym Hindusem i że ten wyłamany zamek był wystarczającym dowodem jego możliwości, nawet pomijając tę przerażającą, milczącą postać leżącą na kanapie w gabinecie. Ale, gdy prowadzi taki człowiek jak Gordon, to co innego można zrobić, jak tylko biec za nim?

Dobiegliśmy do końca korytarza, gdzie widzieliśmy znikający w drzwiach cień, przebiegliśmy przez ciemny pokój i znaleźliśmy się w następnym. Hałas czyniony przez uciekającego uświadomił nam, że zbliżamy się do zdobyczy. Do dziś prześladowa mnie w snach wspomnienie tej pogoni przez ciemne pokoje — jawi się niczym chaotyczny nocny koszmar. Nie pamiętam przez jakie pokoje i korytarze przebiegaliśmy, wiem tylko, że podążałem na oślep za Gordonem. Zatrzymałem się wtedy, gdy on się zatrzymał przed drzwiami za ciężką zasłoną, zza której błyszczało coś czerwonego. Byłem kompletnie skołowany, biegłem bez tchu. Zupełnie zatraciłem poczucie kierunku. Nie miałem pojęcia, w której części domu znajdowaliśmy się, ani też dlaczego pulsowało to czerwone światło za zasłonami.

— To jest pokój Ganra Singha — powiedział Gordon. — Sir Thomas wspomniał o nim podczas rozmowy. To skrajny pokój na piętrze prawego skrzydła. Dalej nie możemy już iść, to są jedyne drzwi, a okna są zakratowane. I w tym pokoju osaczyliśmy tego człowieka... albo to coś, co zamordowało sir Thomasa Camerona!

— W takim razie, na litość boską, rzućmy się na niego, zanim nerwy odmówią nam posłuszeństwa! — ponaglałem popychając ramieniem Gordona i odchylając na bok zasłonę... Wreszcie wyjaśniło się, skąd pochodzi czerwone światło. To płonął ogień w ogromnym kominku, powodując rozchodzące się po pokojach promieniowanie czerwieni. A we wnęce stał koszmarny, piekielny kształt — zaginionej mumii! Dostrzegłem pomarszczoną skórę, zapadłe policzki, rozszerzone, zwiędłe nozdrza pozbawione nosa; ohydne oczy były teraz otwarte i płonęły jakimś upiornym, demonicznym życiem. Tyle zdążyłem dostrzec szybkim spojrzeniem, ponieważ w tym momencie skoczyło ku mnie głową do przodu długie, cienkie stworzenie z ciężkim, zdobionym przedmiotem zaciśniętym w chudej, szponowatej dłoni. Uderzyłem maczugą, czując, jak czaszka poddaje się, ale nie powstrzymałem ataku — bo kto może zabić umarłego? — i w następnej chwili oszołomiony leżałem na ziemi, wijąc się ze złamaną ręką w miejscu, w którym powaliło mnie wyschnięte ramię.

Zobaczyłem, jak blisko mnie Gordon cztery razy strzelił wprost w tę przerażającą postać, a potem zaczął z nią walczyć wręcz, gdy ja tymczasem próbowałem bezskutecznie podnieść się i włączyć do akcji. Mój dobrze zbudowany przyjaciel znalazł się w miażdżącym uchwycie niehumanoidalnych ramion, został rzucony na stół i wygięty do tyłu tak, że zdawało się, iż za chwilę pęknie mu kręgosłup.

Uratował nas Ganra Singh. Ten masywny Sikh nagle pojawił się w progu jak arktyczny powiew, rzucając się w wir walki niczym zraniony słoń. Z nieprawdopodobną wprost siłą, której nawet nie mógł się przeciwstawić ten żywy trup, oderwał ożywioną mumię od jej łupu i rzucił przez pokój. Mumia, poddając się, runęła do tyłu, aż w końcu znalazła się tuż przed paleniskiem ogromnego kominka. Mściciel ostatnim nadludzkim wysiłkiem rzucił ją głową naprzód w płomień, wcisnął w dół i wkopał w palenisko, które pochłonęło wijące się członki i przerażająca postać zaczęła rozpuszczać się wydzielając straszliwy smród palącego się mięsa.

Wówczas Gordon, stojąc jakby był otumaniony, Gordon, mężczyzna o żelaznych nerwach, myśliwy polujący na lwy, człowiek narażający się na tysiące niebezpieczeństw, teraz skurczył się, pochylił do przodu i upadł na twarz zemdlony!

Potem zaczęliśmy omawiać tę sprawę, podczas gdy Ganra Singh bandażował moje ramię rękami tak zręcznymi i delikatnymi jak kobiece.

— Sądzę — powiedziałem słabo — choć jestem przekonany, że mój punkt widzenia jest niemożliwy do przyjęcia w świetle rozsądnego sposobu myślenia — jednak jakiegokolwiek inne wytłumaczenie mogłoby być niewiarogodne lub wręcz niemożliwe — że ludzie, którzy wykonali tę mumię setki, a może tysiące lat temu, znali sztukę zachowania życia; że ten człowiek przez te wszystkie lata w jakiś sposób został uspijony i pogrążony w śmiertelnym letargu, podobnie jak hinduscy fakirzy wydają się leżeć bez życia przez całe dnie lub tygodnie. A teraz, gdy nadszedł właściwy czas, ten stwór przebudził się i rozpoczął swoją... przerażającą działalność. Co o tym myślisz, Ganra Singh?

— Sahibie — powiedział wielki Sikh uprzejmie — kim jestem, abym mógł mówić o ukrytych rzeczach? Wiele spraw nie jest znanych człowiekowi. Kiedy zamknął mnie pan w pokoju, sahibie, pomyślałem sobie, że ktokolwiek zabił mego pana, może uciec w czasie, gdy siedzę bezsilny. Wyłamałem więc zamek w drzwiach tak cicho jak tylko mogłem i poszedłem szukać w tych ciemnych pokojach. W końcu usłyszałem dźwięki dochodzące z mojej sypialni i kiedy tam wszedłem, znalazłem panów walczących z żywym trupem. Na szczęście tuż przed zaistniałymi wypadkami rozpałem w kominku wielki ogień, który miał palić się przez całą noc, ponieważ nie jestem przyzwyczajony do zimna panującego w tym kraju. Wiem, że ogień jest wrogiem wszystkich rzeczy szatańskich i oczyszcza wszelkie zło. Cieszę się, że pomściłem mego pana i mogłem wam pomóc, sahibowie.

— Pomóc! — uśmiechnął się Gordon. — Gdybyś się nie zjawił w porę, nasze wspaniałe okręty poszłyby na dno. Ganra Singh, muszę przeprosić cię za to, że podejrzewałem cię — jesteś dzielnym człowiekiem.

— Nie, Slade — spoważniał zwracając się do mnie — myślę, że się mylisz. Po pierwsze, ta mumia nie ma tysięcy lat. Ona liczy sobie zaledwie dziesięć lat. Jeśli się nie mylę po przeczytaniu tajnych zapisków, to sir Thomas nie znalazł mumii w zagubionej świątyni Górnego Egiptu. Znalazł ją w chacie fetyszów, i to w Afryce Centralnej. Nie mógłby wytłumaczyć, skąd się tam wzięła, więc powiedział, że znalazł ją gdzieś w Egipcie. Będąc egiptologiem wiedział, że to lepiej zabrzmie. Jednak, mimo wszystko, był przekonany, że mumia jest bardzo stara i o ile wiemy, miał rację, że była poddana dość szczególnemu procesowi mumifikacji. Najwyraźniej ludzie, którzy umieścili mumię w skrzyni, więcej wiedzieli o tych sprawach od starożytnych Egipcjan. Jednak jestem pewien, że ta mumia nie przetrwałaby dłużej aniżeli jakieś dwadzieścia lat. Tak więc zjawił się sir Thomas i ukradł mumię temu samemu plemieniu, które zamordowało Von Honmanna.

— Nie, czuję, że twoja teoria jest fałszywa. Czy słyszałeś o okultystycznej teorii, zgodnie z którą duch związany z ziemią poprzez nienawiść lub miłość, może materialnie czynić tylko dobro lub zło, gdy ożywia materialne ciało? Okultyści twierdzą dość sensownie, że istnieje coś podobnego do mostu nad zatoką, mostu, który został przerzucony pomiędzy dwoma światami — życia i śmierci — i duch, albo upiór, musi zamieszkać i ożywić jakąś uciemną formę — najchętniej swoją dawną powłokę cielesną. Ta mumia umarła, tak jak umiera człowiek, ale wierzę, że nienawiść, jaką odczuwała w życiu, była wystarczająca, aby przekroczyć próżnię śmierci i spowodować, że to martwe, zwiędłe ciało poruszało się, działało i dokonało morderstwa.

I tak, gdyby to była prawda, to nie ma żadnych granic dla horroru, jaki może spaść na ludzkość. Jeżeli to jest prawda, ludzie mogą być na zawsze zawieszani na brzegu

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

nieodgadnionych oceanów nadprzyrodzonego przerażenia, oddzielonego od innego świata tylko cienkim welonem, który może być rozerwany tak, jak teraz został rozerwany i czego byliśmy świadkami. I chciałbym w to wierzyć, bo inaczej... Slade...

Kiedy Ganra Sigh cisnął walczącą mumię w ogień, spojrzałem na nią — roztopiające się rysy uwydatniły się wyraźniej pod wpływem gorąca i przelotnie, tak jak ulatujący, nadymający się balon, ujrzałem coś człowieczego i znajomego. Slade, twarz, którą ujrzałem była twarzą Gustawa Von Honmanna!

CZARNY KAMIENI

Powiadają, że w ciemnych i zapomnianych
zakątkach świata stale jeszcze czyhają
rzeczy ohydne z Dawnych Czasów.
I ciągle uchylają się Bramy, aby w pewne noce
uwolnić Kształty zamknięte w Piekło.
Justin Geoffrey

Po raz pierwszy przeczytałem o tym w dziwnej księdze Von Junzta, niemieckiego ekscentryka, który miał bardzo ciekawe życie i zmarł w bardzo tajemniczy sposób. Miałem szczęście natrafić na oryginalne wydanie jego Nieznanych Kultów, tak zwanej Czarnej Księgi, opublikowanej w Düsseldorfie w 1839 roku, na krótko przedtem, zanim dopadł autora prześladowający go zgubny los. Kolekcjonerzy rzadkich książek znali Nieznane Kultury przeważnie ze złego przekładu, wydanego piracko w Londynie przez Bridwalla w 1845 roku, oraz z ostrożnie przefiltrowanej wersji, którą wydało Golden Goblin Press z Nowego Jorku w 1909 roku. Jednak tom, na który ja się natknąłem, był jednym z oryginalnych, niemieckich egzemplarzy, w grubej skórzanej oprawie z zardzewiałymi, żelaznymi okuciami. Wątpię, czy dziś istnieje na świecie więcej niż pół tuzina takich egzemplarzy, ponieważ nie wydano ich w dużej ilości, a kiedy ogłoszono, w jaki sposób zmarł autor, wielu posiadaczy w panice spaliło posiadane przez siebie egzemplarze. Von Junzt, który spędził całe życie (1795 — 1840) badając zakazane przedmioty, podróżował do wszystkich części świata, przeniknął do niezliczonej ilości tajemnych stowaryszeń, przeczytał mnóstwo mało znanych ksiąg ezoterycznych i oryginalnych manuskryptów, w rozdziałach Czarnej Księgi, od zupełnie jasnych do mętnych i dwuznacznych, podał stwierdzenia lub luźne aluzje, mogące myślicielowi człowiekowi zmrozić krew. Czytając to, co Von Junzt odważył się wydać drukiem, człowiek zastanawia się z niemętym uczuciem, czego to on nie miał odwagi wydrukować. Jakie, na przykład, ciemne sprawy zawierały zapisane drobnym pismem stronicie, z których składał się nie opublikowany manuskrypt, nad którym nieustannie pracował przez całe miesiące tuż przed śmiercią i który leżał poszarpany i porzrzucany na podłodze jego zamkniętego na zasuwę pokoju, w którym Von Junzt został znaleziony martwy z śladami pazurów na szyi? I nigdy nie będziemy ich znali, ponieważ przyjaciel autora, Francuz Alexis Ladeau, po spędzeniu całej nocy na kompletowaniu poszczególnych fragmentów i przeczytaniu, co tam było napisane, spalił je na popiół i poderżnął sobie gardło brzytwą.

Jednak to, co zostało opublikowane, jest już wystarczająco wstrząsające, nawet jeśli zaakceptuje się powszechny punkt widzenia, że są to majaki człowieka szalonego. Pomiędzy różnymi dziwnymi stwierdzeniami znalazłem wzmiankę o Czarnym Kamieniu, ciekawym, ponurym monolicie znajdującym się w górach na Węgrzech i wokół którego krążyło tyle ponurych legend*. Von Junzt nigdy nie poświęcił mu więcej uwagi — większość jego ponurej pracy dotyczyła kultów i przedmiotów tajemnej czci, które, jak się upierał, istniały w jego czasach i wydawać by się mogło, że Czarny Kamień reprezentuje coś, co zostało już zapomniane przed wiekami. Jednak wymienił go jako jeden z kluczy — tego rodzaju zdania używał wiele razy w różnym kontekście i występuje ono w wielu jego pracach. Wspomniał też aluzyjnie, że wokół tego monolitu mogą wystąpić dziwne zjawiska podczas zrównania dnia z nocą. Wspomniał teorię Ottona Dostmanna, która utrzymywała, że ten monolit stanowi pozostałość inwazji Hunów i został wzniesiony dla uczczenia zwycięstwa Attyli nad Gotami. Von Junzt sprzeciwił się temu, nie podając jednak żadnych argumentów, zaznaczając tylko, że przypisanie powstania Czarnego kamienia Hunom było tak logiczne jak to, że Wilhelm Zdobywca zbudował Stonehenge.

Ta implikacja starożytności pobudziła moją ciekawość i po pewnych kłopotach udało mi się zlokalizować nadjedzoną przez szczury, pleśniejącą kopię dzieła Dostmanna „Pozostałości Zaginionych Cesarstw” (Berlin 1809, wydawnictwo „Der Drachenhau”). Ale z rozczarowaniem stwierdziłem, że Dostmann jeszcze mniej wspominał o Czarnym, Kamieniu

aniżeli Von Junzt, zbywając ten temat tylko kilkoma linijkami, traktując go jako stosunkowo młody wytwór ludzkiej ręki w porównaniu do grecko-rzymskich ruin z Azji Mniejszej, które były jego ulubionym tematem. Przyznał, że nie jest w stanie odczytać zamazanych liter na monolicie, stwierdził jednak, że z pewnością pochodzą od plemion mongolskich. Niemniej dowiedziałem się od Dostmanna, że wioska sąsiadująca z Czarnym Kamieniem nazywała się Stregoicawar — złowróżbna nazwa, która mniej więcej oznaczała Miasto Czarownicy. Szczegółowe zbadanie przewodników i informatorów podróży nie dało mi żadnych informacji — Stregoicawar nie widniała na żadnej mi dostępnej mapie, leżała w jakimś odosobnionym, dzikim miejscu, z dala od uczęszczanych szlaków turystycznych. W „Magyar Folklore” Dornly’ego znalazłem jednak pewien ślad,” który dał mi wiele do myślenia. W rozdziale zatytułowanym „Sny Mityczne” autor wspomniał Czarny Kamień i podał pewne ciekawe, dotyczące go przesady mówiące o wierze, że ktokolwiek śpi w jego pobliżu, będzie już na zawsze prześladowany przez straszliwe koszmary i cytował opowieści wieśniaków o rozmaitych ciekawskich, którzy próbowali odwiedzić Kamień w dniu przesilenia dnia z nocą i którzy zmarli szaleńczo majacząc.

Tyle tylko dowiedziałem się u Dornly’ego, ale to jeszcze bardziej pobudziło moją ciekawość. Instynktownie przeczuałem jakąś ponurą aurę roztaczającą się wokół Kamienia. Sugestia tajemniczej, odległej przeszłości, oznaki czegoś nadprzyrodzonego powracające w ciągu nocy świętojańskiej pobudzały drżemiący we mnie instynkt, jaki się raczej odczuwa niż słyszy, jak coś drżmiącego nocą pod ziemią.

I nagle dostrzegłem powiązanie między Czarnym Kamieniem a pewnym dziwnym i fantastycznym poematem, napisanym przez szalonego poetę Justina Geoffrey’a „Ludzie Monolitu”. Szczegółowe badania doprowadziły mnie do stwierdzenia, że Geoffrey napisał ten poemat w czasie podróży na Węgry i niewątpliwie Czarny Kamień był właśnie tym monolitem, o którym pisał w swym dziwnym wierszu. Czytając jeszcze raz strofy wiersza, ponownie poczułem coś, co poruszało moją podświadomość, co ponaglało mnie i co odczuwałem, gdy po raz pierwszy przeczytałem o Czarnym Kamieniu. Rozglądałem się za miejscem spędzenia mojego krótkiego urlopu i teraz podjąłem decyzję. Pojechałem do Stregoicawar. Antyczny pociąg zawiózł mnie z Temeswar w pobliże wioski — tak przynajmniej zdawało mi się — a potem, po trzydniowej podróży powozem, dotarłem do małej wioski, leżącej w żyznej dolinie, pośród gór porośniętych świerkami.

Sama podróż przeszła bez sensacji i pierwszego dnia przejechaliśmy przez stare pole bitwy Szomwaal, gdzie bohaterski polsko-węgierski rycerz, hrabia Borys Władinow, opierał się, niestety, bezskutecznie, zwycięskim hordom Sulejmana Wspaniałego, gdy ten wielki Turek w roku 1526 przemierzał wschodnią Europę.

Woznica wskazał na pobliskim wzgórzu kupę kamieni, pod którymi, jak twierdził, spoczywają szczątki owego dzielnego rycerza. Przypomniałem sobie wyjątek z „Wojen Tureckich” Larsena: Po utarczce (w której hrabia odparł nacierających Turków) hrabia stał pod na pół zrujnowanymi murami starego zamku na wzgórzu, wydając rozkazy, jak mają się zgrupować jego siły, gdy jego adiutant przyniósł mu małą lakierowaną szkatułkę, którą zabrano zabitemu w walce słynnemu tureckiemu pisarzowi i historykowi, Selimowi Bahaduruowi. Hrabia wyjął z niej zwój pergaminu i zaczął czytać, ale nie przeczytał wiele, odwrócił się poblady i bez słowa schował zwój do szkatułki, którą ukrył w kieszeni płaszcza. W tym momencie ukryta, turecka bateria otworzyła ogień, kule zaczęły spadać na stary zamek i Węgrzy z przerażeniem ujrzeni, jak padają mury, grzebiąc dzielnego hrabiego. Pozbawiona wodza mała, dzielna armia została wycięta w pień, a w latach następnych nigdy już nie odnaleziono kości szlachcica. Dzisiaj miejscowi ludzie pokazują stos ruin niedaleko Szomwar, pod którymi — jak powiadają — ciągle jeszcze spoczywa od wieków to, co pozostało z hrabiego Borysa Władinowa.”

Wioskę Stregoicawar znalazłem senną, pogrążoną w letargu, co wyraźnie zadawało kłam jej złej sławie. Był to prawdziwy koniec świata, który nie doświadczył żadnych dobrodziejstw postępu. Ciekawe zabudowania i jeszcze ciekawsze stroje i zwyczaje ludzi świadczyły, że czas od minionego stulecia stanął tu w miejscu. Mieszkańcy nastawieni byli przyjaźnie, umiarkowanie ciekawi, chociaż wszyscy goście ze świata zewnętrznego byli tu niezwykle rzadcy.

— Przed dziesięć laty przyjechał tu jakiś Amerykanin i został u nas przez kilka dni — powiedział właściciel tawerny, w której się zatrzymałem. — Był to dziwnie zachowujący się młody człowiek, zawsze coś mrucał do siebie... myślę, że był poetą.

Domyśliłem się, że mówił o Justinie Geoffreyu.

— Tak, on był poetą — odparłem — który napisał poemat dotyczący okolic waszej wioski.

— Naprawdę? — zainteresowanie mojego gospodarza wzrosło. — Ponieważ wszyscy

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

wielcy poeci to ludzie zachowujący się i mówiący dziwnie, był bardzo znany ze swoich czynów i sposobu wyrażania się.

— Tak jak zwykle bywa u artystów — zauważyłem — prawdziwe uznanie zdobył dopiero po śmierci.

— A więc on już nie żyje?

— Umarł pięć lat temu, krzycząc jak szaleniec.

— Och, szkoda, wielka szkoda — westchnął mój gospodarz ze współczuciem. — Biedny chłopak... za długo wpatrywał się w Czarny Kamień.

Poczułem, jak serce skacze mi żywiej, ale ukryłem podniecenie i spytałem obojętnie:

— Coś słyszałem o tym Czarnym Kamieniu; czy nie leży gdzieś tu, w pobliżu wioski?

— Bliżej aniżeli życzyliby sobie chrześcijanie — odparł. — Proszę spojrzeć! —

Podprowadził mnie do okna i wskazał porośnięte świerkami zbocza niebieskich gór. — Tam, za miejscem, które pan widzi, poza urwiskiem, znajduje się ten przeklęty Kamień. Chciałbym, żeby zmielono go na proch, który zostałby wrzucony do Dunaju i spłynął w największe głębiny oceanu! Kiedyś próbowano go zniszczyć, ale ten, który przyłożył do niego młot lub próbował wbić klin, źle skończył. I teraz ludzie go unikają.

— Co w nim jest takiego złego? — spytałem z ciekawioną.

— Jest nawiedzony przez demony — odparł niespokojnie i wydawało się, że zadrżał. — W dzieciństwie znałem młodzieńca, który przyszedł z dolin i wyśmiewał się z naszych zwyczajów — w swej głupocie poszedł w noc świętojańską do Kamienia i gdy przechodził o świcie przez wioskę, ujrzeliśmy, że jest półprzytomny i szalony. Coś zniszczyło jego umysł i zapieczętowało usta, ponieważ do chwili jego śmierci, która wkrótce nastąpiła, wydawał z siebie tylko jakiś bluźnierczy bełkot lub paplał bzdury.

Mój siostrzeniec, gdy był jeszcze młody, zaginał kiedyś w górach i spał w lesie w pobliżu Kamienia, a teraz, kiedy jest już dorosły, męczą go przerażające sny, potwornie krzyczy i budzi się zły zimnym potem. Mówmy jednak o czymś innym. Niedobrze jest roztrząsać tego rodzaju tematy.

Zrobiłem uwagę dotyczącą wieku tawerny, a on odpowiedział na to z dumą:

— Fundamenty zostały założone ponad czterysta lat temu; sam budynek ostał się w wiosce jako jedyny, który nie spalił się do podstaw, kiedy przyszedł tu z gór ten diabeł Sulejman.

Mówią, że tu, w tym domu, pisarz Selim Bahadur miał swoją kwaterę.

Potem dowiedziałem się, że obecni mieszkańcy Stregoicawaru nie pochodzili od dawniej mieszkającej tu ludności sprzed najazdu tureckiego z roku 1526. Zwycięscy Muzułmanie wycięli w pień wszystkich w okolicy mężczyzn, kobiety i dzieci, pozostawiając za sobą ogromne połacie kraju ciche i opuszczone. Obecni mieszkańcy Stregoicawaru wywodzili się od twardych osiedleńców, którzy napłynęli z dolin po odejściu Turków.

Mój gospodarz chętnie mówił o eksterminacji rdzennych mieszkańców i dowiedziałem się, że jego przodkowie z nizin odnosili się z większą niechęcią do dawnych mieszkańców wioski aniżeli do Turków. Nie był pewny, skąd wzięło się to uprzedzenie, ale powiedział, że dawni mieszkańcy Stregoicawaru mieli zwyczaj robić podstępne wypadki na niziny i uprowadzać dziewczęta i dzieci. Ponadto stwierdził, że w ich żyłach nie płynęła ta sama krew, co u jego przodków, którzy byli prawdziwymi, twardymi Madziarami ze słowiańskiego pnia, ale mieszkając się ze zdegenerowanymi tubylczymi rasami tworzyli nieprzyjemny konglomerat. Kim byli ci tubylcy, o tym nie miał najmniejszego pojęcia, ale twierdził, że byli „poganami” i od niepamiętnych czasów mieszkali w górach, jeszcze przed najazdem zdobywców.

Przykładałem małą wagę do tej historyjki, widząc w niej analogię do mieszania się plemion celtyckich z ludami zamieszkującymi obrzeża Morza Śródziemnego na wzgórzach Galloway, co w wyniku dawało rasę, która, tak jak Piktowie, tworzyła większość szkockich legend. Czas miał ciekawy wpływ na folklor i tak jak opowieści o Piktach wymieszały się z legendami o jeszcze starszej rasie Mongołów, a samym Piktom przydano odpychające cechy ludzi prymitywnych, tak teraz czułem, że nieludzkie cechy pierwszych mieszkańców Stregoicawaru można by prawdopodobnie znaleźć w starszych, zapomnianych mitach o najeżdżających te ziemie Hunach i Mongołach.

Następnego poranku otrzymałem od mojego raczej zaniepokojonego gospodarza odpowiednie informacje i wybrałem się na poszukiwanie Czarnego Kamienia. Kilkogodzinna wspinaczka po zalesionych zboczach zawiodła mnie do poszarpanego, masywnego, skalistego urwiska, które wysuwało się śmiało ze zbocza góry. W górę wił się wąski trakt i kiedy znalazłem się na szczycie, mogłem spojrzeć w dolinę Stregoicawaru, wyraźnie widziałem senną wioskę, nad którą po obu stronach doliny wznosiły się, niczym strażnice, dwa groźne

błękitne szczyty górskie. Pomiędzy wioską a urwiskiem, nad którym stałem, nie było widać żadnych chat lub śladów ludzkich osiedli. W dolinie widziałem kilka rozrzuconych luźno gospodarstw, ale wszystkie leżały po drugiej stronie Stregoicawaru, która zdawała się jakby odsuwać od ponurych zboczy kryjących Czarny Kamień.

Szczyt urwiska okazał się gęsto zalesioną płaszczyzną. Przeszedłem przez gęste zarośla i po przebyciu krótkiego dystansu znalazłem się na szerszym prześwicie, w którego centrum wznosiła się ponura sylwetka Czarnego Kamienia.

Miał kształt ośmioboku, był wysoki mniej więcej na szesnaście stóp i półtovej stopy gruby. Najwyraźniej kiedyś został gładko wypolerowany, ale teraz jego powierzchnia była głęboko porysowana, jakby usiłowano go zniszczyć, jednak młoty odłupały tylko drobne kawałeczki i uszkodziły znaki wznoszące się spiralnie w górę aż do samego szczytu. Do wysokości dziesięciu stóp od podstawy napisy były prawie całkowicie zniekształcone tak, że trudno było rozróżnić ich przebieg. Bliżej szczytu były wyraźniejsze i udało mi się wspiąć wyżej, aby obejrzeć je z bliska. Wszystkie były bardziej lub mniej zniszczone, ale byłem przekonany, że nie przypominają żadnego z zapomnianych na ziemi języków. Na tyle dobrze znałem wszystkie ogólnie poznane hieroglify, aby stwierdzić, że te znaki nie przypominają żadnych z tych, które widziałem lub o których kiedykolwiek słyszałem. Najbardziej podobne były do dość prymitywnie wyrytych znaków na gigantycznej i dziwnie symetrycznej skale w zapomnianej dolinie Yucatanu. Pamiętam, że kiedy wskazałem te znaki archeologowi, który mi towarzyszył, upierał się, że są albo wynikiem wpływów atmosferycznych, albo wyskrobał je jakiś zabawiający się Indianin. Na moją sugestię, że ta skała jest podstawą dawno zniszczonej kolumny, roześmiał się tylko, zwracając moją uwagę na jej rozmiary i sugerując, że gdyby była budowana według jakichkolwiek reguł architektonicznych, to musiałaby mieć tysiąc stóp wysokości. Jednak nie byłem przekonany.

Nie mogę powiedzieć, że znaki na Czarnym Kamieniu były podobne do tych, jakie widziałem na ogromnej skale w Yucatanie; jednak w jakiś sposób kojarzyły się z tamtymi. Jeśli chodzi o materiał, z którego zbudowany był monolit, to znów doznałem uczucia zdumienia. Kamień mdło błyszczał czernią, a nie naruszona powierzchnia stwarzała jakieś dziwne złudzenie półprzezroczystości.

Spędziłem tam prawie cały poranek i odszedłem zupełnie oszołomiony. Nie można było porównać tego Kamienia z żadnym znanym mi wyrobem ludzkiej ręki. Wyglądało na to, jakby monolit wykonały jakieś obce ręce, w niewyobrażalnie dawnych czasach i poza ludzką wiedzą.

Wróciłem do wioski absolutnie nie zaspokoiwszy ciekawości. Przeciwnie, teraz, gdy już zobaczyłem ten przedmiot, moja ciekawość jeszcze bardziej wzrosła i pragnąłem zbadać, jakie to dziwne, obce ręce i dla jakiego niewytłumaczalnego powodu wykonały tak dawno ten Czarny Kamień.

Odszukałem siostrzeńca właściciela tawerny i zacząłem pytać o jego sny, ale udzielał mi mętnych odpowiedzi, chociaż wykazywał przy tym maksimum dobrej woli. Nie wzbraniał się rozmawiać na ten temat, jednak nie był w stanie wystarczająco jasno ich opisać. Mimo że ciągle śniło mu się to samo i w chwili, gdy mu się śniło było wyraźne i jasne, nie pozostawiało po obudzeniu wyraźnych wspomnień. Pamiętał je tylko jako chaotyczne koszmary, wśród których wiły się jakieś ogniste języki i bez przerwy głucho huczały bębny. Jedyne co dobrze pamiętał, to Czarny Kamień, jednak nie stojący na tym górskim zboczu, ale na szczycie wieży ogromnego czarnego zamku.

Jeśli chodzi o resztę wieśniaków z wioski, stwierdziłem, że o Czarnym Kamieniu nie mieli nic do powiedzenia, poza dyrektorem szkoły, człowiekiem o wyjątkowym wykształceniu, który częściej przebywał poza obrębem wioski.

Bardzo interesowały go spostrzeżenia Von Junzta dotyczące Czarnego Kamienia i gorąco zgadzał się z tym Niemcem, jeśli chodzi o domniemany wiek monolitu. Wierzył, że w tej okolicy odbywały się wiece czarownic i być może dawni mieszkańcy wioski byli wyznawcami kultu płodności, który kiedyś zagrażał europejskiej cywilizacji i dał początek opowieściom o czarownicach. Aby dowieść swego twierdzenia zacytował nazwę wioski; powiedział, że kiedyś wioska nie nazywała się Stregoicawar, ale według legend ci, którzy ją zbudowali, zwali ją Xuthltan, co było też nazwą tubylców zamieszkujących przed wiekami to miejsce.

Ten fakt wzbudził znów we mnie nieopisane uczucie niepokoju. Ta barbarzyńska nazwa nie sugerowała żadnego związku ze Scytami, Słowianami lub Mongołami, do których powinni należeć ludzie zamieszkujący tutejsze góry.

Madziarowie i Słowianie zamieszkujący niziny wyraźnie wierzyli, że pierwotni mieszkańcy wioski uczestniczyli w kulcie czarownic. Dyrektor szkoły powiedział, że dlatego

właśnie nadali wiosce taką nazwę i że ta nazwa była używana nawet potem, gdy dawni osadnicy zostali zmasakrowani przez Turków, a wioskę odbudowali ludzie zdrowszej rasy. Nie wierzył, żeby monolit wzniesli członkowie kultu czarownic, ale wierzył, że używali go jako centrum swoich praktyk i powtarzając mętne legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie od czasów najazdu tureckiego, wywiódł teorię, iż zdegenerowani wieśniacy używali go jak coś w rodzaju ołtarza, na którym składali ofiary z ludzi, a konkretnie z młodych dziewcząt i dzieci uprowadzanych własnym przodkom zamieszkującym niżej położone doliny.

Odrzucał mity dotyczące dziwnych wypadków zdarzających się w noc świętojańską, a także ciekawą legendę o bożku, którego ludzie — czarownicy z Xuthltanu przywoływali śpiewami i dzikimi rytuałami biczowania i zabijania.

Sam nigdy nie odwiedził Czarnego Kamienia w noc świętojańską, ale nie bałby się tego zrobić; cokolwiek tam działo się w przeszłości, z pewnością dawno już zniknęło we mgłę czasu i zapomnienia. Czarny Kamień stracił już swoje znaczenie, poza tym, że stanowił ogniwo łączące teraźniejszość z zakurzoną przeszłością.

Pewnej nocy, gdy wracałem z wizyty złożonej dyrektorowi szkoły, w tydzień po moim przybyciu do Stregoicawaru, nagle coś sobie przypomniałem — to była noc świętojańska! Pora, która łączyła się z ponurymi legendami o Czarnym Kamieniu. Zawróciłem od tawerny i szybko poszedłem przez wioskę. Stregoicawar leżała cicha, wieśniacy kładą się tu wczesnie spać. Opuszczając wioskę nie spotkałem nikogo i skierowałem się w stronę szepczących w ciemnościach świerków kryjących zbocza gór. Nad doliną zawisł duży, srebrny księżyc, zalewając dziwnym światłem poszarpane zbocza i obrysowując na czarno wszystkie cienie. Powietrze było spokojne, ale rozlegały się jakieś tajemnicze, nieuchwytne szmery i szepty. Z pewnością przed wiekami w takie noce, podsunęła mi moja bujna wyobraźnia, nagie czarownice na swych miotłach leciały ponad doliną, ścigane demonicznym śmiechem współtowarzyszek.

Podszedłem do urwisk trochę zaniepokojony; światło księżyca nadawało im jakiś dziwny wygląd, którego przedtem nie zauważyłem. I w tym dziwnym świetle zdawały się mniej naturalne, a bardziej przypominały ruiny jakichś cyklopowych, zbudowanych przez tytanów flank wysuwających się z górskich zboczy.

Z trudem strżącąc się siebie tę halucynację, podszedłem do przecinki, zatrzymałem się i z wahaniem wstąpiłem w ponury mrok lasów. Ponad zalegającymi cieniami wisiało jakieś pozbawione tchu napięcie, niczym niewidzialne monstrum powstrzymujące oddech, aby nie przestraszyć ofiary.

Pozbyłem się tego wrażenia — biorąc oczywiście pod uwagę dziwaczność tego miejsca i jego złą reputację — przeszedłem Jas, ciągle z nieprzyjemnym uczuciem, jakby ktoś szedł za mną i zatrzymałem się raz, kiedy coś wilgotnego i nijakiego przesunęło się w ciemnościach tuż przy mojej twarzy.

Wyszedłem na polankę i ujrzałem ponury, wysoki monolit. Na skraju lasu, od strony urwiska, stał kamień tworzący coś w rodzaju naturalnego siedziska. Usiadłem myśląc, że to prawdopodobnie w tym miejscu ten szalony poeta, Justin Geoffrey, napisał swoje fantastyczne strofy Ludzi Monolitu. Mój gospodarz twierdził, że to Kamień spowodował szaleństwo Geoffreya, lecz ziarno szaleństwa zostało zasiane w mózgu poety długo przedtem, zanim przybył do Stregoicawar.

Spojrawszy na zegarek przekonałem się, że zbliża się północ. Oparłem się i czekałem na pojawienie się jakichkolwiek upiorów. Wśród gałęzi świerków zaczął zbierać się delikatny wietrzyk, wygrywając dziwne, tajemnicze dźwięki. Monotonia tego dźwięku i stałe wpatrywanie się w monolit wywołały coś w rodzaju autohipnozy, rozpaczliwie walczyłem z ogarniającą mnie sennością, ale sen mimo to zakradł się do mego umysłu. Monolit zdawał się kołysać, tańczyć, dziwnie zmieniając kształt, a potem zasnąłem.

Otworzyłem oczy, próbując wstać, ale leżałem spokojnie, tak jakby trzymały mnie lodowate ręce. Ogarnęło mnie paraliżujące przerażenie. Teraz polanka nie była opuszczona. Wypełniał ją tłum dziwnych, cichych ludzi i widziałem rozszerzonymi oczami detale barbarzyńskich strojów, które, jak odpowiedział mi rozum, pochodziły z bardzo dawnych czasów, zapomnianych już nawet w tych zapadłych i oddalonych od cywilizowanego — świata okolicach. Oczywiście, pomyślałem, to są wieśniacy, którzy przyszli z wioski, aby odbyć tu jakieś fantastyczne konklawe — ale przy następnym spojrzeniu stwierdziłem, że ci ludzie nie przypominają mieszkańców Stregoicawaru. Byli niżsi, należeli do krępej rasy o rzadkich brwiach i szerszych, pozbawionych wyrazu twarzach. Niektórzy mieli słowiańskie lub madziarskie rysy, ale te" rysy nosiły cechy degeneracji na skutek wymieszania się z

jakimś bardziej prymitywnym, obcym ludem, którego nie potrafiłem określić. Wielu nosiło skóry dzikich zwierząt i ich wygląd, zarówno kobiet jak i mężczyzn, nosił cechy brutalnej zmysłowości. Byli dla mnie przerażający i odpychający, ale nie zwracali na mnie uwagi. Uformowali się przed monolitem w szerokie półkole i rozpoczęli zawodzenia, wyciągając razem ramiona i rytmicznie poruszając ciałami od pasa w górę. Wszystkie oczy skierowane były na szczyt Kamienia, do którego, jak się wydawało, modlili się. Ale najdziwniejszy był ten ich ściszony głos; nie byli ode mnie oddaleni więcej niż pięćdziesiąt jardów, setki mężczyzn i kobiet niewątpliwie dziko zawodzących, ale ich głosy dochodziły do mnie niczym słaby pomruk, tak jakby pokonywały niezmiernie przestrzenie Kosmosu — lub czasu. Przed monolitem stało coś w rodzaju palnika, z którego unosił się spiralnie wstrętny, mdlący, żółty dym, kręcąc się wokół czarnego trzonu, podobny do wijącego się węża. Obok palnika leżały dwa ciała — całkowicie naga, młoda dziewczyna, ze związanymi rękoma i nogami, a przy niej dziecko, które mogło mieć zaledwie kilka miesięcy. Po drugiej stronie przysiadła ogromna, stara wiedźma, z dziwnym, czarnym bębniem na kolanach. Powoli i lekko uderzała w niego otwartymi dłońmi, ale nie słyszałem dźwięku bębna. Rytm kiwających się ciał przyspieszył się i na przestrzeń leżącą pomiędzy ludźmi i monolitem wyskoczyła naga kobieta z błyszczącymi oczami i luźno spływającymi długimi, czarnymi włosami. Zaczęła wirować na palcach, a potem podbiegła do Kamienia, padła przed nim i leżała bez ruchu. W następnej chwili zastąpiła ją inna fantastyczna postać — mężczyzna, u którego pasa zwisała koźła skóra i którego twarz zasłaniała maska sporządzona z wielkiej wilczej głowy tak, że przypominał jakiś monstrualny, senny koszmar, będący przerażającą kombinacją elementów składających się na dziką bestię i człowieka. W jednej ręce trzymał pęk długich, świerkowych gałęzi, a światło księżyca odbijało się od zwisającego na piersiach ciężkiego łańcucha ze złota. Mniejszy łańcuch sugerował, że powinien zwisać na nim jakiś wisior, ale nie dostrzegłem tam nic, co przypominałoby podobny przedmiot. Ludzie coraz gwałtowniej wyrzucali ramiona, zdając się podwajać zawodzenia, gdy groteskowa kreatura wyczyniając różne łamańce przeskoczyła kilkoma susami otwartą przestrzeń. Kiedy znalazła się przy kobiecie leżącej przed monolitem, zaczęła chłostać ją gałęziami, a ona podskoczyła i wykręcając się tańczyła najdziwniejszy taniec, jaki kiedykolwiek widziałem. Jej oprawca tańczył wraz z nią, utrzymując dziki rytm, dotrzymując jej kroku przy każdym podskoku, bez przerwy bijąc jej nagie ciało. Za każdym uderzeniem bijący wykrzykiwał w kółko jakieś pojedyncze słowo, które wszyscy powtarzali w obrzydliwej ekstazie. Jednak jakie to było słowo, tego nie mogłem rozróżnić. Tancerze w oszołomieniu dziko wirowali, podczas gdy obserwujący ich stali w miejscu, próbując powtarzać rytm tańca, kręcąc ciałami i machając rękoma. W oczach dziko wirujących rosło szaleństwo odbijając się w oczach obserwujących. Tancerze wili się i kręcili w coraz bardziej szaleńczym tańcu, który zmieniał się w bestialsko obsceniczny, a wiedźma wyła i uderzała w bęben jak oszalała przy wtórze szatańskiej melodii, jaką wydawały uderzenia gałęzi. Krew ściekała z nagiej tancerki, zdawało się jednak, że nie czuje bólu chłostania i pobudza to ją do jeszcze dzikszych łamańców; wskoczyła w smugę żółtego dymu, który teraz rozszerzył się i niczym macki otoczył obie wirujące postacie. Potem nagle wyskoczyła z biczownikiem postępującym tuż za nią, eksplodowała nieopisaną wprost siłą dynamicznego ruchu na fali całkowitego szaleństwa, upadła na trawę trzęsąc się i dysząc, jakby była całkowicie wyczerpana. Ale dzikie chłostanie nie ustawało i zaczęła pełzać na brzuchu w kierunku Kamienia. Kapłan — czy jak go nazwać — postępował za nią, bijąc z całą siłą ramion jej nie osłonięte ciało, gdy wijąc się zostawiała na zdeptanej ziemi ślad krwi. Dotarła wreszcie do monolitu, krztusząc się i dysząc wyrzuciła ramiona, objęła go i w bezbożnej adoracji pokryła zimny kamień gorącymi pocałunkami. Fantastyczny kapłan podskoczył wysoko, odrzucając splamione krwią gałęzie, a zgromadzeni wyjąc, z pianą na ustach odwrócili się ku sobie i zaczęli zębami i pazurami szarpać na sobie ubrania i ciało, w jakimś całkowitym zaślepieniu. Kapłan . długim ramieniem chwycił dziecko i wykrzykując Imię, zakręcił nim wysoko w powietrzu i roztrzaskał główkę o monolit, zostawiając na czarnej powierzchni przerażającą plamę z mózgu. Zmrożony grozą widziałem, jak rozszarpuje palcami drobne ciało i rzuca krwawą kawałki na podstawę Kamienia, a potem ciska rozdarte szczątki w płomień palnika, dławiąc ogień i dym karmazynowym deszczem, w czasie, gdy za nim wyły brutalne kreatury, powtarzając bez ustanku Imię. Potem nagle wszyscy padli na ziemię wijąc się jak węże, a kapłan triumfalnie wyrzucił w górę szeroko rozpostarte, zakrwawione ręce. Otworzyłem usta, aby krzyknąć ze zgrozy, wyrażając obrzydzenie, ale wydałem z siebie tylko jakiś suchy

charkot. Na szczycie monolitu przykucnęło coś, co przypominało monstrualną ropuchę! Widziałem w świetle księżyca jej rozdęty, obrzydliwy zarys i zobaczyłem coś, co mogłoby być twarzą jakiegoś stworzenia, ogromne, mrugające oczy odzwierciedlające bezdenną zachłanność, bezwstydne okrucieństwo i monstrualne zło, jakie ciągle próbowało chwycić w swe sidła synów ludzi, których ślepi i bezwłosi przodkowie siedzieli na szczytach drzew. W tych strasznych oczach odbijały się wszystkie bezbożności i przerażające tajemnice, które śpią w miastach na dnie mórz i które kryją się przed światłem dnia w ciemnościach odwiecznych pieczar. I teraz ta upiorna rzecz, którą obrazoburczy rytuał, sadyzm i krew wywołały z ciszy wzgórz, uśmiechała się szyderczo, mrugając w dół do swych bestialskich czcicieli, którzy czołgali się przed nią w obrzydliwym poniżeniu.

Teraz kapłan w masce bestii na twarzy uniósł związaną i ledwo poruszającą się dziewczynę i skierował w górę, w stronę tego potwornego horroru na szczycie monolitu. I kiedy to monstrum z mlaskaniem wciągnęło powietrze, śliniąc się z pożądania, coś załamało się w moim mózgu i zapadłem w zbawienne omdlenie.

Oczy otworzyłem o bladym świetle. Wróciły do mnie wszystkie wydarzenia nocy.

Skoczyłem na równe nogi i zacząłem się ze zdumieniem rozglądać. Monolit wznosił się na murawie ponury i milczący. Zielona, świeża i nie zdeptana trawa falowała w porannym wietrzyku. Przebiegłem szybko przez polankę, na której skakali i wirowali tancerze i gdzie ziemia powinna być kompletnie zryta, gdzie ofiara czołgała się w swej bolesnej drodze ku Kamieniowi, znacząc ziemię strumieniem krwi. Ale teraz na nieskalanej trawie nie było nawet kropli krwi. Drżąc spojrziałem na powierzchnię monolitu, o którą ten bestialski kapłan roztrzaskał główkę dziecka — ale nie dostrzegłem tam żadnej plamy ani żadnych ponurych szczątków.

Sen! To był przerażający koszmar... a może... wzruszyłem ramionami. Ale jakże wyraźny był ten sen!

Chyłkiem wróciłem do wioski i nie zauważony wśliznąłem się do tawerny. Usiadłem medytując nad dziwnymi wypadkami, jakie wydarzyły się tej nocy. Powoli dochodziłem do przekonania, że należy wszystko odrzucić jak jakieś sennie majaki. To, co widziałem, było najwyraźniej tylko senną iluzją, pozbawioną wszelkiej materialnej substancji. Wierzyłem jednak, że widziałem odbite cienie czegoś, co dokonało się w jakiejś upiornej przeszłości. Ale w jaki sposób mogłem to sprawdzić? W jaki sposób mogłbym udowodnić, że ta moja wizja była raczej zbiorem potwornych upiórów, aniżeli tylko koszmarem wytworzonym przez mój umysł?

Jakby w odpowiedzi przemknęło przez mój umysł nazwisko — Selim Bahadur! Zgodnie z legendą ten człowiek, który był jednocześnie żołnierzem i pisarzem, dowodził tą częścią armii Sulejmana, która zniszczyła Stregoićawar; to wydawało się dość logiczne — jeśli tak było, udał się wprost z tego zdewastowanego kraju do krwawych pól Szomwaalu i ku swojej zgubie. Podskoczyłem z nagłym okrzykiem — ten manuskrypt zabrany z ciała Turka, nad którym zadrżał hrabia Borys — czy mógł on zawierać coś o tym, co tureccy najeźdźcy znaleźli w Stregoićawarze? Cóż innego mogło tak wstrząsnąć stalowymi nerwami polskiego awanturnika? A ponieważ nigdy nie znaleziono kości hrabiego, czy ta lakierowana szkatułka ze swoją tajemniczą zawartością nadal jeszcze nie leży gdzieś pod ruinami pokrywającymi ciało Borysa Władimowa? Pospiesznie zacząłem się pakować.

W trzy dni później schroniłem się w małej wiosce leżącej kilka mil od starego pola bitwy i kiedy wzeszedł księżyc, zacząłem szybko kopać w stosie bezładnych kamieni na szczycie wzgórza. Była to koszmarna praca. Patrząc na to teraz z perspektywy czasu, dziwię się, jak mogłem to w ogóle zrobić, chociaż pracowałem bez przerwy od wschodu księżyca do świtu. Kiedy słońce zaczęło wschodzić, zerwałem ostatnią warstwę spiętrzonych kamieni i ujrzałem śmiertelne szczątki hrabiego Borysa Władimowa — tylko kilka żałosnych, pokruszonych kości, a między nimi zgniecioną, odkształconą szkatułkę, która ocalała od całkowitego rozpadu tylko dzięki lakierowanej powierzchni.

Chwyliłem ją zachłannie i wróciłem do mego pokoju w tawernie, gdzie otworzyłem szkatułkę i znalazłem w niej całkowicie nietknięty pergamin. Ale w szkatułce było coś jeszcze — mały przedmiot zawinięty w jedwab. Natychmiast zapragnąłem zgłębić tajemnice kryjące się na poźółkłym pergaminie, ale nie pozwoliło mi na to wyczerpanie. Od czasu, gdy opuściłem Stregoićawar prawie nie spałem i zmogło mnie teraz przeraźliwe zmęczenie. Wbrew woli byłem zmuszony wyciągnąć się na łożku i spałem cały dzień, aż do zachodu słońca.

Szybko przełknąłem kolację, a potem w świetle migającej świecy zabrałem się do czytania tureckich liter pokrywających pergamin. To było bardzo trudne, ponieważ nie znam dobrze

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

tego języka i dość archaicznego stylu, ale mimo wszystko to, co przeczytałem, zdumiało mnie. Gdy pracowałem nad tekstem, wyłaniały się poszczególne słowa i zdania chwytające mnie w objęcia rosnącej grozy. Skupiłem całą energię i kiedy opowieść powoli stawała się coraz to jaśniejsza i przybierała bardziej namacalną postać, czułem, jak krew ścina mi się w żyłach, unoszą się włosy na głowie, a język zasycha w ustach.

W końcu, o bladym świetle sączącym się przez firanki w oknie, odłożyłem manuskrypt i chwyciłem przedmiot zawinięty w kawałek jedwabiu. Wpatrując się w niego zmęczonymi oczami poznałem całą prawdę, nawet gdybym zechciał wątpić w to, co zawierał manuskrypt: A potem schowałem na powrót do szkatułki oba te obrzydliwe przedmioty. Nie mogłem jeść, spać i odpocząć, dopóki szkatułka z tą zawartością nie została obciążona kamieniem i wrzucona w największą głębię Dunaju, skąd — jeśli Bóg da — prąd poniesie ją z powrotem do piekła, z którego pochodzi.

To nie był sen. Nie śniłem wtedy w noc świętojańską na wzgórzach ponad Stregoicawarem. Dobrze, że Justin Geoffrey siedział tam tylko w dzień, a potem odszedł, ponieważ gdyby ujrzął to upiorne konklawe, jego szalony umysł załamałby się wcześniej. A w jaki sposób ja sam nie straciłem zmysłów, tego doprawdy nie wiem.

Nie, to nie był sen, byłem świadkiem zgromadzenia dawno zmarłych ludzi, którzy opuścili piekło, aby czcić jak z dawnych czasów upiory, które kłaniały się przed upiorem. Ponieważ piekło dawno już pochłonęło tego potwornego bożka.

Nie wiedziałem za pomocą jakiej to przerażającej alchemii lub bezbożnych czarów otwierały się tej jednej nocy bramy piekieł, ale widziałem to na własne oczy. I wiedziałem, że widziałem tamtej nocy coś, co już nie żyje, ponieważ manuskrypt pisany ostrożną ręką Selima Bahadura opisywał dokładnie to, co on i jego jeźdźcy znaleźli w dolinie Stregoicawar; czytałem opisane szczegółowo bluźniercze obrzydlistwa, które tortura wyrwała z ust wrzeszczących czcicieli; czytałem też o zagubionej, czarnej pieczarze wysoko w górze, gdzie przerażeni Turcy otoczyli napęczniałe, monstrualne, podobne do ropuchy stworzenie i zniszczyli je płomieniem, antyczną stalą bardzo dawno pobłogosławioną przez Mahometa i zaklęciami, które były już stare wtedy, gdy Arabia była jeszcze młoda. I nawet krzepka ręka starego Selima trzęsa się, gdy zapisywał kataklizmiczne, wstrząsające ziemią, śmiertelne wycie potwora, który nie umarł samotnie; dziesięciu z jego morderców zginęło razem z nim w sposób, jakiego nawet Selim nie chciał lub nie mógł opisać. A ten przykucnięty idol wyrzeźbiony ze złota i owinięty w jedwab przedstawiał jego samego i Selim zerwał go ze złotego łańcucha zawieszzonego na szyi zabitego wysokiego kapłana w masce.

Turcy ogniem i stalą całkowicie wyczyścili tę ohydą dolinę! I na tego rodzaju rzeczy patrzyły te szerokie góry, na rzeczy należące do ciemności i otchłani zaginionej wieczności. Nie — to nie był strach przed tym czymś ropuchopodobnym, strach przejmujący mnie dreszczem w nocy. On tkwi mocno w piekle ze swoją odrażającą hordą, zostając uwolniony tylko na godziny najdziwniejszej nocy w roku, tej właśnie nocy, której go widziałem. A z jego czcicieli nikt już nie pozostał.

Ale to rzeczywistość, że taka rzecz kiedyś przykucała niczym jakaś przerażająca bestia nad duszami mężczyzn i że to ona właśnie spowodowała zimny pot na moim czole; a teraz boję się znów zajrzeć na strony odrażającej pracy Von Junzta. Ale teraz rozumiem, dlaczego powtarzał słowa „klucze”! Och! Klucze do Drzwi Zewnętrznych — ogniwa łączące z przerażającą przeszłością i — kto wie? — z przerażającymi sferami teraźniejszości. I rozumiem też, co siostrzeniec właściciela tawerny widział w nawiedzających go koszmarach sennych, Czarny Kamień na szczycie wieży cyklopowego czarnego zamku. Jeżeli kiedykolwiek ktoś będzie kopał między tymi górami, może znaleźć rzeczy, jakie trudno sobie nawet wyobrazić. Ponieważ pieczara, w której Turcy to coś osaczyli, nie była prawdziwą pieczarą i drzę na myśl, jaka przepastna otchłan rozciąga się pomiędzy tym wiekiem i czasem, gdy ziemia zadrżała i wydała z siebie, niczym falę, te błękitne góry, które rosły ukrywając w sobie rzeczy, o których bałem się nawet myśleć. Niech nikt nie szuka i nie próbuje zbadać do korzeni tej upiornej strzelistej kolumny, którą ludzie zwą Czarnym Kamieniem!

Klucz! Och, to jest Klucz, symbol zapomnianego horroru, horroru, który z zapomnienia wstrętne wyczołgał się o czarnym świetle ziemi. Co jednak możemy powiedzieć o innych, przerażających możliwościach, na które wskazuje Von Junzt — co powiemy o tej monstrualnej ręce, która zdusiła w nim życie? Po tym, co napisał Selim Bahadur, nie mogłem już dłużej wątpić w cokolwiek, co znajdowało się w Czarnej Księdze. Człowiek nie zawsze był panem ziemi — a czy teraz jest jej panem? Jakie to nieznanne i nienazwane kształty mogą czaić się jeszcze w ciemnych miejscach naszego świata?

HORROR Z KURHANU

Steve Brill nie wierzył ani w upiory, ani w demony. Juan Lopez wierzył. Jednak ani ostrożność jednego, ani twardy sceptycyzm drugiego nie stanowiły tarczy ochronnej przed horrorem, który spadł na nich — horrorem zapomnianym przez ludzi na dłużej niż trzysta lat — monstualnym, krzyżącym przerażeniem, wskrzeszonym z czarnej otchłani zagubionych wieków.

Jednak kiedy ostatniego wieczoru Steve Brill siedział na swoich zapadłych schodkach, jego myśli były tak oddalone od jakichś niesamowitych zagrożeń, jak tylko mogły być oddalone ludzkie myśli. Rozum myślał o rzeczach gorzkich, lecz dość konkretnych. Patrząc na ziemię swojej farmy i kłął. Brill był wysoki, szczupły i twardy jak skóra na buty — prawdziwy syn pioniera, który wyrwał Zachodni Teksas dziczy. Był wysmagany słońcem i silny jak długorogi byk. Szczupłe nogi i buty wskazywały, że z zamiłowania był kowbojem, a teraz przeklinał siebie, że kiedyś zszedł z dzikookiego mustanga i zmienił się w farmera. Żaden z niego farmer, przyznał wprost młody poganiacz bydła.

Ale ta klęska nie była w całości jego winą. Obfity, zimowy, deszcz — tak rzadki w Zachodnim Teksasie — dawał obietnicę dobrych zbiorów. Ale, jak to zwykle bywa, nie wszystko poszło gładko. Spóźniona śnieżycą zniszczyła kwiaty drzew owocowych. Zboże, które rosło tak obiecująco, zostało burzą gradową posiekane na kawałki i przyduszone do ziemi w chwili, gdy zaczynało już żółknąć. Potem nadeszła susza i nowe gradobicie wykończyło kukurydzę.

Po tym wszystkim bawelna, która jakoś przetrwała, poddała się najazdowi koników polnych, które ogołociły pole Brilla w ciągu jednej nocy. Tak więc Brill siedział i zaklinał się, że nie odnowi dzierzawy — i błogosławił, że nie jest właścicielem ziemi, na której wylał tyle potu, jednocześnie cieszył się, że istnieją jeszcze szerokie, falujące przestrzenie Zachodu, gdzie młody, silny mężczyzna może zarobić na życie cwałując i chwytając na lasso bydło. Siedząc tak w ponurym zamyśleniu, Brill uświadomił sobie obecność swego najbliższego sąsiada, Juana Lopeza, spokojnego, starego Meksykanina, który mieszkał w niewidocznej stąd chacie stojącej po drugiej stronie strumienia za wzgórzem. Meksykanin, aby zarobić na życie, zajmował się karczowaniem lasu. Teraz oczyszczał skrawek ziemi przylegającej do farmy i przecinając łąkę Brilla właśnie wracał do swojej chaty.

Brill leniwie obserwował, jak przełaził przez płot z drutu kolczastego i szedł wzdłuż wydeptanej przez siebie ścieżki w wyschniętej trawie. Już ponad miesiąc zajmował się wycinaniem twardych, powyginanych meskitów, wykopując niewia — Tygodnie długie korzenie i Brill wiedział, że zawsze wraca do domu tą samą drogą. Patrząc na niego Brill nagle zauważył, że sąsiad gwałtownie skręcił, jakby chciał ominąć niski, okrągły pagórek wystający ponad poziom pastwiska. Lopez obszedł go trzymając się z dala i Brill pamiętał, że stary Meksykanin zawsze zataczał w tym miejscu duże półkole. Inna myśl, jaka napłynęła do rozleniwionego umysłu Brilla, przypomniała mu, że Lopez zawsze przyspieszał wtedy kroku i zawsze starał się przejść obok niego przed zachodem słońca — jednak meksykańscy robotnicy przeważnie pracowali od brzasku do zmierzchu, a szczególnie ci, którzy wycinali drzewa, ponieważ wynagradzano ich od akra a nie od dnia pracy. Ciekawość Brilla wzrosła. Wstał i idąc powoli w dół zbocza, na którego szczycie znajdowała się jego chata, krzyknął do wlokącego się Meksykanina:

— Hej, Lopez, zaczekaj chwilkę.

Lopez zatrzymał się, rozejrzał i stał bez ruchu, bez entuzjazmu czekając, aż biały zbliży się do niego.

— Lopez — powiedział powoli Brill — chociaż to nie mój interes, chciałem jednak cię o coś zapytać... dlaczego zawsze tak daleko obchodzisz ten stary indiański kurhan?

— No sabe* — odparł Lopez krótko.

— Łżesz — stwierdził Brill żartobliwie. — Bardzo dobrze rozumiesz, mówisz po angielsku tak samo jak ja. O co chodzi? Myślisz, że ten kurhan jest nawiedzony, czy coś takiego?

Brill umiał mówić i czytać po hiszpańsku, ale tak jak większość Anglosasów wolał posługiwać się rodzinnym językiem. Lopez wzruszył ramionami.

— To nie jest dobre miejsce, no bueno — mruknął, unikając oczu Brilla. — Niech leży w spokoju to, co zostało ukryte.

— Zdaje mi się, że boisz się duchów — podpuszczał go Brill. — Do licha, jeśli to rzeczywiście indiański kurhan, to złożeni w nim Indianie leżą już tak długo, że ich duchy pewnie są kompletnie niegroźne.

Brill wiedział, że ciemni Meksykanie boją się kurhanów porzrzucanych na całym południowym zachodzie — tych relikwów przeszłości, zapomnianych z wiekami,

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

zawierających rozpadające się kości wodzów i wojowników zaginionej rasy.

— Najlepiej nie przeszkadzać temu, co zostało ukryte w ziemi — chrząknął Lopez.

— Brednie — rzekł Brill. — Kiedyś razem z chłopcami rozkopałem jeden z tych kurhanów w Pało Pinto i wydobyliśmy z niego szczątki szkieletów, koraliki, krzemienne ostrza strzał i tym podobne przedmioty. Przez jakiś czas przechowywałem różne zęby, ale potem gdzieś je zgubiłem i nigdy nic mnie nie straszyno.,,

— Indianie? — nagle parsknął Lopez. — Kto mówi, że to są Indianie? W tych okolicach byli nie tylko Indianie. Dawno temu działy się tu dziwne rzeczy. Słyszałem, jak moja rodzina przekazywała sobie z pokolenia na pokolenie różne opowieści. A moja rodzina była tu długo przed wami, senior Brill.

— Tak, masz rację — przyznał Steve. — Pierwszy biały człowiek, jaki pojawił się w tym kraju, był oczywiście Hiszpanem. Nie tak daleko stąd przemierzył tę ziemię Coronado, słyszałem o tym, a potem przez kraj — o tam, gdzieś w tyle — przeszła też wyprawa Hernando de Estrady... nawet nie wiem jak dawno temu.

— W 1545 — powiedział Lopez. — Rozbili tu niedaleko obóz, tam gdzie teraz pański korral.

Brill obejrzał się na ogrodzony korral, na którym teraz przebywał jego wierzchowiec, para roboczych koni i wychudzona krowa.

— Skąd tyle o tym wiesz? — zapytał zaciekawiony.

— Jeden z moich przodków brał udział w wyprawie de Estrady — odparł Lopez. — Żołnierz, Porfirio Lopez; opowiedział o tym swemu synowi, a syn opowiedział swojemu i tak dalej, aż wreszcie trafiło do mojej rodziny, a potem do mnie, ale ja nie mam żadnego syna, któremu mógłbym o tym opowiedzieć.

— Nie miałem pojęcia, że masz tak stary rodowód — zauważył Brill. — A może coś wiesz o złocie, które podobno gdzieś w tej okolicy ukrył de Estrada?

— Tam nie było żadnego złota — warknął Lopez. — Wojsko de Estrady miało przy sobie tylko broń, walcząc w tych wrogich im stronach... a wielu z nich zostawiło kości na szlaku. Później — wiele lat później — została zaatakowana przez Komanczów jadąca z Santa Fe karawana wozów zaprzęzonych w muły. Atak nastąpił gdzieś tu w pobliżu. Wtedy ukryto złoto i wszyscy uciekli. I w ten sposób pomieszały się ze sobą różne opowieści. Ale nawet nie ma tu tego złota, ponieważ znaleźli je i wykopali gringo, myśliwi polujący na bizony. Brill kiwał głową, prawie nie słuchając. W całej Północnej Ameryce nie było takiego miejsca jak jej część południowo-zachodnia, która posiadała najwięcej opowieści o ukrytych skarbach. Niewyobrażalne bogactwo przeszło tam i z powrotem przez wzgórza i równiny Teksasu i Nowego Meksyku. W dawnych czasach Hiszpanie posiadali kopalnie złota i srebra w Nowym Świecie i kontrolowali całe bogactwo handlu futrami na Zachodzie, a echa o tym bogactwie jeszcze ciągle pobrzmiwają w opowieściach o ukrytym złocie. Nagle w myślach Brilla pojawiło się marzenie zrodzone z klęsk i biedy.

Głośno powiedział:

— No, ja w każdym razie nie mając nic innego do roboty zacznę chyba kopać w tym starym kurhanie żeby przekonać się, co tam może być.

To zwykłe stwierdzenie zdawało się wywołać u Lopeza piorunujące wrażenie. Cofnął się gwałtownie, a jego brązowa twarz stała się szara jak popiół; jego czarne oczy zapłonęły i wyrzucił ramiona w błagalnym geście.

— Dios, no! — krzyknął. — Niech pan tego nie robi, senior Brill! To miejsce jest przeklęte... dziadek mówił mi, że...

— Co ci mówi? — spytał Brill.

Lopez zamilkł.

— Nie mogę powiedzieć — mruknął. — Przysięgłem milczenie. Mógłbym się zwierzyć tylko memu najstarszemu synowi. Ale niech mi pan wierzy, lepiej żeby podciął pan sobie gardło niż wdzierał się do tego przeklętego kurhanu.

— No — rzekł Brill, zniecierpliwiony przesądami Meksykanina — jeśli to coś tak złego, to dlaczego mi o tym nie powiesz? Podaj mi jakiś logiczny argument, żeby go nie rozkopywać.

— Nie mogę! — krzyknął Meksykanin z rozpaczą. — Ale znam go! Przysięgłem jednak milczenie na Święty Krzyż, tak jak przedtem wszyscy przysięgali w mojej rodzinie. To jest coś tak ponurego, że nawet mówiąc o tym ryzykuje się wieczne potępienie! Gdybym powiedział panu o tym, dusza uleciałaby z pańskiego ciała. Jednak przysięgłem... i nie mam syna, więc moje usta są zapieczętowane na zawsze.

— O... no to — mruknął sarkastycznie Brill — dlaczego w takim razie nie napiszesz o tym?

Lopez stał z wytrzeszczonymi oczami jak oniemiały, ku zdumieniu Steve'a poddając się tej sugestii,

— Tak zrobię! O, Dios, dzięki Ci, że ten dobry ksiądz nauczył mnie pisać, gdy byłem dzieckiem. Moja przysięga nic nie mówiła o pisaniu. Przysięgałem tylko, że nic nie powiem. Wszystko panu dokładnie opiszę, jeżeli pan przysięgnie, że nikomu potem nic nie powie i zniszczy papier zaraz po przeczytaniu.

— Jasne — zgodził się Brill, aby go uspokoić i zdawało się, że ulżył tym staremu Meksykaninowi.

— Bueno! Zaraz idę wszystko opisać. Jutro, kiedy będę szedł do pracy, przyniosę panu papier i wtedy zrozumie pan, dlaczego nikt nie może wdzierać się do tego przeklętego kurhanu!

I Lopez pospiesznie odszedł ścieżką do domu, jego przygarbione ramiona kołysały się z wysiłku, aby iść szybciej niż zwykle. Steve uśmiechnął się za nim ironicznie, wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę swojej chaty. Zatrzymał się jednak na chwilę i jeszcze raz spojrzął na niewielki, zarośnięty trawą, zaokrąglony pagórek. To z pewnością jest indiański grób, zdecydował; z uwagi na jego symetryczny kształt i podobieństwo do innych indiańskich kurhanów, jakie dotąd widział. Zmarszczył się, próbując sobie wyobrazić związek tajemniczego pagórka z walczącym przodkiem Juana Lopeza.

Brill patrzył w zamysłeniu za oddalającą się sylwetką starego Meksykanina. Między pastwiskiem Brilla a niskim wzgórzem, za którym stała chata Lopeza, leżała płytka, porośnięta drzewami dolina, przecięta na pół wyschniętym strumieniem. Idąc brzegiem strumienia stary Meksykanin zaczął powoli znikać między drzewami. Wtedy Brill podjął nagłą decyzję.

Szybko wziął kilof i łopatę ze stojącej za chatą komórki na narzędzia. Słońce jeszcze nie zaszło i Brill stwierdził, że zdąży na tyle rozkopać kurhan, aby za dnia przekonać się, co się w nim kryje. Jeśli nie zdąży, będzie mógł pracować przy świetle latarni. Steve, jak większość podobnych mu ludzi, był impulsywny, a teraz zapalał nagłą chęcią, aby wedrzeć się w głąb pagórka i znaleźć to — o ile w ogóle coś było — co tam jest.

Znowu zaświtała mu myśl o ukrytym skarbie, jakby podszycona słowami Lopeza.

A co będzie, jeśli jednak ta obrośnięta trawą kupka ziemi kryje bogactwo — jakąś dziewczącą rudę z zapomnianych kopalni, albo jakieś starohiszpańskie monety? A może ten wzgórek nad skarbem, którego nie mogli zabrać ze sobą muszkietrzy de Estrady usypali w kształcie indiańskiego kurhanu dla zmylenia poszukiwaczy? Czyżby stary Lopez o tym wiedział? Nie byłoby dziwne, gdyby wiedząc o skarbie, nie próbował przeszkodzić w jego odkryciu. Cały był przesiąknięty strachem i przesadami, wolał żyć ze swojej pracy aniżeli ryzykować kłatwę czających się upiórów lub diabłów — ponieważ Meksykanie twierdzą, że ukryte złoto jest zawsze przeklęte i oczywiście ten kurhan jest szczególnie przeklęty i może przynieść zgubę. No, rozmyślał Brill, ale latynosko-indiańskie diabły nie są straszne Anglosasom, których wycieńczyły demony suszy, burz i innych klęsk żywiołowych niszczących zbiory.

Steve zabrał się do pracy z dziką energią charakterystyczną dla jego rasy. Jednak zadanie nie było łatwe; spieczona słońcem ziemia zmieszana z kamieniami i żwirem była twarda jak kamień. Brill obficie pocąc się stękał z wysiłku, ale płonął w nim ogień poszukiwacza skarbów. Ocierał pot spływający do oczu i walił z całych sił kilofem, rozbijając dobrze ubitą ziemię.

Słońce zaczęło zachodzić i w długim, letnim zmierzchu pracował prawie zupełnie zatracając poczucie czasu i miejsca. Powoli coraz bardziej się upewniał, że pagórek jest prawdziwym indiańskim grobem, ponieważ znalazł w ziemi resztki węgla drzewnego. Dawni ludzie, budujący tego rodzaju grobowce, utrzymywali całymi dniami płonący ogień.

Wszystkie kurhany, jakie Steve kiedykolwiek rozkopał, zawierały zaraz pod powierzchnią ziemi grubą warstwę węgla drzewnego. Jednak teraz znalezione resztki węgla drzewnego były porozsypane w różnych miejscach.

Myśl, że w tym miejscu kryje się zapomniany skarb Hiszpanów, jakoś przyblakła, ale ciągle jeszcze z uporem go gnębiła. Kto wie? Może ci dziwni mieszkańcy tych ziem, których teraz nazywamy Budowniczymi Kurhanów, posiadali swoje skarby, które złożyli razem ze zmarłymi?

Nagle Steve wykrzyknął podniecony, czując, że kilof uderza w coś, co przypominało metal. Chwyć to, co wykopał i podniósł do oczu, wysilając w młym świetle wzrok.

Wykopany przedmiot był zabrudzony i tak skorodowany, że był cienki jak papier, ale domyślał się, co to było — to było kółko ostrogi, niewątpliwie hiszpańskiego pochodzenia, z długimi, ostrymi kolcami. Stał całkowicie oszołomiony. Tego kurhanu nie mogli zbudować

Hiszpanie, niewątpliwie wykonały go ręce tubylców. Jednak jakim sposobem znalazł się głęboko pod ubitą ziemią przedmiot należący do hiszpańskiego caballero? Brill z niedowierzaniem potrząsnął głową i zabrał się do pracy. Wiedział, że gdzieś w środku kurhanu, jeżeli to był naprawdę grób tubylców, znajdzie wąską komorę wykonaną z dużych kamieni, zawierającą kości wodzów, a nad nimi poświęcone ofiary. W zapadających ciemnościach poczuł, że kilof uderza twardo w coś nie poddającego się i przypominającego granit. Nic nie widząc i badając tylko na wyczucie, przekonał się, że to był z grubsza ociosany, solidny, kamienny blok. Niewątpliwie był to jeden z boków komory grobowej. Próba rozbicia tego kamienia z pewnością byłaby bezcelowa i Brill zaczął go nadłupywać, zeszkrobując ziemię i żwir z narożnika, aż w końcu przekonał się, że może spróbować odłączyć kamień poprzez wbicie czubka kilofu i podważenia jak dźwignią. Ale teraz nagle zorientował się, że było już ciemno. W świetle wschodzącego księżyca wszystko zdawało się zamazane i pokryte cieniami. Mustang zaczął niespokojnie biegać, objając się o ogrodzenie korralu, skąd dochodził uspokajający odgłos zmęczonych zwierząt żujących kukurydzę. Z czarnych cieni wijącego się potoku przypląnął niesamowity krzyk lelka. Brill niechętnie się wyprostował. Trzeba przynieść latarnię i kontynuować poszukiwania przy świetle.

Zaczął klepać się po kieszeniach, zamierzając podnieść kamień i zbadać wnętrze grobu przy świetle zapalek. Nagle zeszywniał. Czy to złudzenie, czy usłyszał słaby, przerażający szmer dochodzący zza tego olbrzymiego głazu? Węże! Niewątpliwie gdzieś u podstawy kurhanu były jakieś otwory i może teraz czyha na niego z tuzin dużych diamentowych grzechotników zwiniętych w środku komory, niecierpliwie czekając, żeby tylko wetknął tam rękę? Zadrżał i odsunął się od wykopanej dziury.

Nie było sensu kopać dalej na oślep. I zdał sobie też sprawę, że przez ostatnie kilka minut czuł jakiś obrzydliwy, słaby smród, który wydostawał się spomiędzy szpar w kamieniu — chociaż musiał przyznać, że ten zapach nie świadczył o obecności gadów bardziej niż jakikolwiek inny z nieprzyjemnych zapachów. Było to coś, co przypominało smród kostnicy — bez wątpienia jakieś wydostające się z śmiertelnej komory gazy, które mogły być niebezpieczne dla żywych.

Steve odłożył kilof i wrócił do domu niecierpliwiąc się z powodu koniecznej przerwy. Po wejściu do środka zapalił zapalną i odszukał lampę naftową wiszącą na ścianie na gwoździu. Potrząsnął, sprawdzając czy jest napełniona naftą, i zapalił ją. Natychmiast wrócił do kurhanu, niecierpliwie nie pozwoliła mu nawet nic przekąsić. Spieszył się, aby natychmiast otworzyć grób, był tym tak zaintrygowany, jak tylko może być zaintrygowany człowiek obdarzony wyobraźnią, a odkrycie hiszpańskiej ostrogi jeszcze bardziej pobudziło jego ciekawość.

Pospiesznie zbiegł ze wzgórza, wywijając latarnię rzucającą przed nim i za nim długie, krzywe cienie. Zachichotał wyobrażając sobie, co zrobi i pomyśli Lopez, gdy dowie się rano, że rozkopał zakazany kurhan. Dobrze, że rozkopał go dziś wieczorem. Gdyby Lopez o tym wiedział, mógłby mu próbować przeszkodzić. W sennej ciszy letniej nocy Brill dotarł do kurhanu — uniósł wysoko latarnię — i zaklął zdumiony. W świetle latarni ujrzął miejsce, które rozkopał, niedbale porzucane narzędzia... i ogromną, otwartą, czarną szczelinę! Wielki, zamykający głaz leżał na dnie wykopy, tak jakby ktoś go bez trudu odrzucił.

Ostrożnie wysunął latarnię i zajrzał do komory przypominającej jaskinię, nie mając pojęcia, czego ma się spodziewać. Nie zobaczył nic, poza nagą skałą, która stanowiła boki wąskiego pomieszczenia, dość długiego, aby ułożyć w nim ciało człowieka. Ta cela prawdopodobnie została zbudowana ze z grubsza obrobionych, kwadratowych głazów, sprytnie i silnie połączonych ze sobą.

— Lopez! — wykrzyknął Steve z wściekłością. — To ten śmierzący kojot! Z pewnością obserwował, jak pracowałem, i kiedy poszedłem do domu po latarnię, wśliznął się, odsunął kamień i porwał to, co było w środku. Niech go szlag trafi, ja mu pokażę!

Z wściekłością zgasił latarnię i rozejrzał się po płytkiej, zarośniętej dolinie. Spojrzawszy zeszywniał. Na skraju wzgórza, za którym znajdowała się chata Lopeza, poruszył się jakiś cień. Księżyc zachodził, światło było mdłe, a ruchy cieni zaskakująco zdumiewające. Jednak Steve miał wzrok wyostrojony słońcem i wiatrem szerokich przestrzeni i rozróżnił jakieś dwunogie stworzenie, znikające poniżej zarośniętego meskitami wzgórza.

— Kryje się w swojej chacie — prychnął Brill. — Z pewnością coś zwędził, inaczej nie biegłby tak szybko.

Brill przełknął ślinę, zastanawiając się, dlaczego nagle dziwnie zadrżał. Dlaczego ten tłuścioch tak szybko uciekał ze swoim łupem? Brill próbował zdusić w sobie niepokój, że kryje się w tym coś dziwnego. Ta postać, a raczej jej cień, zdawała się poruszać jakimiś

wężowymi skokami. Do tego rodzaju szybkości musiała być potrzebna prawdziwa zręczność, jeśli ten dość tłusty Juan Lopez wybrał sposób posuwania się tak dziwnymi ruchami.

— Cokolwiek znalazł, jest tak samo moje jak i jego — Brill zaczął kłąć, próbując przestać myśleć o tym niezwykłym biegu zauważonej postaci. — To ja dzierżawię tę ziemię i odwaliłem całą robotę. A niech to szlag trafi! Nie dziwię się, że opowiedział mi o tym. Chciał, żebym odwalił robotę za niego, a potem sprzątnie mi łup sprzed nosa. Tylko dlaczego już przedtem tego nie wykopał? Nigdy jednak nie wiadomo, co myśleć o tych gnojkach.

Medytując nad tym, Brill szedł wzdłuż łagodnego zbocza pastwiska w kierunku strumienia. Minawszy cienie drzew i gęste poszycie, szedł wyschniętym łożyskiem strumienia, stwierdzając bezmyślnie, że w ciemnościach nie słyszy teraz ani lelka, ani nawet sowy. Czuł kryjące się w ciemnościach nocy jakieś wyczekujące napięcie, które wcale mu się nie podobało. Cienie wokół wyschniętego strumienia były zbyt gęste i zbyt bezduszne. Modlił się, żeby nie zgasła latarnia, i cieszył się, że ma przy sobie kilof, który trzymał teraz w prawej ręce jak siekiere. Odruchowo chciał zagwizdać, aby przerwać ciszę, ale tylko zaklął i zaniechał tego. Jednak z zadowoleniem wydostał się na przeciwległy brzeg i wyszedł na wolną przestrzeń oświetloną światłem gwiazd.

Wspiął się na szczyt wzgórza i spojrzął na płaski, porośnięty meskitami teren, na którym stała nędzna chata Lopeza. W jednym oknie paliło się światło.

— Pewnie zbiera się, żeby zwiac — warknął Steven. — Och, co...

Potknął się i omal nie upadł, usłyszawszy przesywający krzyk. Chciał go stłumić, zasłaniając uszy dłońmi. Przerażliwy krzyk wzrósł, aby załamać się potwornym charkotem.

— Wielki Boże! — Steve poczuł, że oblewa go zimny pot. — Lopez... a może ktoś inny... Próbuje wydusić z siebie te słowa, biegł wzdłuż wzgórza ile sił w nogach. W tej samotnej chacie działo się coś niesamowitego, ale zbada to, nawet gdyby miał tam spotkać samego diabła. Chwycił mocniej rękojeść kilofa i biegł dalej. Włóczący się rabusie mordują starego Lopeza i ograbiają go z łupu zabranego z kurhanu, pomyślał Steve, i zapomniał o miotającej nim wściekłości. No, ale chociaż ten stary łobuz go okradł, rozprawi się z draniem, który go napadł.

Wyskoczył na płaski teren i biegł ciężko w kierunku chaty. Nagle światło w oknie zgasło, Steve zatoczył się i wpadając na drzewo meskitowe jęknął rozdzierając skórę na ostrych kolcach. Odskakując z płaczącym przekleństwem, skoczył ku chacie, przygotowując się psychicznie na to, co może tam zobaczyć — a jego włosy jeżyły się na głowie od tego, co już widział.

Brill spróbował otworzyć drzwi, ale były zaryglowane. Zawołał Lopeza, jednak nie otrzymał odpowiedzi. W chacie nie opanowała zupełna cisza, dochodził z niej jakiś dziwny, niepokojący dźwięk, który ustał, kiedy Brill zaczął kilofem rozbijać wątle drzwi. Natychmiast puściły i Brill wpadł do ciemnego wnętrza chaty, z błyszczącymi oczami wymachując desperacko kilofem. Jednak żaden dźwięk nie zakłócił ponurej ciszy i nic się nie poruszyło w ciemności, chociaż Brill miał złudzenie, że wszędzie w kątach czają się jakieś przerażające cienie.

Wilgotną od potu ręką zapalił zapałkę. W chacie, poza nim, był tylko Lopez. Stary Lopez leżał martwy na brudnej podłodze, z rozrzuconymi ramionami, jakby był przybity do krzyża, z ustami wykrzywionymi w głupim uśmiechu, z oczami szeroko otwartymi i wpatrującymi się w coś ze zgrozą. Okno było otwarte, ukazując, jaką drogą zbiegł morderca — a może nawet wszedł tędy do środka. Brill podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Z jednej strony zobaczył tylko opadające zbocze wzgórza, a z drugiej równinę porośniętą meskitami. Zadrzał — czy tam, w czających się cieniach, coś się poruszyło, czy to tylko wytwór jego wyobraźni? Czy coś tam podskakuje między drzewami?

Odwrócił się czując, że zapałka parzy mu palce. Zapalił stojącą na koślawym stole starą lampę naftową i zaklął parząc się w rękę. Klosz był bardzo gorący, tak jakby lampa paliła się od wielu godzin.

Niechętnie powrócił do ciała leżącego na podłodze. Jakakolwiek śmierć dopadła Lopeza, musiała być okropna, ale Brill ostrożnie zbadał zwłoki nie znajdując żadnej rany — żadnego śladu uderzenia nożem lub jakimś tępym przedmiotem. Chwileczkę! Na szukającej ręce Brilla pojawiła się mała plamka krwi. Macając znalazł źródło pochodzenia tej krwi — trzy lub cztery małe punkciki na szyi Lopeza, z których powoli sączyła się krew. W pierwszej chwili pomyślał, że były to ukłucia sztyletu, cienkiego sztyletu o okrągłym ostrzu, ale po chwili potrząsnął głową. Widział już rany zadane sztyletami — sam też miał bliznę po takim ciosie. Te ranki bardziej przypominały ugryzienie jakiegoś zwierzęcia — przypominały ślady ostrych kłów.

Jednak Brill nie wierzył, żeby były na tyle głębokie, aby spowodować śmierć, i nie

wyglądało na to, żeby były przyczyną wykrwawienia się. Nagle w zakamarkach jego umysłu zaświtało jakieś przerażające podejrzenie. Czyżby Lopez umarł z przerażenia, a rany powstały w momencie śmierci lub krótko potem?

Steve jeszcze coś zauważył, na brudnej podłodze leżały bezładnie porzrzucone kartki papieru, na których widniało koślawe pismo starego Meksykanina. Mówił, że opisze przekleństwo kurhanu. Tak twierdził. I te właśnie strony, na których rzeczywiście coś napisał, leżący na podłodze ołówki, gorący klosz lampy, wszystkie te przedmioty były niemymi świadkami tego, że stary Meksykanin siedział przy stole i pisał przez wiele godzin. A zatem to nie on otworzył komorę grobową kurhanu i nie ukradł jej zawartości — ale, w imię boże, kto to zrobił? I kto, lub co, biegło na wzgórze, podskakując?

Teraz nie ma już tu nic innego do roboty, powinien osiodłać swego mustanga i pojechać dziesięć mil do najbliższego miasteczka, Studni Kojota, i poinformować szeryfa, że popełniono morderstwo.

Brill pozbiierał kartki. Ostatnia tkwiła w zaciśniętej dłoni starego Meksykanina i Brill wyjął ją z pewną trudnością. Obracając się, aby zgasić światło, zawahał się, przeklinając siebie, że uległ jakiemuś nieuzasadnionemu strachowi, który czaił się gdzieś w głębi jego umysłu — strachowi, któremu uległ widząc cień pod oknem krótko przed zgaszeniem światła w chacie. Było to niewątpliwie długie ramię mordercy, które sięgnęło do lampy, aby ją zgasić. Co było tak nienormalnego czy nieludzkiego w tej wizji, która prawdopodobnie była zniekształconą mdłym światłem lampy i cieniem? Tak jak człowiek próbuje przypomnieć sobie detale sennego koszmaru, Steve teraz próbował zdefiniować w swoim umyśle wyraźną przyczynę, tłumaczącą, dlaczego ta wizja wyprowadziła go z równowagi do tego stopnia, że wpadł na kłujące drzewo i dlaczego nawet wspomnienie tego teraz powodowało, iż oblewał go zimny pot.

Klnąc, aby dodać sobie odwagi, zapalił latarnię, zgasił lampę na stole i chwytając kilof odważnie ruszył do wyjścia. Dlaczego, u licha, miały być tak roztrzęsiony tym ponurym morderstwem? Tego rodzaju zbrodnie były straszne, ale zdarzały się dość często, a szczególnie wśród Meksykanów, którzy kochali różne rodzinne porachunki.

Wychodząc w noc usianą gwiazdami gwałtownie zatrzymał się. Z drugiej strony strumienia rozległ się rozdzierający, śmiertelny kwik konia — a potem cichnące w oddali szalone uderzenia kopyt. Przerażony Brill zaklął z wściekłością. Czyżby wśród wzgórz grasowała pantera czyżby ten krwiożerczy kot zabił Lopeza? Dlaczego więc ofiara nie nosiła śladów ostrych pazurów? I kto ugasił w chacie światło?

Zastanawiając się nad tym, Brill biegł szybko — w kierunku ciemnego strumienia. Żaden kowboj nie może dopuścić, aby jego konie lub bydło uciekło. Minąwszy ciemne krzaki rosnące wzdłuż wyschniętego strumienia stwierdził, że ma zupełnie wyschnięty język. Zaczął gwałtownie przełykać, trzymając wysoko latarnię. Jednak światło bardzo mało rozpraszało ponure ciemności, zdawało się tylko podkreślać czerni otaczających go cieni. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zakradła się do jego skołowanej głowy myśl, że chociaż ta ziemia była nowa dla Anglosasów, w istocie dla żyjących na niej ludzi była bardzo stara. Ten rozdarty i zbezczeszczony grób był cichym dowodem, jak była stara, i nagle noc, wzgórze i cienie ukazały się Brillowi jako coś ohydnie antycznego. Na długo, zanim przodkowie Brilla dowiedzieli się o istnieniu tej ziemi, żyło tu i umierało wiele pokoleń. Nocami, w cieniach gromadzących się przy strumieniu, ludzie oddawali dusze na różne, okrutne sposoby. Oddając się podobnym refleksjom, Brill przebijał się przez cienie gęsto rosnących drzew.

Odetchnął głęboko z ulgą, gdy wyszedł spomiędzy drzew na swoje pole. Spiesząc w górę łagodnego zbocza do korralu, trzymał wysoko podniesioną latarnię rozglądając się dookoła. W świetle lampy ujrzał, że korral jest pusty, nie było nawet spokojnej krowy. Poprzeczki ogrodzenia były zrzucone na ziemię, co świadczyło o obecności człowieka i cała sprawa przybrała nowy, groźny aspekt. Wyraźnie ktoś nie chciał dopuścić, aby Brill pojechał tej nocy do Studni Kojota. Co oznaczało, że morderca zamierzał zbiec i chciał mieć wyprzedzenie w czasie, albo... Brill uśmiechnął się złowieszczo. Miał nadzieję, że na płaszczyźnie porośniętej meskitami dosłyszcy słaby i odległy tętent koni. Co, na litość boską, tak je przestraszyło? Poczuł wzdłuż krzyża lodowaty dreszcz strachu.

Steve ruszył w kierunku swojej chaty, jednak nie wszedł od razu do środka. Ostrożnie obszedł ją dookoła, zaglądając ze strachem w ciemne okna i nad słuchując, czy jakiś „dźwięk nie zdradzi obecności czyhającego na niego mordercy. W końcu otworzył drzwi i wszedł do środka. Pchnął drzwi na ścianę, aby sprawdzić, czy ktoś nie kryje się za nimi, uniósł wyżej latarnię i ruszył naprzód z bijącym sercem, gotów do użycia kilofa. To, co czuł, było mieszaniną strachu i wściekłości. Jednak nie wyskoczył na niego żaden kryjący się zabójca i po dokładnym obejrzeniu wnętrza przekonał się, że nikogo tam nie ma.

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

Z westchnieniem ulgi Brill zatrzasnął drzwi, zamknął szczelnie okno i zapalił starą lampę naftową. Myśl o Lopezie leżącym ze szklanymi oczami w chacie za strumieniem spowodowała, że skrzywił się i zadrżał, nie próbował jednak iść nocą do miasteczka pieszko. Wyjął ze skrytki swego niezawodnego, starego colta 45, zakręcił bębenkiem z błękitnej stali i uśmiechnął się ponuro. Być może morderca nie zamierzał zostawić przy życiu świadków swego czynu. No, niech teraz tu przyjdzie! On — albo oni — mogą teraz znaleźć młodego kowboja z sześciostrażalówcem w ręce, trudniejszą zdobycz od starego, bezbronnego Meksykanina. I w tym momencie Brill przypomniał sobie kartki papieru, które zabrał z chaty. Uważając, żeby nie znaleźć się w świetle na tle okna, przez które mógłby ktoś strzelić, zasiadł do czytania, nad słuchując jakichkolwiek, najlżejszych dźwięków.

Czytając zagryzmolone kartki czuł, jak powoli rośnie w nim uczucie grozy. Meksykanin opisał historię strachu — historię podawaną z pokolenia na pokolenie — historię opowiadającą o zamierzczłych czasach.

I Brill czytał o wędrownikach caballero Hernando de Estrada i jego żołnierzy, którzy zdobywali pustynne obszary Południowego Zachodu, kiedy wszystko było tu jeszcze obce i nieznanne. Według rękopisu na początku miał przy sobie około czterdziestu żołnierzy, służby i panów.

Był tam kapitan, de Estrada, ksiądz, młody Juan Zavilla, Don Santiago de Valdez — tajemniczy szlachcic, którego zabrano z dryfującego okrętu po Morzu Karaibskim, gdyż, jak twierdził, wszyscy pozostali pasażerowie i cała załoga zmarli na skutek zarazy, a on musiał powyrzucać zwłoki za burtę. Tak więc de Estrada wziął go na okręt, którym wyprawa płynęła z Hiszpanii i de Valdez przyłączył się do nich.

Brill czytał opowieść o ich wędrownikach, opowieść napisaną charakterystycznie topornym stylem starego Lopeza, którą jego przodkowie od trzystu lat przekazywali następnym pokoleniom. Proste słowa słabo oddawały piętrzące się przed poszukiwaczami przeszkody: susza, pragnienie, powodzie, burze piaskowe, wólczyńskie wrogich czerwonoskórych. Ale stary Lopez pisał też o innym, przerażającym niebezpieczeństwie — okrutny, czający się horror, który spadł na samotną karawanę przemierzającą bezkresną dziczą. Padał człowiek za człowiekiem i nikt nie wiedział, kto był zabójcą. Strach i podejrzenia wkrały się w serca członków wyprawy i toczyły je jak rak, a przywódca nie wiedział dokąd się zwrócić. Jednak wszyscy dobrze wiedzieli, że wśród nich krąży szatan w ludzkiej postaci.

Ludzie zaczęli stronić od siebie i rozciągnęli się w linii marszu, a podejrzenia powodowały, że szukali bezpieczeństwa w samotności, co jeszcze bardziej sprzyjało mordercy. Trzon ekspedycji włókł się przez dziki kraj, zagubiony, oszołomiony, bezbronny, z ciągle gnębiącym go niewidzialnym horrorem wyłapującym maruderów, niszczącym pół śpiące straże i pogrążonych we śnie mężczyzn. Na ciałach, które znajdowano martwe, odkrywano ślady kłów, które powodowały rany wykrwawiające ofiary i tym sposobem żywi wiedzieli, jakiego rodzaju zło ich prześladowa. Ludzie zataczając się wlekli się, wzywając na pomoc świętych, albo w potwornym strachu bluźniąc, walcząc szaleńczo ze snem, aby w końcu paść ze zmęczenia i wówczas spadała na nich groza i sen, a wraz z nim śmierć. Wreszcie podejrzenia skupiły się na wielkim Murzynie, niewolniku, który był kanibalem z Caiabar. Zakuli go w łańcuchy. Jednak wkrótce młody Juan Zavilla zginął tak jak inni, a po nim ksiądz. Jednak ksiądz walczył z tym przerażającym mordercą i żył na tyle długo, aby wykrztusić de Estradzie imię tego szatana. A Brill, cały trzęsąc się, czytał z szeroko otwartymi oczami:

„...i teraz było dla de Estrady jasne, że ten dobry ksiądz mówił prawdę, a mordercą jest Don Santiago de Valdez, który był wampirem i nieumarłym szatanem, istniejącym dzięki krwi żyjących. Wtedy Estrada przypomniał sobie jakiegoś niegodziwego szlachcica czającego się w górach Kastylii w czasach panowania Maurów i karmiącego się krwią bezbronnych ofiar, które dały mu upiorną nieśmiertelność. Ale ten szlachcic gdzieś zniknął; nikt nie wiedział, gdzie się ukrył, jednak było wyraźne, że on i Don Santiago — to jeden i ten sam człowiek. Uciekł z Hiszpanii na okręcie i Estrada wiedział, że ludzie na tym okręcie nie umarli na skutek zarazy, tak jak twierdził ten potwór, ale zginęli od kłów wampira.

De Estrada, Murzyn i kilku pozostałych jeszcze przy życiu i żołnierzy poszli go szukać i znaleźli pogrążonego we śnie wśród karłowatych dębów, gdzie leżał nasycony krwią ostatniej ofiary. Teraz dobrze wiemy, że wampir, niczym wielki wąż, zapada w głęboki sen i można go zniszczyć bez ryzyka. Jednak de Estrada nie wiedział, jak pozbyć się tego potwora, bowiem jak można zabić kogoś, kto już nie żyje? Ponieważ wampir jest człowiekiem, który umarł dawno temu i jest szybki w tym swoim niezyciu.

Ludzie namawiali caballero, aby wbił w serce potwora drewniany kołek i uciął mu głowę, wymawiając przy tym słowa modlitwy, co spowoduje, że dawno nieżyjące ciało rozpadnie się

w proch, jednak ksiądz już nie żył i de Estrada bał się, że w czasie tego aktu monstrum może się przebudzić.

Tak więc delikatnie unieśli ciało Don Santiago i przenieśli je do starego, indiańskiego kurhanu, który znajdował się w pobliżu. Otworzyli grób, wyjęli z niego kości, złożyli wampira w krypcie i zakryli ją ciężkim kamieniem, mając nadzieję, że będzie tam spoczywał do dnia Sądu Ostatecznego.

To miejsce jest przeklęte i wolałbym raczej umrzeć z głodu niż przyjść do tej części kraju w poszukiwaniu pracy — ponieważ od dzieciństwa wiedziałem o istnieniu tej ziemi, tego strumienia i kurhanu kryjącego przerażającą tajemnicę. Teraz widzi pan, senior Brill, dlaczego nie może pan rozkopywać i otwierać kurhanu... Mógłby pan w ten sposób obudzić tego szatana...”

W tym miejscu rękopis urywał się zamazanym zygzakami i przedarciem wywołanym nagłym szarpnięciem ołówka, Brill wstał z dziko bijącym sercem, pobladł twarzą i przyschniętym do podniebienia językiem.

Dlatego w kurhanie znalazł ostrogę — należała do jednego z Hiszpanów zakopujących potwora. „Powinienem być pojąć, że ktoś już przede mną kopał, sądząc po sposobie, w jaki porzucane były resztki węgla drzewnego. Ale... dobry Boże...”

Skurczył się ze zgrozy przed przerażającą wizją nieumarłego monstrum, wstającego z mrocznego grobu, unoszącego ciężki kamień obluzowany przez jego głupotę i ignorancję — przemykającej się w stronę światła cienistej postaci, którą wziął za ludzką ofiarę — długie, wyciągnięte ramię na tle słabo oświetlonego okna...

— To szaleństwo! — wykrztusił. — Lopez miał kompletnego fioła! Wampiry nie istnieją! A jeśli istnieją, to dlaczego ten nie dopadł mnie przed Lopezem... chyba, że rozglądał się dookoła, aby nabrać pewności, a potem zaatakował? Do diabła! Wszystko to są jakieś wymysły...

Ale dalsze słowa uwięzły mu w gardle. W oknie pojawiła się jakaś twarz i tkwiła niemo wpatrując się w niego. Dwoje zimnych oczu przenikało go na wskroś. Z jego gardła wydobył się przeraźliwy krzyk i twarz znikła. Jednak całe otoczenie przesycone było przeraźliwym smrodem, jaki czuł rozkopując kurhan i teraz od strony drzwi rozległ się trzask i ujrzał, jak drzwi powoli wyrzuszają się do środka. Brill cofnął się pod ścianę, z rewolwerem w trzęsącej się ręce. Nie przyszło mu do głowy, aby strzelić przez drzwi; chaotycznie myślał tylko o jednym — od wydobytej z mroków przeszłości grozy oddzielają go zaledwie cienkie drzwi. Oczy niemal wyszły mu z orbit na widok poddających się drzwi i usłyszał, jak pęka zasuwka.

Drzwi wpadły do środka. Brill nie mógł nawet krzyczeć. Jego język był jak z drewna. Błyszczącymi z przerażenia oczami ujrzał wysoką, podobną do sępa postać — zimne oczy, długie, czarne paznokcie — potwornie stary, rozpadający się strój — wysokie buty z ostrogami — szeroki, stary kapelusz z pogniecionym piórem — spływający luźno, postrzępiony płaszcz. Obramowany czarną futryną odrażający kształt z przeszłości pochylił się i umysł Brilla zawirował. Od tej postaci wionął ku niemu jakiś przerażający chłód, smród butwiejącej ziemi i resztek usuniętych z kostnicy. I wtedy nieumarły zbliżył się do żywego jak spadający na padlinę sęp.

Brill strzelił z bliska i ujrzał, jak szczątki płaszcza rozwiewają się i odpadają z piersi tej Rzeczy. Wampir zachwiał się od uderzenia kuli, ale zaraz wyprostował się i rzucił na niego z przerażającą szybkością. Brill oparł się o ścianę ze zduszonym okrzykiem i rewolwer wypadł z jego bezwładnej ręki. A więc te ponure legendy były prawdziwe — ludzka broń była bezsilna — jak może człowiek zabić kogoś, kto nie żyje od wieków?

A potem szponiaste ręce przy gardle wzbudziły w młodym kowboju dzikie szaleństwo. Tak jak jego przodkowie, pionierzy, którzy walczyli ręką w rękę z nieprawdopodobnymi przeciwnościami, Steve Brill walczył teraz z tą zimną, martwą, czołgającą się rzeczą, która pragnęła jego życia i duszy.

Brill nie zapamiętał wiele z tej upiornej walki. To było coś jak obłądny chaos, w którym wył jak bestia, szarpał, tłukł i walił, a czarne, długie szpony wpijały się i darły skórę, spiczaste zęby kłapały przy jego szyi. Zataczając się i potykając, wili się po całym pokoju owiani smrodem rozkładu i zgnilizny, przewracając i rozbijając meble; jednak furia wampira nie była większa od rozpaczliwej, pobudzonej szaleńczym strachem desperacji ofiary.

Przewrócili stół, stracili na podłogę lampę naftową, która rozbiła się na kawałki, spryskując ściany nagłymi płomieniami. Brill poczuł, jak padają na niego płonące krople nafty, ale opętany szaleństwem walki nie zwrócił na to uwagi. Rozrywały go czarne szpony, nieludzkie oczy wpijały się głęboko w duszę; czuł pod palcami, że zwiędłe ciało monstrum

Howard Robert E - Conan. Cień bestii

jest twarde jak wyschnięte drewno. Przez Steve'a przepływały fale ślepego szaleństwa. Krzyczał i machał rękami, a wokół nich wzbijały się w górę płomienie, obejmując ściany i sufit.

Demon i człowiek wirowali i przewracali się walcząc wśród piekielnych płomieni na płonącej podłodze piekieł. I w tych wzmagających się płomieniach Brill zdobył się na ostatni rozpaczliwy wysiłek. Wyrwał się, uniósł z wysiłkiem i ledwo dyszący, spływający krwią rzucił się na oślepa na śmierdzący, ohydny kształt, zaciskając wokół niego uchwyt, z którego nawet wampir nie mógł się uwolnić. Zakręcił w gorze ciałem szatańskiego napastnika, przerzucił przez przewrócony bok stołu i przełamał jak suchą gałąź. Coś trzasnęło i wampir wysunął się z uchwytu Brilla wijąc się na płonącej podłodze. Jednak ciągle jeszcze żył, ponieważ jego płonące oczy nadal wpijały się w Brilla z upiornym głodem i próbował przyczołgać się do niego mimo złamanego kręgosłupa, tak jak czołga się umierający wąż. Brill, ciężko dysząc, otarł z oczu krew i wytoczył się na oślepa poprzez wyłamane drzwi. I jak człowiek uciekający od bram piekła, biegł potykając się przez meskity i karłowate dęby, aż na koniec upadł kompletnie wyczerpany. Oglądając się ujrzał płonąca chatę i prosił Boga, żeby tak długo płonęła, aż kości Don Santiago de Valdeza zostaną całkowicie zniszczone i wymazane z ludzkiej świadomości.

* Trzeba tu zwrócić uwagę, że autor ma chyba na myśli Siedmiogród, górzysty obszar, dawniej należący do Węgier, a obecnie leżący w granicach Rumunii (przyp. tłum.)

* No sabe (hiszp.) — nie rozumiem, (przyp. tłum.)